Śledztwo „Do Rzeczy": **finanse KOD**

Co Kaczyński uzgodnił z Merkel

WSI kontra Szeremietiew

Niechciany efekt **papieża Franciszka**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 110 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA **6,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

NR 7/209 13–19 LUTEGO 2017

EMOCJONALNY SZANTAŻ W SPRAWIE KONOPI

WALDEMAR ŁYSIAK NA WALENTYNKI
NA TROPIE JEDNOROŻCA

WIELKA HIPOKRYZJA MEDIÓW

Lewacy bez skrupułów grają nieszczęściem syryjskich dzieci

TYGODNIK LISCKIEGO DO RZECZY

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE

PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE. WEJDŹ ▶

PARTNERZY SERWISU dorzeczy.pl:

PZU

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

REDUTA PWPW FUNDACJA NA RZECZ OBRONY PAMIĘCI HISTORII POLSKI

eprasa.pl 2ca7fd0c41

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Właściwa proporcja rzeczy

Pewien dziennikarz opowiedział mi o dość zabawnym zdarzeniu: napisał tekst o fałszywych newsach, które umieszczone na Facebooku zaczynają żyć własnym życiem i – jak to łatwo przewidzieć – powodują całą masę szkód dla swoich bohaterów. Artykuł umieścił na portalu, po czym zauważył, że – ujmując to nieco eufemistycznie – kiepsko się on klika. Niezrażony tym faktem natychmiast dopisał jeden drobny akapit i tekst gwałtownie poszybował w statystykach. Jaka była tajemnica sukcesu? W dodanym fragmencie pojawiło się nazwisko Bartłomieja Misiewicza.

Rzeczywiście, czasem mam wrażenie, że na punkcie Misiewicza część mediów ma autentyczną obsesję. Poświęcają mu więcej miejsca niż aferze reprywatyzacyjnej w Warszawie, wpadkom sędziów, a nawet wizycie kanclerz Merkel w Polsce. Jak to zresztą często bywa, nie sposób już obecnie ustalić, czy chodzi o prawdziwe „przestępstwa" czy tylko o wydumane „fakty prasowe". Ważne, że Misiewicz musi zostać potępiony.

Prawdziwe zarzuty, jeśli dobrze sobie przypominam, były trzy. Po pierwsze, że bez właściwego przygotowania miał zostać członkiem rady nadzorczej spółki zbrojeniowej kontrolowanej przez państwo – tyle że sprawa obciąża zarówno rzecznika MON (nie wiem, czy obecnego czy byłego), jak i jego zwierzchników, którzy z nonszalancją, pomijając reguły, mianowali go na to stanowisko. Po drugie, miało się okazać, że niektórzy wyżsi rangą oficerowie Misiewiczowi salutują i stają przed nim na baczność – cóż, to z kolei zdaje się nie najlepiej świadczyć o tych wojskowych. Rozumiem, że Misiewicz pistoletu nikomu do głowy nie przystawiał i jeśli owe demonstracje poddaństwa się zdarzyły, to wynikały ze służalczości niektórych żołnierzy. Pokazują one też zapewne pyszałkowatość i zadufanie samego urzędnika, tyle że nie są to przecież tylko jego grzechy. Nadmiar przywiązania do blichtru i obnoszenie się z władzą są typową przypadłością ludzi robiących zbyt szybką karierę. Można tego nie lubić, i słusznie, jednak nie ma tu mowy o przestępstwie ani łamaniu prawa.

Jest wreszcie kwestia wizyty Misiewicza nocą w dyskotece pod Białymstokiem. Wydaje się, że najbardziej dwuznaczne jest w tej sprawie to, że dotarł na nią, korzystając z samochodu służbowego. Nie wydawał – z tego, co czytałem – pieniędzy ze służbowej karty, bo jej nie ma. Według niektórych świadków dość niezgrabnie próbował poderwać miejscowe dziewczyny i zrobić na obecnych wrażenie, odwołując się do swojego stanowiska – klasyczny przykład, jeśli są to doniesienia prawdziwe, młokosa, któremu uderzyła do głowy woda sodowa. Zastrzegam się przeciw temu, bo jak do tej pory żadne naprawdę kompromitujące informacje do opinii publicznej nie dotarły. Na razie wszyscy żyją głównie plotkami.

Wszystko to razem sugeruje, że Misiewicz awansował za szybko. Jednak od tego do histerii, jaka się rozpętała, droga jest daleka. To, co było wybrykiem, stało się nagle prawie przestępstwem, złamaniem wszystkich reguł, symbolem niemal korupcji władzy i moralnej klęski PiS. Dlaczego? Może ze względu na fizjonomię, którą przeciwnicy uważają za pełną buty i arogancji? Sądzę, że prawdziwy powód jest inny. Największą zbrodnią Misiewicza jest ślepe oddanie znienawidzonemu powszechnie przez media ministrowi Antoniemu Macierewiczowi. Łatwiej atakować Misiewicza niż szefa MON, to oczywiste. I oczywiste jest też to, że ktoś, kto decyduje się na urzędowanie u boku Antoniego Macierewicza, musi być dwa razy bardziej ostrożny niż Misiewicz. Czy jednak to wystarczy, żeby usprawiedliwić medialny lincz? ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 2ca7fd0c41

TEMAT TYGODNIA

16 WITOLD REPETOWICZ
OKŁADANIE SIEROTAMI
Śladami sopockiej manipulacji

19 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BEZMIAR HIPOKRYZJI

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
TRIUMF CIERPLIWOŚCI
Kanclerz Niemiec u prezesa PiS

25 MARCIN MAKOWSKI
MILIONY KOD BEZ ROZLICZEŃ

28 KAMILA BARANOWSKA
REPOLONIZACJA MEDIÓW WEDŁUG PIS

30 ROZMOWA Z PROF. ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM
ROSYJSKA AGENTURA NAKRĘCA W POLSCE SPORY

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
MARIHUANA NIE JEST PANACEUM

34 AGNIESZKA RYBAK
LOSY DO POSKŁADANIA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WYKLIKAĆ ŻYCIE

KULTURA

40 ANDRZEJ HORUBAŁA
INSPIRUJĄCE FIASKO MARTINA SCORSESE
Nudne „Milczenie"

44 PIOTR GOCIEK
DZIEWCZYNY NIE PŁACZĄ

46 WOJCIECH ENGELKING
PRZEKLEŃSTWA WINNOŚCI

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

CYWILIZACJA

54 WALDEMAR ŁYSIAK
JEDNOROŻEC
Walentynkowy zwierzak dziewic

OPINIE

62 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM RYCHARDEM
NOWOCZESNA POPEŁNIŁA WIELE BŁĘDÓW
Słaba i podzielona opozycja

65 ŁUKASZ WARZECHA
WYMIAR TUSKA

68 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
NIECHCIANY EFEKT FRANCISZKA

ŚWIAT

72 TERESA STYLIŃSKA
WOJNA ŚWIATÓW
Radykalizacja poglądów rodzi głębsze podziały

76 JACEK PRZYBYLSKI
LUKSUSOWE ARKI NOEGO

EKONOMIA

80 ROZMOWA Z CEZARYM STYPUŁKOWSKIM
POTRZEBA ZACHĘT DO OSZCZĘDZANIA
Innowacje w polskich bankach są wzorem dla świata

84 STEFAN SĘKOWSKI
ODYSEJA MORAWIECKIEGO

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
DRUGA WOJNA TRANSPORTOWA

FELIETONY:

SEMKA (6), WARZECHA (7), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (52), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (70), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu list zawierający impresję na temat TW „Bolka" na kanwie ostatnich ustaleń Instytutu Sehna. Zapraszamy oczywiście na naszą stronę: www.dorzeczy.pl, na której od niedawna kolejny nowy cykl „Jak nas piszą na Wschodzie" – autorski przegląd prasy rosyjskiej i ukraińskiej dokonywany przez Macieja Pieczyńskiego.

TW „Bolek" i architekci przemiany

Nie ma wątpliwości, że Lech Wałęsa to TW „Bolek" i że jako taki donosił na kolegów za pieniądze. Ponadto nie może być wątpliwości co do jego udziału w spokojnym i bezkrwawym przekształceniu Polski z kraju komunistycznego, a co w praktyce ważniejsze – kraju gospodarczo, politycznie i militarnie zależnego (trafniej – podbitego), w kraj gospodarki rynkowej, suwerenny i uwolniony od dotychczasowego, bezwzględnego polityczno-militarnego zwierzchnictwa ZSRS.

Jak niebywałe szczęście mieli Polacy, dostrzec możemy szczególnie teraz, po latach. Otóż w okresie ustrojowego przeobrażenia Polski ZSRS był wciąż imperium w pełni sił, niesłychanie groźnym, zaś Polska Przemiana nie tylko go osłabiała, lecz także przesądzała o rychłym jego upadku. Przeprowadzenie jej – bez zbrojnej interwencji ZSRS, bez wojny domowej, z minimalnymi stratami w ludziach – nie mogło być ani dziełem samego szczęścia, ani też rezultatem wiodących działań prostego elektryka, o ewidentnych intelektualnych i osobowościowych ograniczeniach. Oczywiste więc wydaje się, że prawdziwy „architekt" tej Przemiany działał w ukryciu, do tego „po tamtej stronie", i to raczej wysoko w strukturach władzy. Jeśli tak, to Wałęsa był jedynie słabo świadomym narzędziem w jego (ich?) ręku. Taka właśnie jego rola, pasuje do tego, co o nim wiemy – kim był, jaki był, jak przywiązany był do wartości, których wyznawanie demonstracyjnie prezentował. A wiemy, że w latach 70. donosił na kolegów – politycznie i za pieniądze, są nawet relacje byłego esbeka, że był w tym zakresie wręcz namolny. Wiemy też, że w latach 80. zbył niższych rangą esbeków, grożąc im, że się poskarży „wyżej". Zdarzeniu temu zaprzeczyć się nie da, bo gdyby nie było owych „wyżej", jego byli prowadzący z pewnością by go „nie odpuścili" – zbyt łasym dla nich był wtedy kąskiem; względnie zechcieliby go skompromitować dokumentami o dawnej współpracy. Nie sposób też traktować poważnie teorii o romantycznej „konradowskiej" przemianie lub takiej w stylu Kmicica; wystarczy bowiem prześledzić działania Wałęsy ku zatajeniu swej ciemnej przeszłości, w tym także jego podstępne, przestępcze zabiegi z czasów prezydentury. Nie chcę tu powiedzieć, że Wałęsa nigdy nie działał ze szlachetnych pobudek lub że jego działania nie współtworzyły dobrych, wręcz zbawiennych skutków. Ludzie zmieniają się, szczególnie na przestrzeni dziesięcioleci, a dobre skutki osiągać może także osoba mierna, szczególnie jeśli dobrze kierowana. Nie wydaje mi się, by zaprezentowana tu przeze mnie wersja mogła być nowatorska, ale brakuje mi badań historyków i dziennikarzy w kierunku ustalenia, kim mogli być ci ewentualni „architekci" przemiany.

Lesław Wojtasiewicz

Sprostowanie

Do mojego artykułu „Nadal na chińskim szlaku" („Do Rzeczy" 6/2017) wkradł się błąd. Zdanie dotyczące ładowności pociągów jadących do Chin powinno brzmieć: „Każdy może przewieźć ponad 800 ton towarów". Za pomyłkę bardzo Państwa przepraszam.

Stefan Sękowski

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Jarosław Kałucki, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Anadolu Agency/Getty Images,** oprac. graf.: **MIDAS/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 2ca7fd0c41

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Petru Blues

Ostatnich tygodni Ryszard Petru nie może zaliczyć do udanych. Wciąż wlecze się za nim Madera Gate. Angela Merkel nie zaprosiła go do ambasady Niemiec na spotkanie z opozycją, a w sondażach Nowoczesna wyraźnie przegrywa z PO. Jakby tego było mało, w „Gazecie Wyborczej" ukazała się niedawno analiza Witolda Gadomskiego podsumowująca dość obcesowo ponad rok działalności w polityce wychowanka Leszka Balcerowicza. A przecież wcześniej „GW" miała dla Petru taryfę ulgową. Co według Gadomskiego podcięło nogi tak obiecującej karierze? Po pierwsze, nadrabianie braku pewności siebie hucpą: „W publicznych wypowiedziach Petru ogłaszał się liderem całej opozycji, określał siebie jako przyszłego premiera, w Internecie zamieścił orędzie. Było w tym wiele bufonady, a od niej do śmieszności jest tylko krok".

Po drugie, Nowoczesna wpadła w pułapkę krytyki PiS: „Im bardziej Nowoczesna stawała się antypisem, tym mniej eksponowała swój program. Podobnie jak Platforma reagowała na kolejne pomysły władzy, nie narzucając własnych".

Po trzecie, Petru nie trafia do młodych: „Lider partii lubi podkreślać swój młody wiek w kontraście do historycznych liderów III RP, którzy mają po 60–70 lat. Ale on sam za kilka miesięcy skończy 45 lat i mimo młodego wyglądu daleko mu do pokolenia Y – młodych, urodzonych w latach 90. Najmłodsi wyborcy – do 25. roku życia – głosowali głównie na Kukiza, a spora ich część na partię KORWiN. Ta grupa z jakiegoś powodu nie zainteresowała się ofertą Nowoczesnej".

I po czwarte, Petru jest po prostu zbyt wygodnicki: „Jarosław Kaczyński ma wiele deficytów, nikt mu jednak nie zarzuci braku determinacji. Petru jest jego przeciwieństwem – ma dużą wiedzę, doświadczenie menedżerskie, rozumie współczesny świat, a zwłaszcza współczesną gospodarkę, ale pokazał, że nie jest gotowy »rzucić na stos swój życia los«".

Analiza ta celnie punktuje słabości szefa Nowoczesnej. Potwierdza nienową prawdę – nie da się zostać liderem z łapanki. Ryszard Petru nie budował swojej partii latami, ale wyglądało, jakby dostał ją na tacy. A dopiero gdy już wskoczył na narowistego mustanga polityki, zaczęły wychodzić na jaw rozmaite jego słabości. Brak oczytania, brak zdolności zdobywania sympatii i wreszcie brak wyczucia, co politykowi wolno, a czego nie.

Mszczą się lata spędzone w roli biznesmena-menedżera, który ma wysokie gaże, idącą za tym sporą pewność siebie, ale oddzielają go od zwykłego Polaka aluminium i szkło korporacyjnych wieżowców. Wydaje się, że ma PR-owskie know-how i doświadczenie w kierowaniu ludźmi. Jednak w polityce, nawet w jej obecnym skarlałym wydaniu z początków XXI w., wciąż ważna jest idea. Idee wymagają poświęceń i siły w goryczy trwania w opozycyjności.

W tym roku przed Petru ważna decyzja. Pytany w TVN, czy opozycja wystawi wspólnego kandydata na prezydenta Warszawy, wyniośle odpowiedział, że taki scenariusz nie wchodzi w grę. Czy sam wystartuje w wyścigu do warszawskiego ratusza?

Czas pokaże, ale Ryszard Petru już wie, że ci, którzy go namawiali do wejścia w politykę, nie wspomnieli mu o wielu ważnych sprawach… ©℗

FOT. SPORTOGRAFIA.PL

LAUREACI NAGRODY KISIELA

Paweł Jabłoński (od lewej), Paweł Kukiz oraz Andrzej Zarajczyk zostali wyróżnieni Nagrodami Kisiela za 2016 r. Poseł Paweł Kukiz, lider ruchu Kukiz'15, odebrał nagrodę w kategorii Polityk m.in. za „rozbetonowanie polskiej sceny politycznej", „wyraziste poglądy" i „za konsekwentnie rockowe podejście do polityki". Przedsiębiorca Andrzej Zarajczyk został wyróżniony za skuteczne „wskrzeszenie" marki Ursus. Wicenaczelny „Rz" Paweł Jabłoński został nagrodzony w kategorii Publicysta, m.in. za solidność i „twarde stąpanie po ziemi". ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Obrona lennego księstwa

Antoni Macierewicz jest politykiem bezwzględnym. A przy tym porażająco skutecznym. Niekoniecznie może w zajmowaniu się tą dziedziną, którą powierzono mu jako ministrowi, ale w budowaniu własnej pozycji, umacnianiu jej i obronie powierzonego mu lenna – jak najbardziej.

W minionym tygodniu kolejne osoby, w tym politycy PiS poza kamerą oraz komentatorzy, stwierdzali, że nie są w stanie pojąć przywiązania szefa MON do swojego młodego asystenta Bartłomieja Misiewicza. A przecież kompletnie nie o Misiewicza tu chodzi. Macierewicz może go nawet prywatnie lubi, ale przecież, jako wytrawny gracz, gdyby zaszła potrzeba, pożarłby go bez mrugnięcia okiem, niczym krokodyl młodego cielaka przy wodopoju.

Tutaj chodzi o zaznaczenie i obronę lenna. Kaczyński zapewne już żałuje, że powierzył Macierewiczowi resort, który daje tak wielkie możliwości powiększania i utwardzania grupy zwolenników, a może raczej fanów ministra. Macierewicz pojawia się na jakichś oficjałkach niemal codziennie: występuje, przemawia, pokazuje się i zbiera punkty. Część publiczności nie może już na niego patrzeć, ale dla części wyrasta na postać ważniejszą nawet niż sam prezes, o pani premier czy prezydencie nie mówiąc. To nie musi być duża część. Wystarczy, że absolutnie wpatrzone jest w ministra obrony – jak pokazały kiedyś wewnętrzne badania PiS – około jednej trzeciej elektoratu tej partii (dziś to może być nawet więcej). Ten kapitał plus grupa posłów to gwarancja, że Macierewicza nikt w PiS nie ruszy. Nie jest w stanie ruszyć go także Pałac Prezydencki, permanentnie z ministrem skonfliktowany (choć to konflikt ukrywany pod oficjalnymi uprzejmościami).

Pozornie absurdalna obrona Misiewicza staje się zatem obroną nie tyle nawet stanu posiadania, ile granicy Macierewiczowego księstwa. Księstwo ma pozostać integralne. Nie można sobie pozwolić na stratę choćby metra kwadratowego, bo od metra się zacznie, a skończy na utracie stolicy.

Tyle że ta obrona postawiła już w kiepskim świetle ważnych polityków PiS, w tym samą premier Szydło. Ogłaszając, że Misiewicz nie tylko z MON nie odszedł, lecz także wróci, a rzekome kłamstwa na jego temat będą ścigane przez służby i prokuraturę, Macierewicz pokazał, w jakim poważaniu ma swoich partyjnych i rządowych zwierzchników.

Problemem PiS nie jest zatem tak naprawdę Misiewicz, ale ten, kto Misiewicza broni jak niepodległości swojego lennego księstwa. ©℗

Sławomir Cenckiewicz nagrodzony

– Prawda potrzebuje oręża. [...] Prawda domaga się oręża, bo prawda sama wbrew przekonaniu większości nie zwycięży. I to jest taka okazja. To jest ten moment, w którym państwo polskie jest rządzone przez patriotyczną elitę, która może tej prawdzie pomóc. Myślę o zbiorze zastrzeżonym, o dokończeniu rozrachunku z przeszłością, o dezubekizacji. To wszystko bardzo ważne decyzje wieńczące nasze odcięcie się od komunizmu i pogrzebanie tego postkomunizmu III RP – mówił podczas odbierania Nagrody im. św. Grzegorza Wielkiego prof. Sławomir Cenckiewicz.

Historyk, publicysta „Do Rzeczy", członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej odebrał nagrodę podczas Gali Wolnego Słowa. Został wyróżniony za „pokazywanie opinii publicznej, czym naprawdę był komunistyczny twór o nazwie PRL i jak wiele jego elementów wrogich Polsce nadal funkcjonuje".

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

– Wszystko to, czego się dowiadujemy dzięki badaniom profesora, to nie tylko wiedza o naszej przeszłości, lecz także podstawa do budowania bezpieczeństwa naszej przyszłości – argumentowała podczas laudacji Katarzyna Gójska-Hejke, redaktor naczelna miesięcznika „Niezależna Gazeta Polska – Nowe Państwo".

Tegorocznymi laureatami nagród „Gazety Polskiej" zostali także premier Beata Szydło (Nagroda Klubów „Gazety Polskiej") oraz wicepremier, minister rozwoju i finansów Mateusz Morawiecki (Człowiek Roku 2016 „Gazety Polskiej"). *(r)* ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Koniec strusiej polityki?

W stosunkach z Ukrainą Polska twardo trzyma się zasady odwrotnej wskazania, które przypisywane jest Piłsudskiemu. Marszałek radził: „Brać i nie kwitować", a III RP, przeciwnie – daje i nie żąda pokwitowań. Jest to zresztą jakaś ogólna, koszmarkowata prawidłowość polskiej polityki zagranicznej na wielu kierunkach: dać to, co tylko jesteśmy w stanie albo nawet więcej, i liczyć na wdzięczność oraz domyślność partnera. Czy to wynika z kompleksów, czy z politycznej głupoty – to kwestia do osobnych rozważań.

Banderowska polityka historyczna jest dla Polski nie do zaakceptowania

W przypadku Ukrainy ta postawa wzmacniana była zawsze argumentem: „Konflikty Polaków z Ukraińcami służą tylko Putinowi". Dobry argument, tylko nie wiem na rzecz czego. Bo chyba przecież nie na rzecz strusiej polityki historycznej i udawania, że nie widzimy, jak nasi wschodni sąsiedzi budują swą państwową narrację na kulcie zbrodniczej UPA, przy jednoczesnym zaprzeczaniu rzezi wołyńskiej. Jeśli na takiej postawie chciałby ktoś zbudować pojednanie, to z góry powiem – uda się w tym samym stopniu, co przyjaźń polsko-sowiecka zbudowana na dziesięcioleciach zaprzeczania Katyniowi i innym sowieckim zbrodniom na Polakach.

Dlatego trudno się nie cieszyć, że po latach dziwnych uników, nowomowy o „wypadkach" czy „tragicznych wydarzeniach" PiS ustami prezesa wydał wreszcie oczekiwany komunikat: to, czy Polska pozostanie adwokatem Ukrainy w Unii Europejskiej, zależy od samych Ukraińców. Banderowska polityka historyczna jest dla Polski nie do zaakceptowania. „Wykazaliśmy wielką cierpliwość i trochę jeszcze tej cierpliwości mamy", ale nie będziemy bezwarunkowo popierać Ukrainy, jeśli jej samej na tym nie zależy.

Jeśli trzeba dowodu, że czas najwyższy był wreszcie taką deklarację złożyć, i to na najwyższym szczeblu, to najlepszym jest reakcja „Gazety Wyborczej". „PiS wycofuje się z Ukrainy!" – zakrzyknął biuletyn KOD i piórami swych cyngli zarzucił prezesowi awanturnictwo, godzenie w giedroyciowe pryncypia i rozbijanie europejskiej jedności.

Anegdota głosi, że Ronald Reagan, gdy raz został za jakąś decyzję pochwalony przez „The New York Times", zmartwił się i powiedział, że najwyraźniej popełnił błąd. Panie Prezesie, proszę wziąć z niego przykład i trzymać tę linię! ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

W reducie wolnego słowa

Na campusie Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley z powodu gwałtownych protestów trzeba było odwołać spotkanie z dziennikarzem Milo Yiannopoulosem, bo postępowym studentom nie spodobały się jego poglądy. Trzeba wołać za Cyceronem: „O tempora, o mores!". W tym samym miejscu pół wieku temu dzielni studenci z Ruchu Wolności Słowa wygrali z władzami uczelni walkę o swobodę głoszenia poglądów.

Wówczas campusy Berkeley były rozsadnikiem kontrkultury, pacyfizmu, ruchu hippie i narkomanii. Jakkolwiek oceniać, bunt młodych w imię haseł nieskrępowanej wolności zrewolucjonizował kulturę Zachodu – od obyczajów do muzyki. Ba! Bard tej rewolty Bob Dylan dostał Literacką Nagrodę Nobla. Teraz progresiści na campusie w Berkeley wybijają szyby i dewastują wszystko, by nie dopuścić do głosu faceta, z którym się nie zgadzają, zamiast zniszczyć go mocą argumentów.

Milo Yiannopoulos ma 33 lata, lubi prowokować, często wygaduje agresywne głupoty i wojuje z religią postępu. A konkretnie z poprawnością polityczną, feministkami, gejowskim lobby (choć sam jest gejem) i filozofią gender. Popiera Trumpa i wcale nie uważa, że islam jest religią pokoju. Te poglądy w oczach obozu postępu ulokowały Yiannopoulosa na prawo od Iwana Groźnego, a bardzo blisko Goebbelsa. Nie darmo oprócz butelek z benzyną przywitali go transparentami: „Precz z Berkeley, nazistowska szumowino!".

Włożone Wolterowi do ust przez biografkę słowa: „Nie zgadzam się z tym, co mówisz, ale oddałbym życie, żebyś mógł to mówić" na obecnym etapie walki o postęp są już „passé". Dzisiaj wyznawcy innych idei niż jedynie słuszne to naziści zasługujący na knebel, lincz i koktajl Mołotowa. Dylan miał rację: „The Times They Are A-Changin'". ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Gronkiewicz-Waltz na celowniku śledczych

Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga wszczęła postępowanie sprawdzające w sprawie podejrzenia przyjęcia 2,5 mln zł łapówki przez prezydent stolicy Hannę Gronkiewicz-Waltz lub któregoś z jej zastępców

Prokuratorskie postępowanie dotyczy podejrzenia nieprawidłowości przy sporządzaniu planu zagospodarowania przestrzennego dla terenu ogródków działkowych na Saskiej Kępie w Warszawie, wartego kilkaset milionów złotych. Zawiadomienie złożył w ubiegłym roku stołeczny radny Jan Śpiewak. W wydanym w środę oświadczeniu Hanna Gronkiewicz-Waltz stwierdziła: „Nie przyjęłam korzyści majątkowej wskazywanej w ww. zawiadomieniu ani jakiejkolwiek innej. Gotowa jestem do podjęcia koniecznej współpracy z prokuraturą". Podkreśliła też, że sąd okręgowy w Warszawie w 2016 r. stwierdził nieważność umowy sprzedaży praw i roszczeń nieruchomości na Saskiej Kępie – miasto nie musi zwracać tej nieruchomości ani wypłacać za nią odszkodowania.

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

„Do Rzeczy" już jesienią ubiegłego roku informowało, że śledczy uważnie analizują działania Hanny Gronkiewicz-Waltz w procesach reprywatyzacyjnych w Warszawie i nie wykluczają, iż prezydent stolicy może usłyszeć zarzut niedopełnienia obowiązków. ***(ww)*** ©℗

STYPENDIA IDENTITAS

Fundacja Identitas znana z corocznej prestiżowej nagrody dla autorów książek historycznych i literackich ogłasza nabór wniosków stypendialnych dla studentów IV i V roku studiów oraz doktorantów polskich uczelni humanistycznych. Prace składających wniosek o wsparcie winny dotyczyć obszaru przyznawanych nagród Identitas: szeroko pojętego obszaru humanistyki, ze szczególnych uwzględnieniem literatury, historii, historii sztuki i twórczości dotyczącej tożsamości kulturowej, narodowej, regionalnej, etnicznej, religijnej i grupowej.

Fundacja przyzna od jednego do 10 grantów, z których każdy wyniesie od 2 tys. zł do 20 tys. zł.

Założyciel fundacji Tomasz Kaźmierowski poinformował, że analizę wniosków i rekomendacje dotyczące najbardziej wartościowych prac przygotowuje panel ekspertów, w skład którego wchodzą polscy akademicy i literaci.

Szczegóły na stronie: www.identitas.pl. Projekty można zgłaszać do 30 marca 2017 r. ***(a)*** ©℗

FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/KRRP

„WYBUDZENI" U PIERWSZEJ DAMY

Pani prezydentowa spotkała się w zeszłym tygodniu z Katarzyną Pinkosz, dziennikarką „Do Rzeczy", autorką książki „Wybudzeni", a także z bohaterami jej opowieści. Agnieszka Terlecka i Dawid Jetke zostali wybudzeni ze śpiączki i spełniają się zawodowo. W Pałacu Prezydenckim towarzyszyli im także bliscy Mariusza Wachowicza i Agnieszki Holki, którzy są w trakcie procesu wybudzania. – To książka o życiu i śmierci – oznajmiła Agata Kornhauser-Duda. Pierwsza dama przyznała także, że poruszyła ją wybijająca się na pierwszy plan determinacja ludzi. W spotkaniu z pierwszą damą brali również udział m.in.: Ewa Błaszczyk – aktorka, prezes Fundacji „Akogo?", która opowiadała o postępach w leczeniu córki Oli – a także prof. Andrzej Czyżewski, dr Łukasz Grabarczyk i dr Andrzej Lach. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Odbudowa polskich

W najbliższych latach Marynarka Wojenna przejdzie szeroko zakrojoną modernizację techniczną. Flota zostanie odnowiona i powiększona, a zadanie to w dużej części zrealizuje Polska Grupa Zbrojeniowa.
– Dlatego odbudowujemy potencjał przemysłowy i pod szyldem PGZ tworzymy największą grupę stoczniową na Bałtyku – mówi Arkadiusz Siwko, szef Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Projekty dotyczące floty Marynarki Wojennej zajmują szczególnie ważne miejsce w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP. Zadania z tego zakresu zostały ujęte w programie operacyjnym „Zwalczanie zagrożeń na morzu". Najważniejsze z nich dotyczą wzbogacenia floty Marynarki Wojennej RP o trzy nowoczesne niszczyciele min „Kormoran II", trzy okręty patrolowe z funkcją zwalczania min „Czapla", trzy okręty obrony wybrzeża „Miecznik" oraz trzy nowoczesne okręty podwodne „Orka".

SILNA FLOTA – WYZWANIE DLA PRZEMYSŁU

W najbliższych latach polska Marynarka Wojenna otrzyma kilkanaście okrętów różnego typu. Zgodnie z zamierzeniem Ministerstwa Obrony Narodowej znaczny udział przy ich produkcji mają mieć polskie podmioty. Już teraz w portfelu spółek narodowego koncernu obronnego, czyli Polskiej Grupy Zbrojeniowej, znajdują się Stocznia Remontowa „Nauta", Morska Stocznia Remontowa „Gryfia", a także Szczeciński Park Przemysłowy (dawna Stocznia Szczecińska), który w styczniu br. został włączony do struktury grupy PGZ za pośrednictwem funduszu MARS. Konsolidacja polskiego

eprasa.pl 2ca7fd0c41

stoczni

Polska Grupa Zbrojeniowa konsoliduje sektor morski i buduje najsilniejszy brand stoczniowy na Bałtyku, żeby sprostać wymaganiom Ministerstwa Obrony Narodowej. Na zdjęciu należąca do PGZ Stocznia Remontowa „Nauta" w Gdyni. FOT. PGZ

sektora stoczniowego to jeden z priorytetów Planu na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju wicepremiera Mateusza Morawieckiego. To także zadanie o szczególnym znaczeniu dla bezpieczeństwa kraju. Podczas uroczystości związanych z przejęciem Szczecińskiego Parku Przemysłowego mówił o tym szef resortu obrony Antoni Macierewicz:

– Powstaje w ten sposób największa na Bałtyku grupa stoczniowa i jedna z największych w Europie. To jest symbol, pokazanie, z jakim planem zaczynamy odbudowę Stoczni Szczecińskiej poprzez stworzenie największej grupy stoczniowej na Bałtyku – mówił w Szczecinie Antoni Macierewicz.

– Zapewniam, że Ministerstwo Obrony Narodowej jest żywotnie zainteresowane jak najszybszym uruchomieniem tej stoczni. Mamy bardzo wielkie zobowiązania wobec bezpieczeństwa państwa, wobec bezpieczeństwa na Bałtyku, wobec bezpieczeństwa Polaków – podkreślił minister Antoni Macierewicz.

PGZ: TWORZYMY STOCZNIĘ WOJENNĄ

Arkadiusz Siwko, prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej, deklaruje gotowość PGZ do realizacji programów morskich, ujętych w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP. Jak tłumaczy, przejęcie Szczecińskiego Parku Przemysłowego to nie koniec procesu konsolidacji sektora stoczniowego pod szyldem PGZ.

– Polskie stocznie mają wartość nie tylko historyczną i nie jest prawdą, że są one skazane na likwidację, że są nierentowne i trzeba je wyprzedać. A w ostatnich latach bardzo często to słyszeliśmy – mówi szef Polskiej Grupy Zbrojeniowej. – Nasze stocznie mają ogromny potencjał przemysłowy. Chcemy ten potencjał skonsolidować, żeby uzyskać efekty synergii z kooperacji między poszczególnymi podmiotami. Stworzymy najsilniejszy brand stoczniowy w regionie. Dlatego wzięliśmy udział w przetargu na zakup Stoczni Marynarki Wojennej w upadłości likwidacyjnej. 2 lutego syndyk przyjął naszą ofertę. Czekamy na dalsze decyzje Ministerstwa Obrony Narodowej i innych instytucji – podkreśla Arkadiusz Siwko, prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej. W celu ratowania Stoczni Marynarki Wojennej od upadłości Polska Grupa Zbrojeniowa powołała specjalną spółkę celową PGZ Stocznia Wojenna. To właśnie za jej pośrednictwem PGZ złożyła ofertę w przetargu na zakup Stoczni Marynarki Wojennej. Jak tłumaczy Arkadiusz Siwko, spółka PGZ Stocznia Wojenna będzie realizować zadania związane z przemysłem stoczniowym, zwłaszcza te wynikające z realizacji zamówień dla polskich Sił Zbrojnych.. Gdy procedura zakupu Stoczni Marynarki Wojennej przez Polską Grupę Zbrojeniową zostanie sfinalizowana pomyślnie, pierwszym zadaniem zakładu uratowanego od upadłości będzie dokończenie okrętu patrolowego ORP „Ślązak". Konieczne będą też inwestycje w zakładzie.

– Polska Grupa Zbrojeniowa przygotowuje infrastrukturę skonsolidowanego przemysłu stoczniowego do realizacji programów morskich. Takie zadanie postawili przed nami resort obrony i pan minister Antoni Macierewicz. Majątek Stoczni Marynarki Wojennej oraz stocznie „Nauta" i „Gryfia" stworzą łącznie ogromny potencjał technologiczny, a ścisła kooperacja między nimi wygeneruje efekty synergii. Nowe okręty dla Marynarki Wojennej będą budowane w polskich stoczniach, rękoma polskich pracowników. Zamówienia na budowę okrętów stwarzają perspektywę wieloletniego rozwoju biznesowego oraz stabilnego zatrudnienia dla tysięcy Polaków – podkreśla Arkadiusz Siwko.

NOWOCZESNE OKRĘTY DLA POLSKIEJ FLOTY

Jednak zanim do tego dojdzie, potrzebne są kolejne przedsięwzięcia biznesowe. Chodzi przede wszystkim o pozyskanie technologii, dzięki którym okręty produkowane w polskich stoczniach będą należały do najnowocześniejszych na świecie.

– Dziś jeszcze nie jesteśmy w stanie samodzielnie zbudować wszystkich nowoczesnych okrętów – przyznaje Arkadiusz Siwko, szef PGZ. – Dlatego, podobnie jak w przypadku innych programów modernizacyjnych, przygotowujemy się do kooperacji z partnerami zagranicznymi. Budujemy taką sieć porozumień, która zagwarantuje udział polskiego przemysłu w realizacji zamówień na okręty, bez względu na to, na zakup jakiego modelu zdecyduje się strona wojskowa – dodaje Arkadiusz Siwko. Już teraz Polska Grupa Zbrojeniowa ma podpisane porozumienia o współpracy ze szwedzką firmą Saab w zakresie wspólnej budowy okrętów dla polskiej armii. Ostatnio, w styczniu br., PGZ zawarła kolejne porozumienie, tym razem z francuskim koncernem morskim DCNS. Oba porozumienia zakładają transfer technologii morskich do spółek stoczniowych skupionych w PGZ oraz ich szeroki udział w produkcji okrętów dla polskiej Marynarki Wojennej. PGZ podpisała także porozumienie z włoskim przedsiębiorstwem Leonardo, które jest jednym z wiodących dostawców systemów i uzbrojenia okrętowego.

– Czekamy na realizację programów morskich. Postrzegamy je nie tylko jako korzystne dla PGZ projekty biznesowe, lecz także jako okazję do odbudowy polskiego przemysłu stoczniowego, jaka może już nigdy się nie powtórzyć. Robimy wszystko, żeby odbudowywać i ratować polskie stocznie, które jeszcze nie tak dawno temu, zupełnie niesłusznie, zostały skazane na upadłość, wyprzedaż, likwidację, zapomnienie. To jedno z naszych podstawowych zadań – podkreśla Arkadiusz Siwko, szef PGZ.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

SPOWIEDŹ EDYTY

Edyta Górniak lubi podkreślać, jak bardzo uduchowioną jest osobą, i opowiadać o swoich metafizycznych przeżyciach. Kiedyś zgłębiała buddyzm, dużo medytowała, została weganką i poznawała siebie. Potem wróciła jednak do katolicyzmu. Znów zaczęła jeść mięso, choć początkowo jeszcze przepraszała krowy za to, że je zjada. Nie wiemy, czy jej przeszło. W każdym razie teraz na każdym kroku podkreśla swoją pobożność. Ostatnio zwierzyła się „Faktowi", że odkąd mieszka z synem w Kalifornii, ma problem, bo nie potrafi się spowiadać po angielsku. Co prawda syn kupił jej anglojęzyczne wydanie Biblii, ale zdaniem Edyty to nie to samo. – Modlitwy po angielsku wciąż nie trafiają do mnie tak mocno. Jest mi ciężko. Niestety, nie umiem się spowiadać po angielsku – żali się. – Jak przylatuję do Polski, staram się umówić na spowiedź. Jak uda mi się wyspowiadać, od razu czuję się lepiej i mam niesamowitą lekkość w sercu – dodaje. Nawrócenie nawróceniem, ale stare nawyki niełatwo wyplenić. Edzia wciąż najbardziej lubi spowiadać się „Faktowi".

FOT. DAREK MAJEWSKI/FORUM

DODA W GARDEROBIE

Doda przy okazji kolejnej imprezy zdradziła, skąd się biorą jej odważne kreacje i coraz to nowe fryzury. – Odkryłam dobry sklep z perukami – wyznała.

Komentując dobór własnej kreacji, powiedziała też, że nie bardzo przejmuje się tym, co sądzą o niej inni. – Teraz kabaretki, rajstopy w kropki są bardzo na czasie do eleganckich sukienek. Każdy ma swoją modę i powinien czuć się w tym dobrze – stwierdziła. – Gdybym słuchała się wszystkich innych, to nie wyszłabym z własnej garderoby, bo musiałabym ciągle nadstawiać ucha – dodała. Zastanawiamy się, jak wyglądałby świat, gdyby Doda słuchała innych i nigdy nie wyszła z garderoby. Mały krok dla niej, wielki dla ludzkości!

ZDZIWIENIA MAŚLAKA

Rafał Maślak, Mister Polski sprzed trzech lat, słynie z tego, że kocha siebie. Daje temu wyraz w mediach społecznościowych, gdzie wciąż zamieszcza swoje półnagie zdjęcia, a także w licznych sesjach zdjęciowych i wywiadach, w których opowiada, jak dba o swoje ciało. Ostatnio postanowił opowiedzieć o swoich wizytach w SPA, jak są dla niego ważne i potrzebne. Przy okazji wyszedł z niego patriota, bo okazało się, że zdaniem mistera polskie SPA w niczym nie ustępują tym zagranicznym. – Wiele polskich SPA ma wyższy poziom niż zagraniczne. Byłem we Włoszech, we Francji i muszę przyznać, że jest taki sam poziom albo nawet w Polsce czasami ten gwiazdkowy przerasta nieco niektóre hotele w innych krajach – stwierdził Rafał. Dodał też, że nie rozumie, dlaczego ze SPA korzystają głównie kobiety. – SPA relaksuje, odpręża, na drugi dzień jesteśmy wypoczęci i to jest zupełnie normalna rzecz. I układ nerwowy, i skórę mamy taką samą jak kobiety, więc tutaj niczym się nie różnimy – tłumaczy Rafał. Czekamy na kolejne zdziwienia pana Maślaka. Kiedyś w końcu przecież zauważy, że na manicure czy peeling – poza nim – chodzą głównie kobiety. A gdy minie mu pierwszy szok, pewnie opowie o tym w jakimś wywiadzie. Nie możemy się już doczekać!

FOT. PAWEŁ GROMADA

(ANTY)TALENT WOKALNY

Mateusz Maga to taki chłopak, który z wyglądu przypomina dziewczynę (czyli odwrotnie niż wyżej wymieniony Maślak) i między innymi dlatego wybił się w programie „Top Model". Wtedy chciał być modelem i robić międzynarodową karierę. Od tamtej pory wiele się jednak zmieniło, bo Maga odkrył w sobie talent wokalny i uznał, że chce reprezentować Polskę na Eurowizji. Niestety, zaprezentował też swoją piosenkę, po której nie zostawiono na nim suchej nitki. Słusznie, bo Maga ani talentu, ani głosu, ani poprawnej wymowy (piosenka jest po angielsku) nie ma. – Hejt i złe komentarze i tak będą się pojawiały, zwłaszcza jak ktoś z Polski zaśpiewa po angielsku. Jestem kontratenorem. Mój głos często był wyśmiewany, ale w śpiewie można go wykorzystać. Wygląda, że udało mi się przekuć to w pozytyw – stwierdził ku zaskoczeniu każdego, kto wysłuchał jego piosenki (nie róbcie tego pod żadnym pozorem!). Gdzie indziej Mateusz tłumaczy jednak, że z tą Eurowizją to jeszcze nic pewnego i wcale mu na tym nie zależy. – Z tą Eurowizją jest właśnie tak, a nie inaczej. Podchodzę do tego tak, jakbym był, ale nie był. Jestem za zasłoną tego wszystkiego – powiedział. Gdyby ta zasłona była dźwiękoszczelna, mógłby już za nią pozostać. Najlepiej na zawsze. ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, dowiedzieliśmy się ostatnio, iż wśród 12 osób, które do tej pory stanęły na księżycu, nie było żadnej waginoosoby i jesteśmy tym faktem szczerze zbulwersowani.

Mamy nadzieję, iż feministki w chwili wolnej od organizacji kolejnych marszów szmat, manif i pigmentalnie ujemnych protestów, znajdą chwilę, iżby opracować plan Feministycznego Pokojowego Podboju Kosmosu, następnie zbudują rakietę i polecą na księżyc.

Oczywiście feministyczna misja kosmiczna nie musi być skupiona wyłącznie na samym fakcie dekonstrukcji patriarchalnego podboju kosmosu. Feministki lecące na księżyc powinny być zaopatrzone w odpowiednie broszury na temat prawa do orgazmu, swobodnej antykoncepcji i wyboru tożsamości płciowej zaadresowane do waginoosób ufopozytywnych. Tylko w ten sposób osiągną pełnię feminizmu w eksploracji przestrzeni kosmicznej.

Wogóle zaniepokoiło nas samo słowo „księżyc" i zastanawiamy się teraz, jak feministki miałyby realizować swoją misję w sytuacji, kiedy nazwa „Księżyc" w oczywisty sposób sugeruje, jakoby naturalny satelita ziemski miał być własnością kleru Kościoła katolickiego.

W postępowym języku angielskim mamy słowo „moon", w niemieckim „Mond", a we francuskim „lune". Czy z którąkolwiek z tych nazw wiąże się dyskomfort i czai się za nią ksiądz?

Postulujemy więc szerokie konsultacje społeczne w celu zdekonstruowania opresywnej nazwy „księżyc", iż satelita chce być neutralny światopoglądowo, a my nie chcemy mieć świadomości, iż „księżyc" z nocnego nieba zagląda nam do łóżek i kontroluje, z kim się do nich kładziemy!!!!!!

Chyba powinniśmy wytłumaczyć Wam, co należy sądzić o pomyśle powiększenia Warszawy. Otósh sam pomysł of kors z jednej strony jest dobry, niestety z drugiej strony jest zły.

Nie dziwi nas ani trochę, iż pis pomysł Warszawy zwyczajnie popsuł, wykluczając Podkowę Leśną oraz wiele innych gmin w tym kraju. My osobiście chętnie powitalibyśmy przyłączenie Krakowa do Warszawy, iż może w końcu dociągnęliby nam tu metro i żeby pójść na porządny placyk, nie musielibyśmy wyjeżdżać poza miasto.

Z drugiej strony kolega gej, jako warszawianin z Otwocka, słusznie zauważył, iż gdyby tak się stało, to nawet Nowy z Tarnowa mógłby opowiadać, iż pochodzi ze stolicy, ale z dzielnicy oddalonej od centrum. A na to nie może być naszej zgody. Jak więc widzicie pis znów podzielił Polaków, a nawet warszawiaków.

Co prawda pisowski rząd zawłaszczył całkowicie wizytę Angeli Merkel w tym kraju, ale mimo wszystko limuzyna osobokanclerzyni przejechała Alejami Ujazdowskimi obok grupy działaczy KOD, którzy potraktowali to jako wsparcie i bardzo się z tego powodu ucieszyli. „To dla nas był szok, bo wiedzieliśmy, że kanclerz zapewne nie będzie miała czasu nas odwiedzić, ale ten przejazd był dla nas ogromnym aktem wsparcia" – przeczytaliśmy na stronie kod-mazowsze.pl

Cóż, musimy więc kodowcom podpowiedzieć, iż my czasami oglądając telewizję, widzimy w niej Angelę Merkel, która patrzy w naszą stronę. Czasem nawet wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia, a Angela się do nas ostentacyjnie lekko uśmiecha, tak iż tylko my wiemy, iż to do nas. Czasem Angela wygłasza też w TV przemówienia, które odbieramy bardzo osobiście. Nasz cały kolektyw również odbiera to jako akt wsparcia i bardzo się z tego cieszy. Szkoda tylko, iż nie staliśmy w tej grupie kodowców. Aż żal, skoro osobokanclerzyni specjalnie pod nich wyznaczyła trasę przejazdu. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 2ca7fd0c41

dwaj panowie g

Głupia sprawa z tym powiększaniem Warszawy. Wszyscy się odcinają i mówią, że sprawa nie była w partii omawiana, uzgodniona i dopięta. Wiewiórki są innego zdania. – Była uzgodniona. Nie był uzgodniony tylko termin – ćwierkają. A że Jackowi Sasinowi się spieszyło, to teraz zamiast „kozioł ofiarny" będzie się mówiło Sasin.

My zresztą w pełni popieramy powiększenie Warszawy. Przyniesie to same plusy. Na przykład myśliwi polujący w okolicznych lasach będą mogli się przedstawiać jako działacze ruchów miejskich.

Kolorowe gazety opinii (inaczej tabloidy) bardzo emocjonowały się jadłospisem kolacji, którą premier Bełata podjęła kanclerz Angelę. Nas bardziej zainteresowało, czym karmiono liderów łopozycji na spotkaniu z Angelą w niemieckiej ambasadzie. Było ubogo: koreczki owocowe i kanapeczki. – Ale bardzo małe – zaznacza uczestnik spotkania. No i żadnego alkoholu. Nie darmo staropolskie przysłowie mówi „przy Niemcu ani pies się nie pożywi".

Kanclerz Angela dopytywała liderów łopozycji o różne rzeczy, ale ani razu nie zadała pytania: „A gdzie jest ten trzeci miglanc?". Nie darmo o Niemczech mówi się „powściągliwy hegemon".

Wiewiórki opowiadają, że Rysiek Petru bardzo ciężko przeżył brak zaproszenia od kanclerz Angeli. Aby zrekompensować sobie ten afront, oświadczył, że opinia publiczna sama oceni, kto jest liderem opozycji. Opinia publiczna oceniła. W sondażu pokazującym poparcie dla kandydatów na prezydenta Warszawy Rysiek dostał całe 8 proc. Ponieważ złośliwe z nas świnie, sprawdziliśmy, ile Nowoczesna Kropka miała w tym okręgu podczas wyborów 2015 r.: 13,38 proc.

Przy okazji – chyba wiemy, dlaczego Rysiek tak bardzo nie chce powiększenia Warszawy. Otóż hotel Riviera w Olszewnicy Nowej, gdzie Rychu i Joasia spędzali wolny czas, znalazłby się w granicach stolicy. A posłom nie wolno rozliczać ekstranoclegów w stolicy. Rysiek i Joasia musieliby więc jeździć na posiedzenia klubu gdzieś dalej.

Tymczasem w KOD. Uczestnicy skromnej pikiety, która czekała na kanclerz Angelę w Warszawie, wpadli w zachwyt, gdyż jej limuzyna podobno trochę zwolniła, mijając KOD-uchów, co zinterpretowano jako akt niemieckiego poparcia dla bojowników o wolność, demokrację i prawo do niepłacenia alimentów. Także chcieliśmy się pochwalić poparciem od Angeli. Było tak: specjalnie nie prosiliśmy jej, żeby przejechała obok naszej redakcji. I wiecie co? Nie przejechała!

Jesteśmy zmartwieni. Rozumiemy obgadywanie KOD-uchów. Ale żeby atakować duchownych? Krążą bowiem wstrętne pomówienia, jakoby bohater i założyciel KOD diakon Andrzej Miszk zatrudniał był w swojej firmie mieszkańców Małopolski, oferując im zawrotną kwotę 3 zł za godzinę. Odrzucamy ze wstrętem te plotki. Muszą być nieprawdziwe co najmniej z trzech powodów. Pierwszy – pochodzą od mieszkańców Małopolski. Drugi – pochodzą od lokalnych działaczy KOD. Trzeci – zostały szybko usunięte z forów KOD przez czujnych moderatorów.

Przejęci odrazą występujemy w obronie Miszka. Na jego reputacji nie może być nawet cienia skazy! Niech te ohydne podejrzenia rozwieje Państwowa Inspekcja Pracy! Przyjmiemy z dumą każdą prawdę – nawet tę, że to już nie 3, lecz aż 5 zł za godzinę!

eprasa.pl 2ca7fd0c41

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Pewien ważny polityk z totalnej opozycji powiedział nam, że ten Kaczyński to wielki strateg i polityk z wizją. Jednak szkoda, że ma wokół siebie takich małych ludzi. Mamy więc apel do opozycji: chcesz odsunąć od stanowisk miernoty z PiS? Przyłącz się do partii rządzącej!

Jeszcze o Kaczorze-Dyktatorze. Źli ludzie opowiadają, że premier Bełata pokłóciła się z nim o to, jak prowadzić politykę zagraniczną.

Tymczasem w europarlamencie. Wiceprzewodniczący Richard Henry Czarnecky dostał na nową kadencję nowy zestaw obowiązków. Między innymi będzie zajmował się sprawami Arktyki. Do tej pory zajmowała się nimi premier Finlandii, ale co tam Finowie wiedzą o śniegu.

Wybory samorządowe coraz bliżej. Wielu z naszych zielonych braci zupełnie nie wierzy, że PSL jeszcze kiedyś wejdzie do Sejmu, więc wybiera się do samorządów. Gieno Kłopotek już sobie wytypował dwie gminy, które bardzo go potrzebują. Reszta posłów dopiero typuje.

Rubryka towarzyska. Posłom kukistom Piotrowi Apelowi oraz Tomaszowi Rzymkowskiemu gratulacje z okazji narodzin synów. Termin był na ten sam dzień, ale mały Rzymko trochę się guzdrał, więc zasilił ten padół trzy tygodnie później, niż przewidywano. Dla porządku – obaj synowie łapią się na program „500+".

Ze świata rozrywki. Na łamach „Superaka" Stefan Niesiołowski opowiedział o swojej długiej przyjaźni z autorytetem moralnym Danielem Olbrychskim. „Z podziwem oglądam, jak jeździ konno. Ja z kolei mu opowiadam o przyrodzie, owadach" – poinformował Niesioł. Z oburzeniem odrzucamy sugestie, jakoby chodziło o zalewanie robaka.

Jeszcze o autorytetach moralnych. Lechu Wałęsa rozstał się na dobre z Mieciem Wachowskim. Poszło o kasę. Jesteśmy zaskoczeni.

Nieszczęścia chodzą parami. Nie dość, że Lechu W. „Bolek" padł ofiarą spisku grafologów, to jeszcze nagle zubożał. Do niedawna zjeżdżał z wykładami cały świat, ale nagle jakoś zaproszenia przestały napływać. Nie, nie z powodu grafologów. Po prostu Lechu był już wszędzie, a dziwnym trafem tam, gdzie wysłuchano go raz, nikt już nie chce zapraszać go po raz drugi. Tym różnią się normalne miejsca od tefauenu.

Kłopotów finansowych ciąg dalszy. Stojący na czele Instytutu Wałęsy mgr Jerzy Stępień, pseudonim Profesor, też ma swoje potrzeby i do tanich nie należy. Ale koszt jego utrzymania jest większy niż wpływy, jakie generuje dla Instytutu. Wiadomo już, jak skończą się te wszystkie problemy. Z olbrzymiego biura w Alejach Jerozolimskich instytut ma się przenieść do jakiejś nory podnajmowanej od Dominiki Kulczyk.

Najlepsze zostawiliśmy na koniec. Rozmawialiśmy niedawno z pewnym korespondentem prasy niemieckiej. Zwierzył się nam, że zapragnął napisać biografię Kaczora-Dyktatora w języku Goethego, Schillera i Hitlera. Zaproponował wydanie dzieła kilku teutońskim wydawnictwom. Wszystkie pomysł odrzuciły. „Putin tak, Orbán też. Ale Kaczyński – nie" – usłyszał. „Dlaczego?" – zapytał nieutulony w żalu niedoszły autor. „Jest zbyt mało demoniczny" – padła odpowiedź. ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

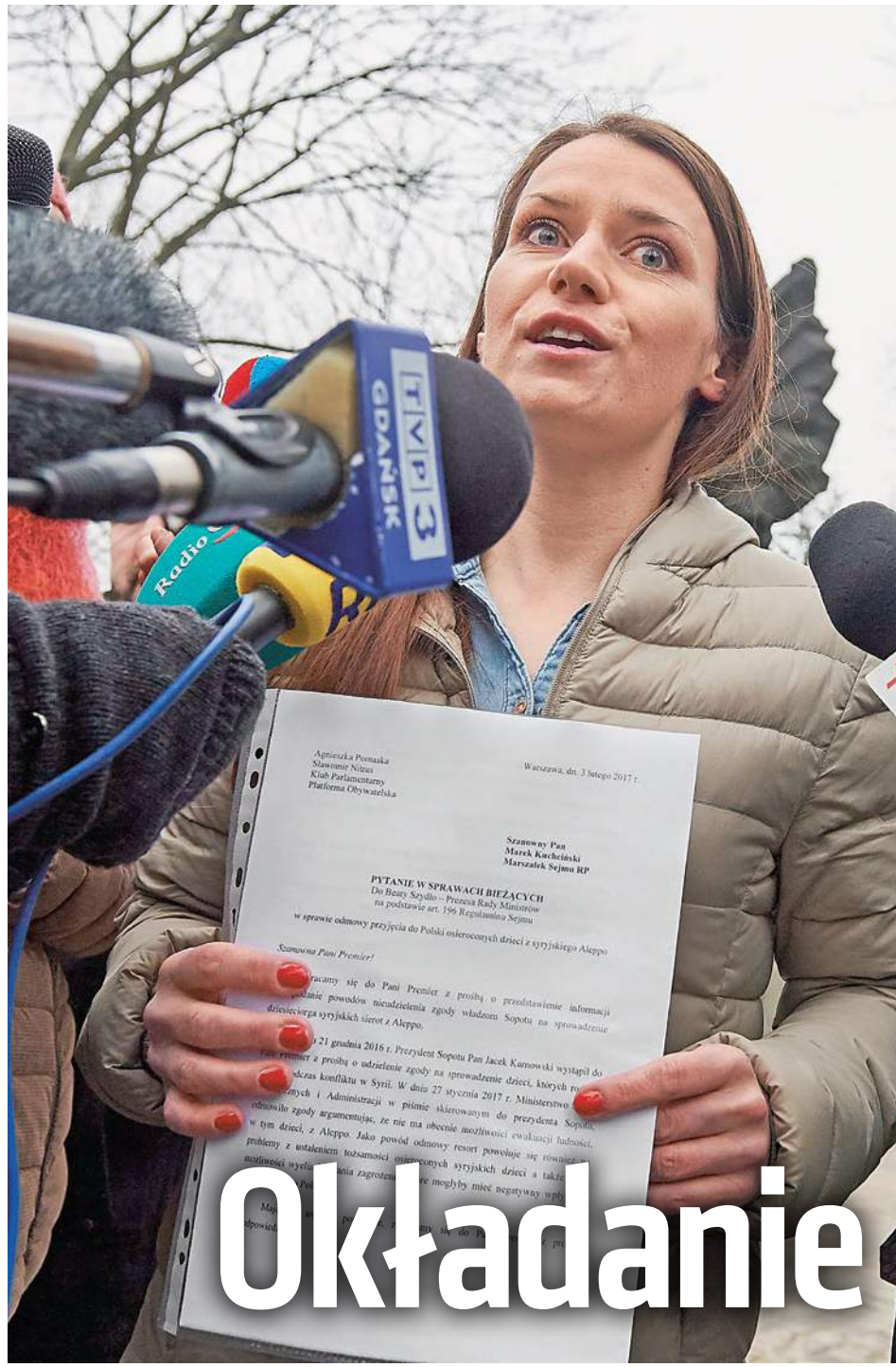

Okładanie

Witold Repetowicz

Historia 10 syryjskich sierot z Aleppo, których Sopot rzekomo nie mógł przyjąć przez zły PiS, jest nieprawdziwa. W rzeczywistości Ewa Kopacz razem z Grzegorzem Schetyną fundusze na syryjskich uchodźców obcinali, a rząd Beaty Szydło je radykalnie zwiększył

Kiedy Radio Zet, a za nim część innych mediów, podało informację, że „rząd nie zgodził się, żeby Sopot przyjął do siebie 10 sierot z syryjskiego Aleppo", podniósł się krzyk oburzenia i antyrządowego hejtu. Chociaż ani prezydent Sopotu Jacek Karnowski, ani autor tekstu dla Radia Zet Przemysław Taranek nie wyjaśnili nawet tego, z jakiego miejsca miałyby te dzieci przybyć. Karnowski w liście do premier Szydło pisze o „sprowadzeniu w trybie pilnym dzieci z Aleppo do Sopotu […], których życie jest zagrożone", i dodaje, że miałaby się tym zająć „delegowana osoba na poziomie rządowym". Z pisma wynika zatem, że nie chodziło o dzieci sprowadzone z obozu dla uchodźców, w którym ich życie nie jest już zagrożone, ale z miasta objętego walkami. W jaki sposób je sprowadzić? Tego prezydent Sopotu nie wyjaśniał. I to właśnie było rzeczywistą podstawą odpowiedzi rządu, a nie – jak to sugerowały niektóre media – strach, że pięciolatek będzie terrorystą.

MUZUŁMANIE I ADOPCJA

Gdy Janina Ochojska, szefowa Polskiej Akcji Humanitarnej, którą raczej trudno uznać za zwolenniczkę obecnego rządu, zwróciła uwagę na to, że „sprowadzanie sierot do Polski z Aleppo nie ma sensu, bo mają bliższą lub dalszą rodzinę" i że „w społeczeństwie muzułmańskim nie ma sierot", spadła na nią taka fala wyzwisk, że pod presją zaczęła się tłumaczyć z tych dość oczywistych słów.

Prawdą jest, że na Bliskim Wschodzie w przeciętnej rodzinie muzułmańskiej jest co najmniej pięcioro dzieci, które mają kilkunastu wujków i tyleż ciotek, a także kilkudziesięciu kuzynów. Zajęcie się dziećmi brata, siostry czy kuzyna jest społecznym obowiązkiem, a pozwolenie, by zostały one wywiezione za granicę do adopcji – hańbą. Jeśli w dodatku dzieci te nie zostaną wychowane w wierze islamskiej, to dla muzułmanina jest to już grzechem ciężkim. Wschodnie Aleppo rządzone było przez dżihadystów, więc łatwo można sobie wyobrazić, że konsekwencją adopcji muzułmańskiej sieroty i jej późniejszego odejścia od islamu w chrześcijańskiej rodzinie byłaby za parę lat wizyta jego dalekiego kuzyna, który ten grzech zmazałby krwią.

To nie koniec absurdów związanych z tą medialną awanturą. Pismo pre-

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Wiadomość o „10 sierotach" posłużyła opozycji do ataku na rząd. Na zdjęciu Agnieszka Pomaska (PO) i wiceprezydent Sopotu Marcin Skwierawski FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

sierotami

zydenta Sopotu nosi datę 21 grudnia 2016 r. Tymczasem 15 grudnia syryjskie siły rządowe przejęły kontrolę nad niemal całym miastem, a 22 grudnia zakończyła się ewakuacja ostatnich dżihadystów ze wschodniego Aleppo.

Zatem od kogo miałby polski rząd zabrać owe syryjskie dzieci? Porwać je z kontrolowanego przez Al-Asada Aleppo?

Taranek na Twitterze stwierdził, że dzieci miałyby zostać sprowadzone przez Polską Misję Medyczną z Idlibu. Tylko że Idlib znajduje się pod kontrolą związanej z Al-Kaidą koalicji dżihadystów o nazwie Tahrir al-Sham. Wobec tego Radio Zet znów zmieniło wersję, podając, że Polska Misja Medyczna poleciała po owe dzieci do Aleppo, po czym szybko zmieniło i tę informację, stwierdzając, iż „sieroty" miały zostać sprowadzone z Gaziantep.

CYNIZM

Wersja o przyjmowaniu 10 syryjskich sierot do Sopotu nagle zmieniła się w sprawę przyjęcia na leczenie 10 syryjskich dzieci z Gaziantep. To półtoramilionowe miasto w Turcji, w którym jest ok. 20 szpitali. W Sopocie jest jeden – reumatologiczny.

Nawet gdyby jednak przyjąć taką wersję za prawdziwą, dziwne staje się kryterium. Dlaczego do leczenia w Polsce kwalifikować miałoby to, że dziecko jest sierotą? No i sprowadzanie dzieci z Turcji na leczenie do Polski pozbawione jest sensu, bo finansowanie takiej pomocy medycznej na miejscu jest o wiele tańsze, można więc nim objąć znacznie większą liczbę dzieci.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że za rządów PO wydatki na taką opiekę ograniczano. We wrześniu 2015 r. premier Ewa Kopacz zarzucała prezesowi PiS ksenofobię i brak solidarności z uchodźcami, a kilka miesięcy wcześniej obcięła dofinansowanie jedynego projektu realizowanego z funduszy polskich na rzecz uchodźców na Bliskim Wschodzie. Chodziło o program pomocy syryjskim rodzinom, które znalazły schronienie w libańskiej prowincji Akkar. Od 2012 r. realizuje go Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. W 2014 r. pomocą objętych było 1,5 tys. rodzin, czyli ponad 7 tys. Syryjczyków. PCPM zapewniało im dach nad głową, koce, piece i opał na zimę. Pomoc dla jednej, zwykle wieloosobowej rodziny, wynosi miesięcznie 100–200 dol., to średnio 30 dol. na osobę. Polska przeznaczała na to 2,5 mln zł. Tymczasem na relokację 400 Syryjczyków do Polski rząd PO-PSL chciał przeznaczyć aż 10 mln zł. A miesięczny koszt utrzymania jednej osoby nad Wisłą wyniósłby ok. 1,5 tys. zł miesięcznie. I by znaleźć pieniądze na sprowadzanie migrantów do Europy, zaczęto ciąć koszty pomocy na miejscu. Kopacz zmniejszyła dotację dla PCPM o 20 proc. W 2015 r. organizacja pomagała już tylko 3 tys. uchodźców. Media, które dziś tak zawzięcie krytykują rząd w sprawie „10 sierot z Aleppo", wówczas milczały.

Trudno się dziwić, że ówczesną premier tak zdenerwowało wystąpienie sejmowe Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS uznał za niemoralny fakt,

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Za rządów PiS znacznie zwiększono kwoty przeznaczone na pomoc na Bliskim Wschodzie

FOT. HOSAM KATAN/REUTERS/FORUM

„że jednym się pomaga, a drugim nie", i jako alternatywę wskazał „porządek miłosierdzia", z którego wynikałby finansowy udział Polski w pomocy udzielanej potrzebującym na miejscu. Pomoc ta nie tylko jest bowiem wielokrotnie tańsza, lecz także bezpieczniejsza – nie wiąże się z nią zagrożenie, że razem z uchodźcami do Europy przyjdą terroryści.

Tyle że poprzedniemu rządowi chodziło nie o pomoc, lecz o propagandę. O to, by przed wyborami liderka partii rządzącej mogła zrobić sobie zdjęcia z kilkoma śniadymi chłopakami i konkurować z Angelą Merkel o miano współczesnej Matki Teresy.

PIS DAŁ WIĘCEJ

To, za czym już wówczas opowiadał się Jarosław Kaczyński, zrobił rząd Beaty Szydło. W 2016 r. dofinansowanie projektów humanitarnych organizacji pozarządowych ze środków Polskiej Pomocy MSZ wyniosło już 11,1 mln zł, z czego 9,6 mln zostało przeznaczone na projekty na Bliskim Wschodzie, reszta na Ukrainę.

W 2017 r. pomoc została znów powiększona – do kwoty 14,5 mln zł. Aż 11,5 mln zł przeznaczonych zostanie na projekty bliskowschodnie, a 3 mln zł na ukraińskie. Wśród beneficjentów znalazła się m.in. Polska Misja Medyczna, która otrzymała 1 mln zł na pomoc dla uchodźców w irackiej Dijali. To ta sama organizacja, która według Radia Zet chciała przywieźć z Gaziantep 10 sierot do Sopotu.

Wojciech Wilk, szef PCPM, przyznaje, że od 2016 r. widać wyraźny wzrost zaangażowania MSZ, w tym także finansowego, w pomoc dla uchodźców syryjskich. Jego organizacja w latach 2012–2015 otrzymała 8 mln zł. Czyli przez cztery lata tyle, ile teraz w jednym roku – 2017 r. Dzięki temu zapewni przeżycie 2072 rodzin syryjskich, czyli prawie 10 tys. ludzi (trzy razy więcej niż w 2015 r.).

Do tego doliczyć trzeba 500 syryjskich dzieci uczących się w finansowanej przez polskie MSZ szkole oraz dodatkowe 3 tys. syryjskich uchodźców korzystających z finansowanej przez Polskę kliniki.

Inne organizacje, które korzystają z dofinansowania MSZ, to Caritas pracujący w Jordanii i Iraku oraz Polska Akcja Humanitarna.

WIELE PROJEKTÓW

To jednak niecałe zaangażowanie polskiego rządu w pomoc humanitarną i rozwojową. W 2017 r. udział Polski w pomocy świadczonej przez Unię Europejską i Europejski Fundusz Rozwoju wyniesie 1,27 mld zł i jest to również wzrost w porównaniu z latami ubiegłymi. W 2015 r. było to 1,115 mld zł. Polski wkład w pomoc humanitarną na zasadzie wpłat dobrowolnych na projekty wielostronne i te realizowane przez polskie organizacje pozarządowe wyniósł w 2016 r. 53 mln zł podczas gdy rok wcześniej, za rządów PO – 25 mln zł.

Dodatkowo w 2016 r. Polska partycypowała w tzw. unijnym instrumencie na rzecz syryjskich uchodźców w Turcji, wydając na to ponad 73 mln zł. Cała kontrybucja Polski z tego tytułu w latach 2016–2019 wyniesie prawie 60 mln euro. Rząd Kopacz na uchodźców syryjskich w Turcji nie wydał ani grosza.

W 2017 r. Polska planuje jeszcze sześć dodatkowych komponentów pomocowych adresowanych do uchodźców na Bliskim Wschodzie, obejmujących m.in. odbudowę szkół publicznych w Libanie w ramach współpracy z Niemcami czy też pomoc za pośrednictwem wyspecjalizowanych organizacji humanitarnych w regionach występowania kryzysów humanitarnych w obszarach trudno dostępnych ze względów bezpieczeństwa.

Gdy weźmie się pod uwagę całą wartość dotacji na różne zagraniczne projekty organizacji pozarządowych (zarówno rozwojowe, jak i humanitarne) za granicą, widać wzrost finansowania za rządów PiS – z 32,7 mln w 2015 r. do 48,3 mln w 2016 r.

SZKODLIWA MANIPULACJA

Naszym okrętem flagowym na Bliskim Wschodzie jest Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. Niosąc pomoc, dba o to, by wszędzie widoczna była informacja, że tę pomoc zapewnia Polska. Efekty widziałem na własne oczy, słyszałem, jak syryjscy uchodźcy błogosławili nasz kraj.

Nieprawdziwa historia „10 sierot", których rzekomo polski rząd zabronił przyjąć dobremu prezydentowi Sopotu, za pośrednictwem mediów wysyła w świat sygnał o tym, że Polska innym nie pomaga. I to niestety też działa, o czym również miałem okazję się osobiście przekonać.

Imigranci z Bliskiego Wschodu, mieszkający w Polsce od lat, sprawę widzą podobnie.

Znajomy Kurd z Syrii w bardzo emocjonalny sposób skrytykował sprawę „10 sierot". Jego zdaniem zamiast tego należałoby ufundować w Kobane przedszkole dla dzieci bohaterów, którzy zginęli w walce z Państwem Islamskim. Wie, co mówi, bo z tą terrorystyczną zmorą walczą też jego bratankowie. Ci ludzie chcą pomocy tam, a nie wyławiania specjalistów, którzy będą łatali dziury na niemieckim rynku pracy, oraz wykradania im dzieci. Przyszłości ich narodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

FOT. SULTAN KITAZ/REUTERS/FORUM

Bezmiar hipokryzji

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Rafał A. Ziemkiewicz

Operacja „Sieroty z Aleppo" to tylko kolejny zabieg środowiska, które od zawsze posługuje się kłamstwem i manipulacją

Prezydent Sopotu Jacek Karnowski otworzył nowy rozdział w propagandowej wojnie, jaką toczą przeciwko rządom PiS siły polityczne, które przegrały w ostatnich wyborach. A może zasługa ta przypada raczej pracownikom Radia Zet, którzy umiejętnie obrobili propagandowo jego apel? W każdym razie zaproponowany przez Karnowskiego chwyt wyraźnie spodobał się Platformie i jej mediom.

Kolejne rządzone przez PO miasta, jedno po drugim, podejmują uchwały o gotowości przyjęcia „sierot z Aleppo", najlepiej w liczbie „co najmniej 10". Oczywiście uchwały takie są szalenie łatwe do podjęcia, bo nie wiążą się z niczym konkretnym. Nie ma przecież żadnych syryjskich sierot, które poszukiwałyby nowego miejsca osiedlenia, a już szczególnie nie ma ich w Polsce. A gdyby nawet były, władze miejskie nie mają żadnych uprawnień, by decydować o lokalizacji ewentualnego lokum dla nich.

Akcja przypomina nieco podobne ożywienie przed poprzednimi wyborami – choć od czasu do czasu przypominające o sobie do dziś – gdy zdominowane przez PO samorządy jeden po drugim uchwalały lokalne programy wsparcia dla klinik oferujących zapłodnienie in vitro. Tamte uchwały również w zdecydowanej większości nie mają żadnego praktycznego znaczenia, nie rozwiązują żadnych problemów (nawet jeśli założyć, że kontrowersyjna i bardzo kosztowna procedura służy rozwiązywaniu takowych) – ich jedynym celem było zrobienie na złość Kościołowi, który krytykuje in vitro ze względów zasadniczych, i PiS.

SPRAWDZONE MANIPULACJE

Uchwały o gotowości przyjmowania syryjskich sierot różnią się od tamtej fali o tyle, że tu mamy dodatkowo do czynienia z oszczerstwem. O ile PiS rzeczywiście pozostaje przeciwny finansowaniu z publicznych pieniędzy sztucznego zapłodnienia, o tyle przypisywanie mu wrogości wobec hipotetycznych sierot jest czystą insynuacją. Insynuacją dobrze wkomponowaną w całą lewicową narrację, która dominuje w zachodnioeuropejskich mediach i w politycznie poprawnej tresurze stosowanej przez eurokratów wobec Polski, Węgier i innych państw regionu. W narracji tej masowe wpuszczanie imigrantów z krajów muzułmańskich nie jest tym, czym jest w istocie – politycznym wyrachowaniem, obliczonym na rozbicie młotem „wielokulturowości" państw narodowych i odruchu europejskiej tradycji – ale aktem chrześcijańskiego miłosierdzia. Z euromowy nie przypadkiem usunięto słowo „imigrant", zastępując je budzącym lepsze skojarzenia „uchodźcą", i nie przypadkiem, wbrew statystyce, pokazuje się w telewizji nie młodych mężczyzn, ale kobiety oraz dzieci, które w imigranckim zalewie stanowią znikomą mniejszość.

Szczytem propagandowego wzmożenia było sfabrykowanie i wpuszczenie w medialny obieg dwa lata temu łamiącego serca oraz polityczne opory zdjęcia, przedstawiającego wyrzucone na plażę zwłoki chłopczyka. Wymyślając „sieroty z Aleppo", którym chce pomóc wywodzący się z PO prezydent Sopotu, a bezlitosna Beata Szydło mu to uniemożliwia, propagandyści „opozycji totalnej" sięgnęli po sprawdzony wzór.

Nie po raz pierwszy zaprezentowali straszliwą hipokryzję, i to na wielu poziomach. Wrażliwość na sierocą krzywdę, którą nagle wykazał się Jacek Karnowski wobec „antypisowskich" sierot z Aleppo, nijak ma się do jego wieloletniej działalności prezydenta Sopotu. Przeciwnie, z roku na rok zmniejszał budżet domu dziecka, w którym jakoby chciał ulokować sieroty z Syrii. Po głośnym apelu dziennikarze doliczyli się też ok. 100 rodzin, które pozostając w biedzie, bezskutecznie szukały pomocy w miejskich instytucjach i zostały odesłane z kwitkiem. Także w Gdańsku, Krakowie i innych miastach, które podjęły operację „Sierotka", próżno by wcześniej szukać przejawów empatii wobec ludzi w różnoraki sposób pokrzywdzonych. Pojawiła się ona dopiero wtedy, gdy można jej użyć do politycznej kampanii.

To znowu bardzo przypomina poprzednią akcję „zawstydzania" PiS przez samorządy, kiedy to w miastach nieprzejmujących się szczególnie stanem swoich przychodni i szpitali ani poziomem świadczenia podstawowych usług medycznych dla przeciętnego obywatela nagle oczkiem w głowie lokalnych władz stawało się dofinansowanie celebryckiej kliniki i zabiegu niemającego nic wspólnego z najpilniejszymi potrzebami mieszkańców.

POLSKIE DZIECI?

Hipokryzją niewątpliwą jest budzenie wśród wyborców i odbiorców mediów wrażliwości na krzywdę dziecięcych ofiar syryjskiej wojny przez siły polityczne, które wtedy, gdy niepodzielnie rządziły Polską, nie robiły praktycznie nic, przynajmniej w porównaniu z obecną władzą i z licznymi prywatnymi fundacjami, często powiązanymi z Kościołem, by realnie pomóc ofiarom wojny – tym, którzy naprawdę muszą z Syrii uciekać, a nie są to, tak się składa, muzułmanie, tylko syryjscy chrześcijanie. Gdy za rządów Ewy Kopacz jedna z takich fundacji, działająca na Opolszczyźnie, przygotowała plan osiedlenia w regionie 60 rodzin – był to plan, w przeciwieństwie do pajacowania platformerskich samorządów, przemyślany, szczegółowy, przygotowano nie tylko mieszkania dla przyjmowanych rodzin, lecz także pracę dla uchodźców u sponsorujących projekt lokalnych przedsiębiorców – jej przewodniczący został wezwany przez stosowne władze, które obcesowo domagały się zatrzymania całej akcji z uwagi na względy bezpieczeństwa. Na tym etapie bowiem rząd twierdził, że dokładne sprawdzenie syryjskich 60 rodzin przekracza możliwości służb specjalnych III RP i tak masowe sprowadzanie do Polski Syryjczyków jest igraniem z zagrożeniem terroryzmem. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że było to jakiś miesiąc przed wygłoszeniem przez Angelę Merkel słynnych słów „herzlich willkommen",

Wrażliwość na sierocą krzywdę, którą okazał Jacek Karnowski, nijak ma się do jego wieloletniej działalności jako prezydenta Sopotu

eprasa.pl 2ca7fd0c41

po których nastawienie rządu PO-PSL wobec „uchodźców" zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

NIEWYGODNE WSPOMNIENIE

Operacja „Sierotka" wygląda szczególnie obrzydliwie, jeśli przypomnieć sobie zbiorowy rechot, jakim „totalna opozycja" zareagowała nie tak przecież dawno na podniesienie przez kandydata do prezydentury Andrzeja Dudę problemu niedożywienia polskich dzieci. Chociaż problem był niewątpliwy, zaświadczony nie tylko przez licznych samorządowców i pedagogów, lecz także przez statystyki GUS, to hasło „głodne dzieci Dudy" stało się lejtmotywem kampanii szyderstw i sposobem na pobudzanie medialnego rechotu.

W tamtej konkretnej sytuacji ówczesne – jeszcze – władze i elity, a dziś „opozycja totalna" – nie znalazły w sobie za grosz współczucia ani „wrażliwości społecznej", kierowały się jedynie instynktem obrony swojej propagandowej wizji III RP jako kraju wielkiego cywilizacyjnego sukcesu i niezaznanego od tysiąca lat dobrobytu, tym samym, który uruchomił histerię wokół wyrwanego z wyborczego spotu Dudy zdania o „podnoszeniu Polski z ruin" i kazał kibicom PO-PSL zarzucać Internet opatrzonymi szyderczym tagiem „PolskaWRuinie" zdjęciami nowoczesnych i pięknie iluminowanych biurowców, centrów handlowych, aquaparków i sfinansowanych ze środków unijnych dworców w wielkich miastach.

Obok szyderstw były także obliczone na pomniejszenie problemu racjonalizacje. „W Polsce nie ma głodnych dzieci, statystyki mówią tylko o dzieciach niedożywionych" – orzekła premier Kopacz, a jej partyjna koleżanka Julia Pitera wyjaśniła, że przyczyną problemu jest panująca na wsi „kultura niejedzenia śniadań". Chyba nietrudno sobie wyobrazić, co by się działo w oddanych „opozycji totalnej" mediach, gdyby na histerię wokół 10 sierotek, których zły PiS nie pozwala prezydentowi Sopotu sprowadzić z Aleppo, jakiś polityk PiS usiłował odpowiedzieć analogicznym argumentem w rodzaju: „Jeśli jest wojna, to muszą być sieroty"?

„Świeże groby zawsze wzruszą, obojętnie gdzie kopane" – śpiewał przed laty bard Salonu Niezależnych, który zresztą dziś, niepomny całego swojego życiorysu, broni ofiarnie faktur na żonę, za pomocą których jego obecny idol, Mateusz Kijowski, unikał łożenia zasądzonych alimentów na własne dzieci. Krzywdą dzieci też się „zawsze wzruszy" masową publiczność. Jednak z powodów oczywistych na współczucie zasługuje niedola tylko tych dzieci, którymi można przywalić PiS, ewentualnie jeszcze Kościołowi i, ogólnie, „endeckiemu ciemnogrodowi". Szyderstwa z „głodnych dzieci Dudy" na szczęście są już historią, bo – jak pokazały statystyki – problem braku w sferach uboższych „kultury jedzenia śniadań" został niemal całkowicie zlikwidowany przez rządowy program „500+".

OBÓZ POGARDY

Warto jednak – skoro opozycja doznała takiego wzmożenia miłości do dzieci syryjskich – przypomnieć, jak ten program, który poza likwidacją skrajnego ubóstwa przyniósł także zauważalny wzrost urodzeń, kilkaset razy większy niż wszelkie starania PO o upowszechnienie in vitro, pobudzał uczestników operacji „Sierotka" do niekontrolowanych erupcji pogardy dla gorzej urodzonych. Wiele papieru można by zapełnić, zbierając wszystkie te jaśniepańskie elukubracje o sponsorowaniu meneli, którzy przeznaczą zasiłki na wódkę, i leniwych kobiet, które obdarowane przez prowadzący nas ku greckiemu bankructwu rząd zasiłkami „wypadają z rynku pracy", porzucając zyskowne i otwierające błyskotliwe drogi zawodowej samorealizacji posady kasjerek w dyskontach, te lamenty nad psuciem przez biedotę atmosfery i krajobrazu w nadmorskich kurortach, gdzie kiedyś było tak miło i europejsko, czy wreszcie nad wspomnianymi dyskontami i innymi pracodawcami, zmuszanymi przez PiS-owskie rozdawnictwo do podnoszenia płac, co musi zagrozić ich wynikom ekonomicznym, a tym samym, w skali kraju, wypracowanemu przez obóz III RP wzrostowi PKB.

Bezmiar hipokryzji „salonów" pozwoliłby mnożyć przykłady bez końca, tym bardziej że krańcowo odmienne miary współczucia wobec dzieci, którym PiS pomaga, i tych, wobec których jest oskarżany o nieczułość, to tylko jedno z niezliczonych pól, na których się ona przejawia. Hipokryzja, „kalizm", wpisane są w całą postawę salonu, michnikowszczyzny czy jakkolwiek nazwiemy formację nadającą ton dyskursowi III RP. Hipokryzja i podwójne miary, zawsze względne oraz uzależnione od tego, czy mowa o swoim, czy o wrogu, i co służy, a co nie służy środowiskowym interesom, przejawiają się tu na każdym kroku i bezustannie. W pryncypialnym atakowaniu tych samych projektów, które były oklaskiwane, gdy zgłaszali je nasi (metropolia warszawska), w odmiennym traktowaniu ekscesów „swoich" i „onych" (zestawmy oburzenie na wyskok Bartłomieja Misiewicza do białostockiej dyskoteki z setkami wypowiedzi autorytetów bagatelizujących wielkopańskie bankiety dygnitarzy PO przy ośmiorniczkach) – by sięgnąć ku samemu mitowi założycielskiemu, także w nieustępliwej obronie, wbrew wszelkim faktom, krzywoprzysięstwa Wałęsy.

Wiadomo, że nie dlatego liderzy opinii „totalnej opozycji" bronią go tak zawzięcie, by nie wiedzieli, iż donosy z szafy Kiszczaka są fałszywe, a wygrane w totolotka wręcz przeciwnie, czemu sami dają półgębkiem wyraz. Jednak przecież człowieka, którego logika walki politycznej każe im dziś zachwalać jako bohatera, który nigdy nic złego nie zrobił i który dawno to odkupił, otaczają w istocie głęboką pogardą.

Skoro w programach TVN jazgot wokół okrucieństwa PiS względem sierot z Aleppo sąsiadował z kolejnymi łgarstwami Wałęsy, to warto dzisiejsze popisy lizusostwa wobec byłego „Bolka" skonfrontować z tym, co te same elity, często te same osoby, głosiły w czasach, gdy modne było noszenie koszulek z napisem: „Bendem prezydentem" i opowiadanie kawałów o prymitywnym chamie, który się głosami wiochy wcisnął do Belwederu oraz przypisuje sobie zasługę odzyskania wolności, należną Geremkowi, Kuroniowi oraz ich ekipie. Ot, choćby ówczesne dzieła Adama Michnika czy jego wiecznego p.o. – Jarosława Kurskiego.

Jak to ujęto w komedii wszech czasów: „Ci ludzie nigdy słowa prawdy nie powiedzieli". Operacja „Sieroty z Aleppo" to tylko jeden z niezliczonych przykładów funkcjonowania Rzeczypospolitej Kłamców i Cynicznych Obłudników, jaką przez ćwierć wieku wytworzył i ugruntował „etos" założycielskiego szwindlu z Magdalenki oraz byłego Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność" Lechu Wałęsie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Triumf cierpliwości

Piotr Semka

Ostatnie spotkanie Jarosława Kaczyńskiego z Angelą Merkel to podsumowanie dialogu, który trwa dość długo. Otwiera się nowa faza wzajemnych stosunków

Jeden obraz mówi więcej niż tysiące słów. Zdjęcie Jarosława Kaczyńskiego ściskającego dłoń Angeli Merkel w Warszawie to symbol, który zauważono w całej Europie. Kanclerz Niemiec wyraźnie wskazała, że lider PiS gra w innej lidze niż Marine Le Pen we Francji czy Geert Wilders w Holandii. Wizyta Angeli Merkel kończy pewien okres, w którym Kaczyński zmagał się z presją części europejskich elit. Tendencji furiackiej walki z „kaczyzmem" i przedstawiania Polski jako kraju „stawiającego się poza Europą", której twarzami są Guy Verhofstadt, Frans Timmermans i Martin Schulz.

Dokładnie rok temu Grzegorz Schetyna, będąc pewny wsparcia Brukseli, zapowiadał uruchomienie przeciw PiS „ulicy i zagranicy". Presja „ulicy" stała się iluzją już dawno, a teraz najważniejszy z liderów europejskiej „zagranicy" przybył do Warszawy na partnerskie rozmowy z czołówką PiS. To szansa na początek realnego i partnerskiego dialogu. W tym sensie dziennik „Die Welt" słusznie pisał o najważniejszej wizycie kanclerza RFN w Polsce od 1989 r.

UJAWNIONY FLIRT

Wydawałoby się, że ujawnienie, iż Jarosław Kaczyński w lipcu zeszłego roku spotkał się już raz z niemiecką panią kanclerz na długiej rozmowie w podberlińskim pałacyku Meseberg, powinno stać się w polskich mediach punktem wyjścia do pogłębionych analiz. U nas było jedynie asumptem do przytyków, że PiS zarzucał opozycji spotkania w ambasadzie RFN, a lider tej partii też spotykał się na „niemieckiej ziemi". Tymczasem warto uważnie wsłuchać się w słowa prof. Ryszarda Legutki: „Prezes był gościem pani kanclerz Merkel i to było dłuższe spotkanie, gdzie bardziej szczegółowe kwestie były omawiane. [...] To było bardzo ciekawe, długie spotkanie w dobrej atmosferze".

W świetle tych słów staje się jasne, że spotkanie w hotelu Bristol 7 lutego było podsumowaniem dialogu, który trwa dość długo. Co więcej – że w Mesebergu doszło do sformułowania kluczowych zagadnień dotyczących przyszłości Unii, które zostały przez ostatnie pół roku przemyślane i przepracowane, a otoczenie Kaczyńskiego było zdolne do zachowania tego w absolutnej tajemnicy.

Punktem wyjścia do tego dialogu z kanclerz Niemiec było parę deklaracji Jarosława Kaczyńskiego, których waga na tle zgiełku bieżącej wojny PiS z opozycją nie została w Polsce dostrzeżona. Były to kolejno: wyraźne zdystan-

eprasa.pl 2ca7fd0c41

sowanie się Kaczyńskiego od ukłonów ze strony niemieckiej Alternative für Deutschland, podkreślanie woli Polski, by pozostać w Unii oraz pracować nad jej wzmocnieniem, i wreszcie jasna deklaracja – Angela Merkel w Kanzleramcie na kolejną kadencję to dla PiS dobra opcja. Wszystkie te komunikaty padły w paru wywiadach Kaczyńskiego dla niemieckiej prasy i były traktowane u nas jedynie jako ciekawostka.

Tymczasem była to oferta do zasypania rowów w relacjach PiS – CDU. Sygnały woli współdziałania zostały przyjęte. Merkel wygasiła udział dyplomacji RFN w próbach nakładania na Polskę sankcji i zaczęła uznawać stabilność władzy PiS nad Wisłą za wartość, a nie problem. Kaczyński nie mógł jednak akceptować zbyt długo pozostawania tego quasi-sojuszu w tajemnicy. Stąd propozycja lutowego spotkania w Warszawie i oczekiwanie ze strony Merkel wyraźnego sygnału, że Polska pod władzą PiS jest pełnoprawnym uczestnikiem europejskiej gry interesów.

Owszem, na wspólnej konferencji z Beatą Szydło niemiecka kanclerz wspomniała – co część polskich mediów nagłaśniała potem do znudzenia – jak ważne są pluralistyczne społeczeństwa, niezależne media i wymiar sprawiedliwości. Jednocześnie wyraziła przekonanie, że wątpliwości w tych sprawach winny być wyjaśniane wyłącznie na linii Komisja Europejska i Komisja Wenecka – Warszawa. Także jej spotkaniu z PO i PSL nadano charakter spotkania z partnerami z EPP, a nie demonstracji wsparcia dla „jedynych obrońców demokracji nad Wisłą".

TWARZĄ W TWARZ

O wiele ważniejsze było to, na co zwrócił uwagę minister Konrad Szymański – w czasie wizyty Angeli Merkel w Warszawie wreszcie było dostatecznie dużo czasu, by liderzy obozu PiS przedstawili nie tylko swoje stanowisko w sprawach kształtu Europy, lecz także mogli szczegółowo wyjaśnić, dlaczego tak myślą. „To niezbędne dla uzyskania porozumienia" – wskazał Szymański. Rzecz pozornie oczywista, ale w sytuacji, gdy wielu polityków i wiele mediów w Europie polemizuje z karykaturą poglądów PiS, nabiera ona niezwykłej wagi.

Kaczyński wyjaśniał, dlaczego uważa, że Unia w starym kształcie nie wytrzyma naporu sił jej niechętnych, a jednocześnie niepokojąco prorosyjskich. Powoli wychodzą na jaw tematy rozmów z hotelu Bristol. Współpraca przy tekście marcowej deklaracji celów Unii z okazji 60-lecia traktatów rzymskich, deklaracja PiS, że znajdzie jakiś sposób na załagodzenie kontrowersji wokół polskiego Trybunału Konstytucyjnego, deklaracja woli koordynowania stanowisk w sprawie relacji UE – Wielka Brytania po Brexicie czy wreszcie konsultacje w sprawie europejskiej polityki obronnej – to kwestie, którymi mają się zająć obie strony w najbliższych tygodniach i miesiącach. Tymczasem wiele polskich mediów domagało się od polityków PiS tylko jednej deklaracji: „Poprzecie Donalda Tuska czy nie?".

Stanowisko polityków PiS było inne. Zachęcali Angelę Merkel do namysłu, czy jest sens mnożyć w Unii funkcje fasadowe – tworzone pod politycznych faworytów z własnego nadania – czy też postawić na niekiedy niełatwe, ale prawdziwe ucieranie się racji suwerennych państw unijnych.

Wiązało się to z kolejną przestrogą Kaczyńskiego – ostrzeżeniem przed pomysłami unijnej lewicy na wykreowanie Angeli Merkel na obrończynię Europy przed demonizowanym Donaldem Trumpem. Dlatego podkreślano wagę dbałości o relacje transatlantyckie. I odrzucano teorię „dwóch wrogów", stawiającą w roli zagrożenia dla Unii na równi Putina i Trumpa. To oczywiste zacietrzewienie – Ameryka jest krajem demokratycznym, który ponosi większość wysiłku obronnego świata zachodniego. Jeśli Trump krytykował Europę, że ta „jedzie na gapę" i spycha na Amerykę większość nakładów na obronę, to trzeba to uszanować, a nie wyciągać z tego teorię o niechęci nowego prezydenta do NATO.

I jeśli iść tym tropem myślenia, to można uznać warszawską zapowiedź Merkel o woli zwiększania budżetu wydatków RFN na obronę za krok ku zmniejszaniu nieporozumień z Trumpem. Ostatnie wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego o konieczności dalszego zwiększania polskich nakładów na obronę idą w tym samym kierunku.

NOWY NIEWSPANIAŁY ŚWIAT

W dniu przyjazdu Angeli Merkel do Warszawy wizytę anonsowano na dwa różne sposoby. „Gazeta Wyborcza", występując w roli samozwańczego rzecznika niemieckiej kanclerz, pisała: „Merkel do Kaczyńskiego: Chcecie być na peryferiach [Europy – przyp. red.]?". Inny ton przyjęła „Rzeczpospolita": „Merkel liczy na Warszawę". Oba tytuły były charakterystyczne dla maniery

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49 ZŁ

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 19 lutego 2017 r.

1.

59,90 zł
48,90 zł

2.

34,90 zł
24,90 zł

3.

59,00 zł
39,00 zł

4.

39,90 zł
25,90 zł

5.

49,90 zł
29,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 2ca7fd0c41

postrzegania szefowej rządu RFN jako wszechmocnego demiurga unijnej polityki i nadzorczyni polityki polskiej.

W wizji „Wyborczej" Merkel miała być surowym pedagogiem, „dającym Warszawie ostatnią szansę" i przywołującym ją do układania relacji wewnętrznych ekipy PiS z opozycją według zasad definiowanych poza Polską. Wizja „Rz" to z kolei pani kanclerz jako dobra ciocia chcąca skłonić Polaków do racjonalizmu i wspólnych dzieł. Ani jeden, ani drugi dziennik nie wziął pod uwagę, że gość z Berlina może pójść trzecią drogą i wybrać rzeczowy dialog.

Ten pragmatyzm Merkel wynika z faktu, że sytuacja w Europie niewiele przypomina epokę lat 2007–2015, gdy nikt nie brał na serio ostrzeżenia w postaci agresji Putina na Gruzję. Nikt nie przewidywał Brexitu, nikt nie uwierzyłby w szanse Trumpa na zdobycie Białego Domu, nikt nie spodziewał się fali uchodźców i agresji Rosji na Ukrainę. W tym spokojnym świecie wszechpotężnej Unii pod światłą kuratelą Niemiec było miejsce na obsypywanego pochwałami z Berlina Donalda Tuska i na rozprawiającego o zaletach bigosu Bronisława Komorowskiego.

Problem w tym, że tego świata już nie ma, a ci, którzy wciąż roją o „even closer Union", nie odróżniają swoich marzeń od rzeczywistości i nastrojów Europejczyków. A w samych Niemczech szefowa CDU zmaga się z konkurencją agresywnego rywala, którym jest Martin Schulz, Kanzlerkandidat SPD.

W tym nowym, o wiele mniej bezpiecznym świecie Merkel nauczyła się już, że trzeba szukać partnerów, którzy nie są ulubieńcami komentatorów „Die Zeit" czy „Der Spiegel", ale mają jedną zaletę. Traktowani serio mogą być przewidywalnymi i lojalnymi partnerami.

Najwyraźniej jak dotąd nie zrozumieli tego ani Grzegorz Schetyna, ani Władysława Kosiniak-Kamysz, którzy utknęli mentalnie na etapie biegania na skargę do obcych ambasad. Teraz politycy opozycji przeżywają kolejne niemiłe zaskoczenie. Kaczyński sprawnie wszedł na teren dyskusji o przyszłości Europy – obszar uważany dotąd przez PO za swoją wyłączną działkę.

Podczas wizyty w Polsce Angela Merkel sprawiała wrażenie, że jest gotowa uznać PiS za trwały element europejskiej układanki

Dialog liderów obozu PiS z Angelą Merkel nie jest usłany różami. Jest wiele spraw, które dzielą i będą jeszcze dzieliły Warszawę i Berlin – kwestia Nord Stream, statusu mniejszości polskiej w RFN czy wizji i tempa zmian traktatowych w Unii. Także duża część niemieckich mediów zapewne nie zrezygnuje z niechętnego tonu pisania o liderze PiS.

Jednak wyraźnie weszliśmy w nową fazę stosunków z sąsiadem zza Odry. Po latach bycia „brzydką panną na wydaniu", animozji z lat 2005–2007, gdy polityczne elity Niemiec doznały szoku z powodu podwójnej wygranej PiS, i po epoce Tuska w roli najlepszego ucznia w unijnej szkółce jest szansa, że w końcu nadejdą normalność i partnerstwo. Na czas konstruktywnego dialogu między partnerami umiejącymi rozsądnie określać swe interesy i dyskutować o nich bez medialnej tromtadracji. Oby obie strony dorosły do tej nowej fazy wzajemnych stosunków.

WARUNEK SINE QUA NON

Jedno trzeba raz jeszcze podkreślić. Nawet najbardziej racjonalne rozważania na temat szans na koordynację działań Warszawy i Berlina z punktu widzenia PiS musiały zacząć się od spełnienia przez stronę niemiecką prostego oczekiwania: „Uznajcie faktycznie, a nie tylko deklaratywnie, prawowitość i podmiotowość naszych rządów. Nie straszcie nas w kółko sankcjami, nie grożcie wciąż podziałem na Europy różnych prędkości".

Podczas wizyty w Polsce Angela Merkel sprawiała wrażenie, że jest gotowa uznać PiS za trwały element europejskiej układanki. Pojawiają się wizje wejścia PiS do Europejskiej Partii Ludowej, do której należy już przecież Fidesz Viktora Orbána. Prasa rosyjska z irytacją pisze o zbliżeniu Warszawy i Berlina na bazie antyrosyjskich emocji. A zdezorientowane proopozycyjne media próbują udawać, że nic ważnego się nie zdarzyło. Ich wybór. Teraz wypada już tylko trzymać kciuki za Angelę Merkel w wyścigu z SPD o fotel kanclerski. To będą, także dla nas, naprawdę gorące wybory.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Miliony KOD bez rozliczeń

śledztwo DO RZECZY

Marcin Makowski

„Do Rzeczy" dotarło do dokumentu, który ukazuje skalę zaniedbań i nieprawidłowości finansowych w ogólnopolskich strukturach Komitetu Obrony Demokracji

Co wiemy o finansach KOD" – taki tytuł nosi datowany na 28 stycznia 2017 r. raport opublikowany na zamkniętym forum Komitetu Obrony Demokracji. Pod jego ustaleniami podpisał się tzw. Zespół dobrych usług na rzecz KOD. W jego skład weszli: Danuta Kuroń (była działaczka Solidarności, druga żona Jacka Kuronia), Halina Flis-Kuczyńska (dziennikarka, żona Waldemara Kuczyńskiego), Piotr Niemczyk (były wiceminister gospodarki i funkcjonariusz UOP), prof. Krystyna Skarżyńska (psycholog z SWPS) i prof. Monika Płatek (prawniczka oraz feministka). Jak głosi podtytuł dokumentu, stanowi on „wiedzę zebraną dla członków i osób wspierających KOD, przekazaną na ręce Mateusza Kijowskiego".

Pomimo fragmentaryczności ujawnionych danych to jedno z najprecyzyjniejszych zestawień wydatków i niefrasobliwości finansowej KOD.

Zdaniem naszego informatora publikacja jest też elementem „wojny na górze" w KOD, w której wymienieni sygnatariusze przerzucają odpowiedzialność za obecny kryzys na zarząd główny, wybielając przy tym Mateusza Kijowskiego.

Oficjalnie Komitet Obrony Demokracji w formie stowarzyszenia powołano do życia 2 grudnia 2015 r., podczas spotkania założycielskiego w Warszawie. Właśnie wtedy ukonstytuował się pierwszy zarząd oraz wyznaczono tymczasowego przewodniczącego i jego zastępcę. Kluczowe jest tutaj słowo „tymczasowego", ponieważ zgodnie z ówczesnym statutem wymienione funkcje po prostu nie istniały. Zgłoszony w czerwcu 2016 r. do KRS nowy statut ową lukę wypełniał, zakładając jednak, że kierownictwo musi zostać wyłonione podczas głosowania, które odbyłoby się na walnym zjeździe członków KOD. Do takich wyborów jednak nigdy nie doszło.

DWA MILIONY

Aby KOD mógł funkcjonować, w grudniu 2015 r. ustanowiono również Komitet Społeczny, który zajął się zbiórką funduszy. I to właśnie – zdaniem sygnatariuszy raportu o finansach KOD – brak jasnego podziału kompetencji i odpowiedzialności pomiędzy wymienionymi częściami składowymi Komitetu odpowiada za obecną skalę nadużyć. W raporcie wyliczono, że gromadzenie funduszy KOD odbywało się na trzech płaszczyznach: „zrzutki internetowej", „zbiórki publicznej do puszek" oraz „darowizny na konto". Każda przeprowadzana była bez należytej staranności i koordynacji, między odpowiedzialnymi za nie organami.

Jak wynika z danych zebranych przez „Zespół dobrych usług na rzecz KOD", to od 9 grudnia 2015 do 29 lutego 2016 r. w pierwszej formie na konto Komitetu wpłynęło 203 255 zł. Chociaż w opisie kolekty na stronie Zrzutka.pl widniało zapewnienie o rozliczeniu się z każdej złotówki, to do tej pory protokoły wywiązujące się z tej obietnicy nie ujrzały światła dziennego.

Najwięcej zastrzeżeń natury formalnej budzą jednak przede wszystkim zbiórki publiczne. „31 października 2016 Komitet Społeczny złożył do MAiC sprawozdanie z zebranych do puszek w okresie od 15 grudnia 2015 do 30 września 2016 r. pieniędzy. Podano w nim sumę zebranych środków – 1 094 754,70 zł oraz koszty organizacji zbiórki – 787,61 zł. Ustawowy termin przekazania do MAiC informacji końcowej o wydatkowaniu tych pieniędzy jeszcze nie minął, ale informacje cząstkowe adresowane do opinii publicznej, a przede wszystkim Zarządu Stowarzyszenia, powinny się ukazywać sukcesywnie. Nie jest także dostępna informacja, czy zbierano pieniądze do puszek i ile zebrano w listopadzie i grudniu 2016" – czytamy w dokumencie.

Poza brakiem rozliczeń tak znacznej sumy dziwić może również oczywista pomyłka „Zespołu dobrych usług". Czy to możliwe, aby profesorowie oraz ludzie czynnie zaangażowani w politykę nie wiedzieli, że wskazane pozwolenia należało uzyskać od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, a nie od Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji, które nie istnieje od listopada 2015 r.?

Ostatnią formą pozyskiwania funduszy, którą wymienia raport, były darowizny na konto Komitetu Społecznego założone w Banku Zachodnim WBK. Do tej pory nie ujawniono wielkości wpłat ani informacji o wykorzystaniu przekazanych tam pieniędzy.

„Po zarejestrowaniu KOD w KRS-ie Komitet nie wyrejestrował konta bankowego, więc darowizny od osób fizycznych w dalszym ciągu na to konto wpływają. Musi zostać wyjaśnione, dlaczego Komitet Społeczny nie zaksięgował tych wpłat mimo upływu roku rozliczeniowego?" – pytają profesorzy i działacze społeczni. Jednocześnie zauważają, że w tym samym czasie zbiórki na rachunki bankowe gromadziło stowarzyszenie KOD. Składki członkowskie przelewane były na konto w Volkswagen Bank, gdzie od 1 kwietnia do 30 listopada 2016 r. zaksięgowano wpływy w wysokości 246 545,86 zł. Darowizny od osób fizycznych na rzecz stowarzyszenia oraz pieniądze ze zbiórek przelewane przez oddziały regionalne

eprasa.pl 2ca7fd0c41

wpływały natomiast na konto w Idea Banku, gdzie w analogicznym okresie doliczono się dokładnie 461 756,09 zł.

Łatwo zatem wyliczyć, biorąc pod uwagę jedynie ujawnione przychody, że Komitet Obrony Demokracji obracał do 30 listopada kwotą ponad 2 mln zł. W dużej mierze nierozliczonych i nieodpowiednio nadzorowanych. Według autorów raportu księgowa, która zajmowała się porządkowaniem dokumentacji finansowej pro publico bono od 20 października do 16 stycznia 2017 r., zwolniła się ze względu na brak współpracy ze strony zarządu. Do tego czasu udało się jednak stworzyć przybliżony plan wydatków KOD. Niektóre pozycje mogą zaskakiwać.

WYDATKI KOD

Przez trzy miesiące księgowej udało się zebrać i zestawić ze sobą cząstkową strukturę wydatków stowarzyszenia, przeprowadzoną na podstawie historii przelewów z kont oraz kwot podanych na 192 wystawionych fakturach. Zgodnie z danymi, obejmującymi okres od 1 kwietnia do 30 listopada 2016 r., wyodrębniono siedem głównych pozycji, w odniesieniu do których uszeregowano obciążenia. Poniżej, po raz pierwszy, przedstawiamy je za oficjalnym raportem ciała doradczego Komitetu Obrony Demokracji:

1. Zakup sprzętu komputerowego i telefonów – 22 808,29 zł,
2. Koszty oddziałów regionalnych (czynsze, koszty eksploatacji, wyposażenie biura, materiały do remontu, artykuły biurowe, usługi promocyjne, koszty marszów i pikiet, od przypinek do wynajmowanych samochodów) – 91 794,87 zł,
3. Usługi obce (noclegi, wynajem sal konferencyjnych, gastronomia, transport, telekomunikacja, poczta, SMS-y, notariusz) – 45 754,31 zł,
4. Wynagrodzenia z tytułu umów cywilnoprawnych z osobami trzecimi – 15 000,00 zł,
5. Opłaty za prowadzenie rachunków bankowych – 467,77 zł,
6. Koszty strony Koduj24.pl: licencje – 10 127,10 zł, honoraria – 49 144,20 zł,
7. Koszty gazety „Obywatel” – 5866,00 zł.

Niepełne wydatki na funkcjonowanie stowarzyszenia KOD ponoszone tylko przez pół roku jego działalności to zatem prawie 250 tys. zł (nie licząc sum przeznaczanych na organizacje manifestacji). Z tej kwoty prawie jedną czwartą przychodów rozdysponowano na działalność portalu internetowego Koduj24.pl, który pierwotnie informował o ogromnych kłopotach finansowych, a jego autorzy mieli pisać i pracować społecznie. Jeśli dodamy do tego obrazu faktury wystawione na ok. 120 tys. zł przez Mateusza Kijowskiego za administrowanie stroną RuchKod.pl, to okaże się, że utrzymanie wewnętrznych mediów Komitetu Obrony Demokracji kosztowało ok. 25 tys. zł miesięcznie. Podobnie jak w przypadku innych wydatków również ta aktywność miała się odbywać przy omijaniu części czynności księgowych oraz cywilnoprawnych. Nie wiadomo, czy cytowane zestawienia obejmują pieniądze przeznaczone na laptopy i telefony komórkowe dla Mateusza Kijowskiego oraz jego małżonki. Jeśli tak, to znaczy, że zostały one zakupione z pieniędzy pochodzących ze zbiórek publicznych i składek członków.

Autorzy raportu „Co wiemy o finansach KOD” postulują konieczne działania. Ich zdaniem należałoby wykonać w or-

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Zdaniem części osób w KOD raport o nieprawidłowościach finansowych miał przykryć sprawę faktur Mateusza Kijowskiego FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

ganizacji kompleksowy audyt, ale jest on niemożliwy do przeprowadzenia, bo: „[...] audyt finansowy to badanie przez biegłego rewidenta sprawozdania finansowego sporządzonego na podstawie ksiąg finansowych. Trzeba więc najpierw dokonać księgowania faktur, wyciągów bankowych i pozostałych dokumentów, aby na tej podstawie zrobić sprawozdanie i otworzyć w ten sposób możliwość dokonania audytu”.

Ponieważ w organizacji trwa wewnętrzny kryzys, autorzy opracowania proponują powołanie mediatora oraz zewnętrznych ekspertów, którzy pomogą w przywróceniu transparentności finansowej.

Jednocześnie „Zespół” otwarcie wzywa do ustalenia, czy członkowie zarządu głównego nie złamali statutu, wypowiadając się w mediach o fakturach Kijowskiego. „Statut Stowarzyszenia przewiduje, że sprawy wymagające kontroli załatwiane są przez Komisję Rewizyjną, a kwestie sporne i konflikty przez Sąd Koleżeński bądź przez Rzecznika Dyscyplinarnego. Tymczasem wszyscy byliśmy świadkami załatwiania spraw wymagających kontroli i wyjaśnienia nie w sposób przewidziany przez Statut, lecz za pomocą instrumentu, jakim jest konferencja prasowa. Sądzimy, że absolutnie konieczne jest ustalenie, czy Statut został w ten sposób złamany czy też nie” – postulują Danuta Kuroń, Halina Flis-Kuczyńska, Piotr Niemczyk, prof. Krystyna Skarżyńska i prof. Monika Płatek.

LUDZIE KIJOWSKIEGO KONTRATAKUJĄ

Trudno czytać dane o finansach bez kontekstu dotyczącego tego, co się dzieje obecnie w KOD. Według naszych informatorów odczytany przez Danutę Kuroń przed wyborami do regionu Mazowsze dokument miał być próbą oczyszczenia Mateusza Kijowskiego. – Przecież nikt z tych osób nie wspomina w swoich żalach o wydatkach na spółkę MKM Studio. Ci ludzie sugerują rozwiązanie problemów, które zostały wywołane przez wystawienia faktur, jednocześnie nie pisząc o nich – wskazuje nasz informator. – Do jednego worka wrzuca się za to stowarzyszenie KOD i Komitet Społeczny, obciążając nieprawidłowościami zarząd główny, który nie miał i nie ma władzy nad tymi ciałami – zaznacza. I dodaje, że wątpliwości może również budzić dostęp do dokumentów stowarzyszenia przez osoby postronne, które badały je bez wiedzy i zgody władz organizacji.

W podobnym tonie na temat dokumentu wypowiedział się na zamkniętym forum KOD prof. Ludwik Turko. „Doceniając tę inicjatywę, znając i szanując członków owego zespołu, uważam, że wiążąco na tematy finansowe stowarzyszenia powinny wypowiadać się upoważnione organy statutowe i profesjonalne. [...] Nie ominęło to i obecnego owocu pracy ZDU. Znalazły się tam łatwe do wychwycenia elementarne błędy merytoryczne, naprawdę nie na miejscu w dokumencie, pod którym figurują podpisy prof. dr hab. nauk prawnych bądź praktykujących działalność ekonomiczną i gospodarczą” – stwierdził były sędzia Trybunału Stanu. Jednocześnie rzucił światło na wewnętrzną niespójność w funkcjonowaniu finansów Komitetu, która umożliwiała wymienione w raporcie patologie. „Doszło przy tym do dość schizofrenicznej sytuacji, gdy w tym trzyosobowym Komitecie znalazł się ówczesny skarbnik KOD, Piotr Chabora, oraz sekretarz Komisji Rewizyjnej, Paweł Wimmer. Jeśli ktokolwiek sądziłby, że w ten oto zakamuflowany sposób władze krajowe KOD uzyskały pośrednią kontrolę nad finansami zgromadzonymi przez Komitet Społeczny, to jest w całkowitym błędzie. Obaj panowie zdecydowanie i konsekwentnie, każdy na swoim podwórku, odmawiali wglądu w dokumenty Komitetu zarówno Zarządowi Głównemu, jak i Komisji Rewizyjnej. A tymczasem faktury (umieszczone zresztą ostatnio w sieci przez Mateusza Kijowskiego), które były, jak widać, podpisane przez niego samego, wędrowały do Komitetu Społecznego, gdzie jego członek Piotr Chabora, odrzuciwszy na bok swą tożsamość Skarbnika ZG, kierował je do realizacji, przy współudziale zresztą Pawła Wimmera, który na tą okazję odrzucał swą tożsamość sekretarza KR” – podsumował Turko.

W kontekście opisanych wydarzeń, coraz bardziej paląca wydaje się kwestia przyjrzenia się finansom Komitetu Obrony Demokracji przez wyznaczone do tego organy kontrolne państwa. Brak rozliczeń, odpowiedniej dokumentacji i niejasny los części pieniędzy pochodzących ze zbiórek publicznych nie powinien być jedynie źródłem domysłów oraz wewnętrznych audytów. Jeśli prawo w całej swojej rozciągłości ma obowiązywać zarówno rządzących, jak i protestujących, to pora powiedzieć „sprawdzam”.

Wydatki (niepełne) na funkcjonowanie stowarzyszenia KOD przez pół roku wyniosły niespełna 250 tys. zł

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

FOT. PIOTR MALECKI/NAPO IMAGES/FORUM

Kamila Baranowska

Politycy PiS mówią o zbyt silnej dominacji niemieckiego kapitału na rynku medialnym i zapowiadają zmiany, które mają zapewnić większy pluralizm własnościowy w mediach. Pomysł już budzi kontrowersje. Czy słusznie?

Repolonizacja mediów według PiS

Po tym, jak kolejni coraz ważniejsi politycy PiS zaczęli mówić o konieczności uregulowania polskiego rynku mediów pod względem własnościowym, zaczęło być jasne, że z etapu luźnej propozycji pomysł ten przechodzi w fazę opracowywania konkretnych rozwiązań. Zupełnie jasne stało się to po ostatnich komunikatach Jarosława Kaczyńskiego, który podczas objazdu regionów przynajmniej w kilku miejscach nawiązywał do tej kwestii. – Chcemy iść drogą państw Unii Europejskiej, gdzie istnieją przepisy o dekoncentracji mediów. Polska jako kraj powinna uczestniczyć w tym, co dzieje się na arenie europejskiej – mówił w czasie spotkania z działaczami we Wrocławiu. – Kilka grup kapitałowych dysponuje większością mediów. To trzeba zmienić, np. wprowadzając ustawę jak we Francji – precyzował podczas podobnego spotkania w Rzeszowie.

W grudniu na posiedzeniu sejmowej komisji kultury wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Jarosław Sellin informował o tym, że prace w tej sprawie ma rozpocząć specjalny zespół ekspertów, który opracowałby przykładowe rozwiązania w oparciu m.in. o regulacje, obowiązujące w innych dużych krajach europejskich. – Zespół powstał dwa tygodnie temu, w jego skład wchodzi trzech ekspertów z KRRiT oraz trzech ekspertów z ramienia UOKiK, jako resort kultury nadzorujemy te prace i czekamy na pomysły, rekomendacje, jakie wypracuje. Wtedy będzie można rozmawiać o szczegółach – mówi „Do Rzeczy" wiceminister Jarosław Sellin. Jego zdaniem rozwiązania mogłyby pójść np. w kierunku wzmocnienia roli UOKiK w nadzorze nad tym, by ograniczać dominację kapitału zagranicznego w mediach. – Jesteśmy ewenementem wśród poważnych państw europejskich. Żaden z tych krajów nie pozwoliłby sobie, aby tak delikatny obszar, jakim są media, mógł zostać zagospodarowany w tak dużym stopniu przez zagraniczny kapitał – wskazuje.

W OBRONIE PLURALIZMU

Równolegle nad własnymi propozycjami zmian pracuje także grupa posłów w Sejmie. – Skłaniamy się ku temu, by spróbować skompilować przepisy antykoncentracyjne funkcjonujące we Francji i w Niemczech. Z zastrzeżeniem, że nie dotyczyłyby one mniejszych nadawców, lecz decydowałoby kryterium wielkości i zasięgu – tłumaczy poseł PiS Barbara Bubula. – Wiadomo, że dziś każdy wydawca

eprasa.pl 2ca7fd0c41

chce i musi być multimedialny i nie chodzi o to, by zabraniać np. lokalnemu wydawcy prowadzenia portalu – precyzuje.

Przy czym posłanka zastrzega, że pomysły wypracowane przez grupę posłów i te zaproponowane przez resort kultury i ekspertów nie mają być konkurencyjne, lecz raczej uzupełniać się nawzajem, tak by ostatecznie wybrany został wariant optymalny.

W 2015 r. Departament Strategii KRRiT przygotował raport na temat regulacji dotyczących koncentracji własności na rynku mediów w wybranych krajach. Czytamy w nim, że obecnie przedsiębiorstwa medialne działające w Unii w kwestii koncentracji kapitału podlegają m.in. rozporządzeniu unijnemu z 2004 r., które „pozwala państwom członkowskim na zastosowanie w sektorze mediów dodatkowych mechanizmów kontrolnych, mających na celu ochronę pluralizmu". Analiza Krajowej Rady pokazuje, że wiele krajów skorzystało z tej możliwości i wprowadziło „specyficzne przepisy antykoncentracyjne dla mediów". Chociaż warto dodać, że wiele krajów europejskich ma takie przepisy znacznie dłużej.

ZACHODNIE PRZEPISY

Przepisy francuskie, na które PiS powołuje się najchętniej w kwestii ograniczenia kapitału zagranicznego, są daleko idące. Mówią, że żaden podmiot zagraniczny nie może ubiegać się o nabycie udziałów w spółce medialnej, jeżeli skutkowałoby to podniesieniem udziału kapitału zagranicznego w całym rynku medialnym do 20 proc. Politycy PiS wskazują, że ten zapis może być trudny do przeniesienia na polskie podwórko ze względu na obecnie obowiązujące przepisy unijne, choćby te dotyczące swobody przepływu kapitału.

Jeśli chodzi o francuski rynek telewizyjny, ograniczenia są stosowane wedle kryteriów: wielkości udziałów właścicielskich, maksymalnej liczby koncesji, zasięgu oraz udziału w oglądalności programu. I tak żaden nadawca nie może posiadać więcej niż 49 proc. kapitału lub prawa głosu w spółce, która ma koncesję na nadawanie naziemne ogólnokrajowego programu, którego udział w oglądalności przekracza 8 proc.

W takim przypadku właściciel nie może także posiadać więcej niż 33 proc. kapitału ani prawa głosu w spółce nadającej program regionalny. Co więcej, ktoś, kto ma jedną lub więcej koncesji telewizyjnych ogólnokrajowych, nie dostanie kolejnej, jeśli to spowodowałoby, że łączny zasięg programów przekraczałby 12 mln mieszkańców. Lokalnie niedopuszczalne jest także posiadanie dwóch koncesji telewizyjnych na tym samym obszarze.

Francuskie przepisy ograniczają też mocno tzw. koncentrację krzyżową, czyli dotyczącą różnych rodzajów mediów. Nowej koncesji nie dostanie nadawca mający już jedną lub więcej koncesji, których zasięg wynosi 4 mln mieszkańców w przypadku telewizji i 30 mln mieszkańców w przypadku radia, a także jeśli kontroluje jedną lub więcej gazet drukowanych, których udział w ogólnokrajowym nakładzie wynosi 20 proc. (na samym rynku prasowym próg koncentracji wynosi 30 proc. nakładu). Osobne przepisy ograniczające koncentrację różnych rodzajów mediów w ręku jednej spółki lub koncernu dotyczą także mediów regionalnych.

Niemieckie przepisy, w których stronę także zerka PiS, nie przewidują ograniczeń związanych z liczbą posiadanych koncesji radiowych i telewizyjnych do czasu, gdy nadawca nie osiągnie dominującego wpływu na opinię publiczną, mierzonego udziałem w widowni. Nadawcę telewizyjnego uznaje się za posiadającego zbyt duży wpływ na opinię publiczną wtedy, gdy przekracza 30 proc. udziału w widowni. To samo dotyczy sytuacji, gdy nadawca ma 25 proc. udziału, ale osiągnął pozycję dominującą na rynkach powiązanych z mediami (chodzi o rynek radia, reklamy, prasy, praw do filmów i transmisji, mediów internetowych etc.) i ogólna ocena jego działalności wskazuje, że jego wpływ jest większy niż nadawców, których udział w widowni przekracza 30 proc. Jeśli dochodzi do takiej sytuacji, to nadawca powinien odsprzedać część udziałów w spółce, tak by zredukować swój wpływ na opinię publiczną poniżej 30 proc., ograniczyć wpływy na innych, powiązanych z mediami rynkach i podjąć działania zapewniające pluralizm np. poprzez powołanie niezależnej rady programowej.

KTO KOGO ODKUPI

Opozycja nie wierzy ani w dobre intencje PiS, ani w to, że dobrym pomysłem jest kopiowanie rozwiązań francuskich lub niemieckich. – Obawiam się, że chodzi tu głównie o renacjonalizację mediów, bo w tym kierunku szła rozmowa podczas grudniowego posiedzenia sejmowej komisji kultury, na którym minister Sellin opowiadał o tych pomysłach. Z jego słów wynikało, że w Polsce jest zbyt silna obecność kapitału niemieckiego i z tym PiS ma jakiś problem – mówi Iwona Śledzińska-Katarasińska. – Tymczasem to, że jest jeden właściciel, o niczym jeszcze nie świadczy ani nie przesądza. Uważam, że warto się przyjrzeć naszym regulacjom i być może wprowadzić pewne korekty, ale proste kalki, takie jak kopiowanie przepisów francuskich, są niebezpieczne i bezsensowne. Trzeba brać pod uwagę różne uwarunkowania, inne tradycje, inną historię mediów – dodaje.

Politycy PiS, wskazując potrzebę zmian, najczęściej powołują się na przykład grupy medialnej Polska Press (to część niemieckiego koncernu Verlagsgruppe Passau), która dominuje na polskim rynku prasy regionalnej – wydaje 20 dzienników w 15 województwach i 100 lokalnych tygodników. Chociaż opozycja ma też inne podejrzenia, że może chodzić o chęć ukrócenia wpływów niemiecko-szwajcarskiego koncernu Ringier Axel Springer Polska, do którego należą nieprzychylne rządowi tytuły, takie jak tabloid „Fakt", tygodnik „Newsweek" czy portal Onet.pl, a także wiele mniejszych tytułów branżowych. W mediach co rusz pojawiają się plotki o tym, że rząd chętnie odkupiłby np. media regionalne od Polska Press za pośrednictwem którejś ze spółek Skarbu Państwa na tej samej zasadzie, na której PZU i Polski Fundusz Rozwoju odkupiły od włoskiego UniCredit 32 proc. akcji Banku Pekao SA. Z kolei „Newsweek" pisał, że w PiS zastanawiano się nad odkupieniem od Amerykanów informacyjnej stacji TVN24. Obie strony zaprzeczyły tym informacjom.

W maju ubiegłego roku Jarosław Kaczyński podczas rozmowy z internautami na Facebooku został zapytany o kwestię repolonizacji mediów. – Trzeba podjąć sprawę repolonizacji mediów. Trzeba być odważnym, nie można się dać sterroryzować krzykiem tu, i ewentualnie w Unii Europejskiej. Liczące się państwa w Unii, a musimy być takim państwem, chronią swój rynek – odpowiedział prezes PiS. – My mamy do czynienia z sytuacją całkowicie nieprawidłową. Powinniśmy krok po kroku, oczywiście w zgodzie z regułami państw cywilizowanych, czyli wykupując te media, doprowadzić do tego, aby one były polskie w najwyższym możliwie procencie. To, że media są w wielkiej części w ręku właścicieli zewnętrznych i że oni wykorzystują to także politycznie, na poziomie decyzji nie poszczególnych właścicieli, tylko rządowych, jest stanem całkowicie niemożliwym do przyjęcia w suwerennym państwie – ocenił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Z prof. Romualdem Szeremietiewem, byłym wiceministrem obrony narodowej
rozmawia Wojciech Wybranowski

Rosyjska agentura nakręca w Polsce spory

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Kilka dni temu sąd uniewinnił pańskiego byłego asystenta Zbigniewa Farmusa. Pan został oczyszczony już siedem lat temu. W trakcie całej sprawy mówił pan, że za publikacją „Rzeczpospolitej", w której sugerowano, iż przyjmował pan łapówki od producentów uzbrojenia, i odwołaniem pana z funkcji sekretarza stanu w MON w rządzie Jerzego Buzka, stały Wojskowe Służby Informacyjne.

PROF. ROMUALD SZEREMIETIEW: Rzeczywiście, 2 lutego br., po 16 latach, zapadł wyrok całkowicie uniewinniający Zbigniewa Farmusa. Żaden z zarzutów postawionych przez prokuraturę mnie i Farmusowi nie utrzymał się. Cała wielka afera korupcyjna w MON opisywana od lipca 2001 r. szeroko w prasie nie miała miejsca. Dzisiaj media oraz świat polityki oczywiście nie dostrzegły, że oskarżono nas bezpodstawnie i jesteśmy niewinni. Nikomu też z odpowiedzialnych za państwo do głowy nie przyszło, aby nas przeprosić. Natomiast co do WSI: zawsze prezentowałem stanowisko, że kierownictwo tych służb było wykonawcą wymierzonej we mnie prowokacji, ale nie ono decydowało.

W takim razie kto?

Na pewno bezpośredni przełożony WSI, którym w 2001 r. był minister obrony Bronisław Komorowski. Jednak z tego, co wiem, nie tylko on. Wybuch afery miał miejsce w czasie, gdy miałem rozstrzygać o zakupach m.in. samolotów wielozadaniowych, przeciwpancernych pocisków kierowanych, transporterów kołowych. Przetargi opiewały łącznie na kwotę ponad dwudziestu kilku miliardów złotych. „Komuś", wiem komu, chodziło o to, bym w tych przetargach nie był osobą decydującą. I ten „ktoś" sprawił, że WSI zaczęły działać. Oczywiście przy okazji osobnicy z WSI także coś przy tym chcieli ugrać dla siebie, ale w uruchomieniu ataku na mnie nie oni decydowali. I na tym skończę, nie czas bowiem jeszcze, by opowiadać, kto naprawdę „stał" za wymierzoną we mnie prowokacją.

Skoro zaczęliśmy od służb... Polskie i zachodnie centra analityczne ostrzegają przed kolejnymi uderzeniami ze strony Rosji w wojnie informacyjnej...

Rosja stosuje szeroko zakrojone działania ofensywne i atakuje w cyberprzestrzeni. To dla każdego chyba jest oczywiste. Polska – z racji na położenie i jej miejsce w planach odbudowy rosyjskiego imperium – jest jednym z głównych obiektów zainteresowania Rosji. W naszym kraju uaktywnia się też agentura najbardziej niebezpieczna, ta, z którą najtrudniej walczyć, czyli tzw. agentura wpływu. Bardzo trudno bowiem udowodnić inspiracje agenturalne komuś, kto jako „ekspert" popierając Rosję, zapewnia, że tylko korzysta z wolności wypowiadania własnych poglądów. W każdym razie w mojej opinii Rosja dysponuje znacznymi aktywami agenturalnymi na terenie Polski. Dotyczy to zwłaszcza środowisk oddziaływających na polską opinię, a więc zarówno w mediach, jak i wśród różnych ekspertów. Pamiętajmy, że Polska była ponad 40 lat pod panowaniem sowieckim. Rosja miała dość czasu, aby rozmieścić i zakorzenić swoją agenturę w polskim społeczeństwie. To tylko Komorowski twierdził, że rosyjskie służby nie budowały swojej agentury, ograniczając się do nadzoru nad służbami PRL. Według Komorowskiego z chwilą, gdy Polska wyzwoliła się, rosyjscy nadzorcy wyjechali i żadnej rosyjskiej agentury w Polsce nie ma. Takie twierdzenie świadczy co najmniej o głębokiej naiwności i braku zrozumienia, jak funkcjonują służby podległe Kremlowi.

Mówiąc o aktywności agentury wpływu, ma pan na myśli propagandę w mediach społecznościowych?

Rosja uderzając w Polskę, nie ogranicza się do cyberprzestrzeni. Sądzę, że czekają nas akcje protestacyjne jakichś ekologów, pacyfistów, zielonych, gdy rozpocznie się instalacja amerykańskiej tarczy antyrakietowej lub chociażby przekopywanie Mierzei Wiślanej. Dla Rosji ważne jest utrzymanie naszego rejonu Europy jako zdestabilizowanej, niebronionej przez Zachód „szarej strefy bezpieczeństwa", w której Rosja będzie mogła odbudować swoje wpływy. Dlatego wykorzysta wszystkie dostępne do

eprasa.pl 2ca7fd0c41

tego środki, aby taki stan osiągnąć. Z tego powodu Rosja usiłuje przekształcić Polskę w państwo upadłe. Rosyjska agentura wpływu nakręca w Polsce spory.

Pana zdaniem obecność kilku tysięcy żołnierzy NATO zwiększa nasze bezpieczeństwo?

Kilka tysięcy żołnierzy niewiele zmienia, ale obecność sił konkretnych państw NATO tak! To nie jest żaden paradoks. Jedna brygada pancerna z punktu widzenia operacyjnego i wykorzystania w boju to nie jest wielka siła. Jednak rzecz nie polega na tym, że dzięki niej będziemy mogli wygrać wojnę. Obecność amerykańskiej brygady na terenie Polski tworzy dla agresora ryzyko reakcji (w tym przypadku USA), gdyby on zaatakował nasz kraj. I to powinno powstrzymywać wybuch wojny.

Nie obawia się pan, że jeśli – jak przekonują lewicowe media – Donald Trump dogada się z Putinem, to w przypadku ewentualnego zagrożenia dla Polski ci amerykańscy żołnierze pozostaną w koszarach albo ograniczą się do ochrony ludności cywilnej?

Od dawna podnoszę, że w Polsce przyjęto fałszywą koncepcję zapewnienia bezpieczeństwa. Popełnia się błąd, upatrując gwarancji bezpieczeństwa tylko w pomocy sojuszniczej. Niestety, także obecnie rządzący trzymają się tej koncepcji jako jedynie słusznej. Wprawdzie padają deklaracje, że będziemy wzmacniać nasze zdolności obronne, ale rzecz nie polega na tym, by kupić trochę rakiet, zmodernizować jakieś czołgi, zwiększyć liczbę żołnierzy. Najważniejsze to znaleźć sposób na obronę w oparciu o nasze możliwości także w sytuacji, gdyby sojusznicy nas zawiedli. Polska pilnie potrzebuje nowej strategii obrony. Nie możemy znaleźć się w takiej sytuacji jak II RP, która liczyła na pomoc sojuszniczą we wrześniu 1939 r. i jej się nie doczekała. Uznawany za czołowego teoretyka sztuki wojennej gen. von Clausewitz stwierdził, że obrona zawsze przeważa nad atakiem, jest silniejszą formą prowadzenia działań wojennych. Dla nas to dobra wiadomość, ponieważ nie zamierzamy na nikogo napadać. Aby jednak obrona uzyskała przewagę, trzeba użyć właściwych do tego środków. Clausewitz mówiąc o nich, na pierwszym miejscu wymienia naród przygotowany i zdolny do stawienia powszechnego oporu. Wojskową formą takiego oporu powinna być masowa obrona terytorialna. Dalej przygotowane do obrony terytorium, a zwłaszcza rejony zurbanizowane miasta. Ostatnim środkiem obrony ma być pomoc sojusznicza, a nie pierwszym – jak to przewiduje obecna strategia obrony Polski. Ważnym elementem w przygotowaniach obronnych powinna być zdolność do prowadzenia działań nieregularnych, asymetrycznych, z czym nie radzą sobie nowoczesne armie wielkich mocarstw. Jeżeli w proponowanym przeze mnie systemie obrony kraju przygotujemy siły zdolne do masowych działań nieregularnych (co najmniej 500 tys.), to agresor chcąc okupować Polskę, musiałby wystawić siły dwudziestokrotnie większe (10 mln), co nawet dla Rosji będzie niemożliwe do osiągniecia. Gdyby mimo to doszło jednak do agresji, wówczas napastnik uwikła się z nami w konflikt asymetryczny, w którym nie będzie w stanie uzyskać szybkiego zwycięstwa. W moim przekonaniu to obawa przed masowym oporem asymetrycznym sprawia, że Rosjanie ciągle nie zdecydowali się na wojskowe zajęcie Ukrainy.

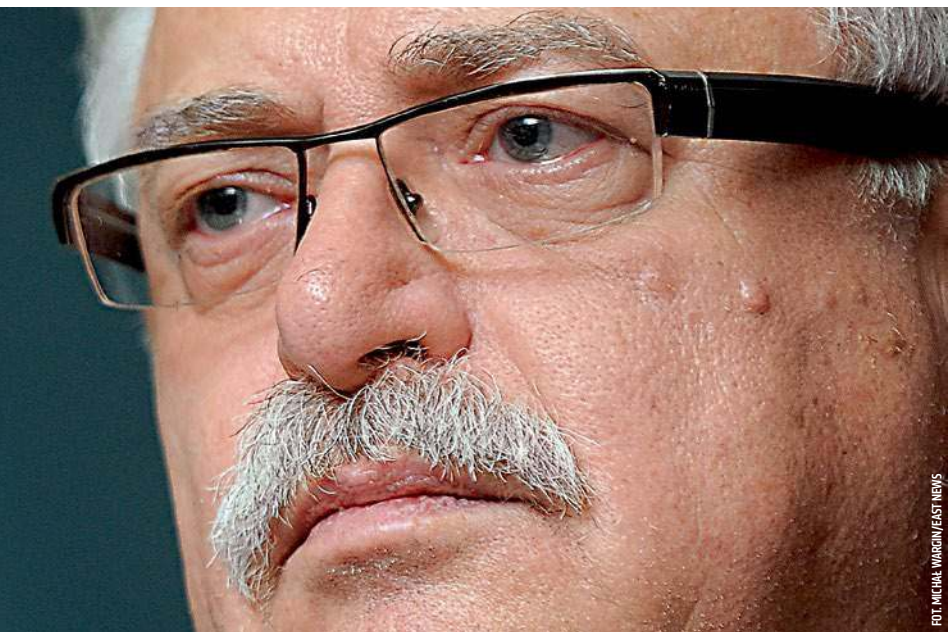

FOT. MICHAŁ WARGIN/EAST NEWS

To oznacza, że musielibyśmy stawiać nie na Wojska Obrony Terytorialnej, ale przywrócić obowiązkową powszechną służbę wojskową.

Skąd taka alternatywa? Wojska OT są zasadniczym elementem w proponowanym przeze mnie „zrównoważonym" systemie obrony Polski. Są przecież częścią sił zbrojnych i – co więcej – nie da się ich zbudować, jeśli nie będzie masy rezerwistów, czyli przeszkolonych wojskowo obywateli. Nie jest tak, że pobór wyklucza OT, ale on dopiero umożliwia jej powstanie. Natomiast przywrócona zasadnicza służba wojskowa powinna trwać nie więcej niż trzy miesiące w miejscu zamieszkania poborowych, i nawet bez ich koszarowania. Nie potrzebujemy też setek tysięcy „zawodowców", pilotów do F-16, ale setek tysięcy obywateli-żołnierzy, którzy w razie potrzeby wezmą karabiny i będą bronić swoich domów. Mamy też Konstytucję RP. Są w niej zapisane liczne prawa obywateli, ale też kilka obowiązków. Jednym z nich jest obowiązek obrony ojczyzny. Zapytajmy: W jaki sposób obywatel ma wypełnić ten obowiązek, jeśli nie wie, jak posługiwać się bronią? I dalej: Czy będzie dość czasu, aby odwiesić pobór i przeszkolić wojskowo masę obywateli w razie wybuchu wojny? Z obowiązkiem obrony ojczyzny jest trochę tak jak z obowiązkiem płacenia podatków. Wyobraźmy sobie, jaką popularność zyskałby rząd, który by oświadczył, że podatki będzie płacił, kto chce, a jeśli nie chce, to nie musi płacić. Tymczasem brak wpływów z podatków i brak obywateli zdolnych do obrony kraju prowadzi państwo do katastrofy. Doświadczyliśmy przecież tego w XVIII w., czym były rozbiory.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Romuald Szeremietiew jest obecnie wykładowcą w Akademii Sztuki Wojennej.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Maciej Pieczyński

Marihuana nie

Zamiast dyskusji – szantaż emocjonalny. „Kto nie z nami, ten winien cierpień pacjentów!" – tak można streścić przekaz posła Liroya-Marca. To nic, że lekarze marihuanę przepisują bardzo rzadko. Poseł Kukiz'15 lekarzom nie ufa

Dyskusja na temat tzw. medycznej marihuany wywołuje wiele emocji. Chodzi przecież, jak przy każdej okazji zapewnia poseł Piotr Marzec „Liroy", o dobro ciężko chorych, często umierających pacjentów, w których leczeniu wszystkie dotychczasowe środki zawiodły. Być może dlatego w debacie publicznej tak rzadko słychać głosy sprzeciwu wobec dążeń do poszerzenia dostępu do marihuany. Sprawa jeszcze do niedawna wydawała się na tyle kontrowersyjna, że jej szermierze nie powinni spotkać się z pozytywnym odbiorem społecznym, ale przynajmniej wystawić się na grad mniej lub bardziej uzasadnionych – tak medycznych, jak ideowych – kontrargumentów. Dzisiaj zdaje się wywoływać sprzeciw jedynie w postaci „bezdusznej machiny urzędniczej" Ministerstwa Zdrowia, które wciąż zachowuje sceptycyzm.

Podczas sejmowych dyskusji na temat medycznej marihuany Liroy-Marzec podnosi głos, narzucając narrację, w myśl której każdy, kto nie chce błyskawicznego poszerzenia dostępu do marihuany, przyczynia się do cierpienia i śmierci pacjentów. Dla wzmocnienia przekazu jego ludzie przynoszą na posiedzenia podkomisji dziecięce trumienki. A media chętniej o zdanie pytają rzucającego chwytliwymi, ostrymi bon motami posła niż wypowiadających się mniej widowiskowo, za to często lepiej merytorycznie przygotowanych lekarzy.

Można więc powiedzieć, że zanim jeszcze weszły w życie jakiekolwiek regulacje prawne (nie licząc refundacji Sativexu, jedynego jak dotąd dopuszczonego do obrotu w Polsce leku zawierającego w swoim składzie kannabinoidy), Piotr „Liroy" Marzec już odniósł wielki sukces na froncie (sam poseł chętnie używa wojennej retoryki) – wygrał bitwę o poparcie opinii publicznej. Tylko jakie konsekwencje miałoby jego zwycięstwo w wojnie o poszerzenie dostępu do medycznej marihuany? Wśród lekarzy zgodności nie ma. Jedno jest pewne: marihuana nie jest lekiem, może tylko leczenie wspomagać (i wielu specjalistów jest przekonanych, że wspomaga bardzo skutecznie, choć panaceum nazwać jej nie można). Jej zbawienne działanie wciąż jest na etapie badań eksperymentalnych, co oznacza, że nie są jeszcze znane ewentualne zagrożenia związane z jej zastosowaniem.

LEKARZE SIĘ BOJĄ?

– Wbrew temu, co niektórzy sądzą, brak jest dowodów, że kannabinoidy leczą choroby nowotworowe. Mogą one łagodzić nudności czy wymioty towarzyszące chemioterapii, pobudzać apetyt albo też działać przeciwbólowo i z takich powodów można ich niekiedy używać – mówi prof. Grzegorz Raczak, kardiolog, poseł PiS. – Możliwość wyleczenia np. glejaka mózgu jest w chwili obecnej tylko pobożnym życzeniem opartym głównie na spekulacjach, a nie na dowodach. Najlepiej udokumentowana jest celowość łagodzenia opornych na leczenie objawów spastyczności u pacjentów ze stwardnieniem rozsianym za pomocą leku o nazwie Sativex. Można też próbować podawania produktów zawierających marihuanę w bólach o charakterze przewlekłym. Innym wskazaniem są oporne na leczenie padaczki u dzieci. Co prawda dowody naukowe w tej grupie wcale nie są tak jednoznaczne, ale świadectwa pojedynczych osób, które – jak twierdzą – doświadczyły cudu ustąpienia licznych napadów po zastosowaniu leku, mają swoją wagę – dodaje.

> **Wśród lekarzy zgodności nie ma, ale jedno jest pewne: marihuana nie jest lekiem, może tylko wspomagać leczenie**

Wniosek o zastosowanie w terapii konkretnego pacjenta medycznej marihuany musi być wystawiony przez lekarza, zatwierdzony przez krajowego konsultanta farmaceutycznego, a następnie przez Ministerstwo Zdrowia. Dorota Gudaniec, matka pierwszego w Polsce dziecka oficjalnie leczonego w ten sposób, przyznaje, że całą procedurę przeszła w cztery dni. Jak na polską służbę zdrowia to błyskawiczne tempo. W czym zatem tkwi problem? – Lekarze bardzo niechętnie wystawiają takie wnioski. Boją się ostracyzmu – twierdzi Gudaniec. – Znajoma lekarka na moją prośbę o przepisanie medycznej marihuany odpowiedziała: „No wie pani, to jest narkotyk, ja mam rodzinę, nie będę ryzykować". Nie podam jej nazwiska, bo była ze mną szczera i nie chcę jej zaszkodzić. Inni lekarze tłumaczyli, że nie znają interakcji, że nie mogą podać czegoś, jeśli nie wiedzą, jak zareaguje to z terapią, którą prowadzą – dodaje.

– W ramach importu docelowego to lekarz decyduje o tym, w jakim wskazaniu medycznym zastosuje produkty będące pochodnymi konopi indyjskich. Proces wydania przez ministra zdrowia zgody na sprowadzenie leku z zagranicy w sytuacji zagrożenia życia pacjenta jest natychmiastowy – mówi Milena Kruszewska, rzecznik prasowy ministra zdrowia.

– Dlaczego lekarze mieliby się bać zapisywać leki zawierające marihuanę w momencie, gdyby były one legalnie dostępne w aptekach? Mogą się bać dopóty, dopóki nie ma odpowiedniej ustawy. Zamierzamy ją właśnie uchwalić – komentuje prof. Raczak, dementując tym samym, jakoby partia rządząca miała „chcieć cierpień i śmierci pacjentów".

– Marihuana w takiej postaci, o jaką nam chodzi (różnego rodzaju standaryzowane przetwory roślinne), nie była poddana badaniom porównawczym, aby móc tak kategorycznie stwierdzić, że są od niej leki skuteczniejsze. Na pewno są! Jednak nie wszystkie i nie w takiej jednoznacznie pozytywnej kalkulacji skuteczności do skutków ubocznych – mówi „Do Rzeczy" poseł Piotr Marzec „Liroy". Wnioskodawcy powołują się często na wyniki badań,

eprasa.pl 2ca7fd0c41

jest panaceum

FOT. FOTOLIA

dostępne w PubMed, czyli anglojęzycznej wyszukiwarce artykułów z dziedziny medycyny. Z drugiej strony ani FDA, czyli amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków, ani żadna inna poważna agencja nie zatwierdziły marihuany jako leku dla chorych na nowotwory. – Istnieją pewne schematy, rynkowe, polityczne, w które marihuana po prostu się nie wpisuje, mimo że są różnej wartości dowody na możliwe korzyści – mówi poseł Liroy-Marzec. – Jeśli osoba chora na nowotwór ma się poczuć chociaż trochę lepiej, przy nieporównywalnie mniejszym ryzyku uzależnienia czy obciążenia organizmu, niż przy konwencjonalnych lekach wspomagających, to decydujący głos powinni mieć pacjent i lekarz. Agencje mają administrować rynkiem, np. leków, i tam się ich rola kończy.

POD NADZOREM

Gdyby koncepcja Liroya-Marca weszła w życie, marihuana do celów leczniczych nie byłaby sprowadzana z zagranicy ani po prostu dystrybuowana w aptekach, tylko uprawiana i magazynowana na terenie Polski, w specjalnie do tego przeznaczonych obiektach pod ścisłą kontrolą. Wnioskodawcy podkreślają, że przy takich regulacjach pacjent nie ma bezpośredniej styczności z uprawą ani przygotowaniem surowca. Jednak Komisja Zdrowia skreśliła zapis o krajowych uprawach. Zamiast tego pacjenci mogliby w polskich aptekach kupować na receptę leki na bazie marihuany, a nie sprowadzać indywidualnie dla każdego chorego z zagranicy. Poseł Liroy-Marzec rozważa jednak wycofanie zmienionego projektu.

Idei krajowych upraw nie skreśla całkowicie prof. Raczak. – To jest pomysł, który może być brany pod uwagę, ale w odpowiednim momencie – mówi. – Ważne jest, aby surowiec farmaceutyczny był dostępny w wybranych aptekach. Na początek, zwłaszcza kiedy tak naprawdę nie wiemy, jakie jest rzeczywiste zapotrzebowanie, może być importowany. Jeśli się okaże, że zapotrzebowanie jest większe, niż szacuje ministerstwo, a możliwości importu niewystarczające, można podjąć dyskusję o ewentualnej uprawie na terenie Polski. Sam w swoim czasie zaproponowałem wnioskodawcom, którzy mieli w ocenie zapotrzebowania na marihuanę diametralnie odmienną opinię niż minister zdrowia, aby stworzyć sposób monitorowania czasu oczekiwania na realizację recept. Czas ten by się wydłużał w przypadku popytu przewyższającego dostawy z zagranicy. Byłby to ważny sygnał, że marihuany jest za mało – dodaje.

MAŁE ZAPOTRZEBOWANIE

Czy zapotrzebowanie jest tak duże, aby rozpocząć uprawę konopi indyjskich w Polsce? Jędrzej Sadowski twierdzi, że marihuana mogłaby wspomagać leczenie kilkuset tysięcy ludzi. Wlicza w to liczbę chorych na padaczki, stwardnienie rozsiane, a nawet jelitówki. Jest to jednak zapotrzebowanie potencjalne, bo to, że pacjent cierpi na dane schorzenie, nie oznacza, iż musi leczyć się tym, a nie innym preparatem (o doborze środków decyduje i odpowiada za ten dobór lekarz).

Wyliczeń wnioskodawców nie potwierdzają oficjalne liczby. W 2016 r. do Ministerstwa Zdrowia wpłynęło jedynie 96 „zapotrzebowań na sprowadzenie z zagranicy produktu leczniczego niezbędnego dla ratowania życia lub zdrowia pacjenta dopuszczonego do obrotu bez konieczności uzyskania pozwolenia". 84 z nich spełniały wymogi formalne. Nie oznacza to jednak, że pozostałe zostały odrzucone. – Zapotrzebowania niespełniające wymogów formalnych były odsyłane zainteresowanym celem ich poprawnego uzupełnienia – informuje Milena Kruszewska. Kwestią projektu ustawy w sprawie zmiany ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii złożonego przez klub Kukiz'15 zajmuje się podkomisja nadzwyczajna.

– Mało jest wskazań oczywistych, dużo wskazań dyskusyjnych, jeszcze więcej wątpliwych. Poza tym, jeśli wyliczymy jakąś hipotetyczną wielkość zapotrzebowania, a recept od lekarzy będzie rażąco mniej (zwykłych recept, bo dzięki ustawie nie będzie trzeba wystawiać wniosków o import docelowy, jak jest teraz), to mielibyśmy reklamować leki z marihuaną, aby zrównoważyć podaż? Reklama leków jest w Polsce zabroniona – mówi prof. Raczak. – Moim zdaniem, w odróżnieniu od wielu innych polityków opozycji, traktujących marihuanę dość cynicznie, jako narzędzie w walce politycznej, pan Liroy-Marzec jest osobą ideową i wierzy w swoją misję, ale w niektórych kwestiach się zwyczajnie myli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Losy do poskładania

Agnieszka Rybak

72 lata po wojnie, a oni wciąż szukają. Najstarszej siostry mamy, wujka, dziecka. W polskich gazetach i na portalach kresowych każdego dnia kolejne pokolenia próbują składać w całość losy przodków

Blondynka, zdjęcie z małym dzieckiem, listopadowy wieczór, Paryż. „Teraz moja ciotka zmarła, podobnie jak Tata. Mama jest w śpiączce i zanim archiwa zamkną się ponownie, chciałam jeszcze raz spróbować dowiedzieć się, co się stało" – pisze Anna Fontana na facebookowej stronie Wirtualnego Muzeum Kresy-Syberia. Wyjechała do Szkocji jako nastolatka, skończyła Oxford, pracowała w londyńskim City i BBC.

W Paryżu mieszka dlatego, że w pewne niedzielne popołudnie w parku przy kościele oo. Jezuitów przy Mount Street przysiadł się do niej pewien Francuz. Teraz już mąż. On pochodzi z rodziny włosko-szwajcarskich architektów. Jego przodek, papieski architekt Domenico, postawił obelisk Vaticana na pl. św. Piotra. Inny z Fontanów stworzył ołtarz w kościele św. Anny w Krakowie, w którym brali ślub.

Anna próbuje zaś rozwikłać zagadkę, którą dostała w spadku po ojcu i dziadku – van der Coghenach. Nie stałaby dziś przed tym wyzwaniem, gdyby pierwszy van der Coghen nie przywędrował z terenów Belgii na wschód z armią Napoleona. Został ranny, ożenił się z Polką i podarował dzieciom egzotyczne na tych ziemiach nazwisko. W XIX w. van der Coghenowie się spolonizowali i rozprzestrzenili pomiędzy Kamieńcem Podolskim, Tarnopolem, Żytomierzem i Krakowem.

SZUKAM ŚLADÓW WUJA

– Szukam śladów wuja Antoniego Edwarda (van der) Coghena, urodzonego w 1890 r., a także jakichkolwiek informacji o losie Nosalskich z Żytomierza. Byli Polakami i Rusinami, walczyli w powstaniu styczniowym. Pradziadek Konrad malował o powstaniu obrazy, został odznaczony Virtuti Militari i Polonia Restituta – tłumaczy Anna.

„Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie" w historycznej wersji sepii ciągle odbywa się w polskich gazetach wychodzących na Kresach, a także na portalach internetowych. Na stronie Wirtualnego Muzeum Kresy-Syberia, na której napisała Fontana, spotykają się najczęściej potomkowie ofiar sowieckich represji na Wschodzie, którzy wywędrowali z armią gen. Andersa. Grupa działa od 2001 r., ma ok. 1,2 tys. członków, zamieszcza zdjęcia i dokumenty. Wielu Polaków żyjących dziś w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Australii dzięki niej dowiedziało się więcej o swoich korzeniach.

Specjalna strona do poszukiwań na Litwie i Białorusi to Radzima.net. Sprawdzać można także na Stankiewicze.pl oraz na portalu Kresy24.pl. „Jeśli szukasz swoich kresowych korzeni, rodziny lub znajomych z dawnych Kresów – zamieść poniżej swoje ogłoszenie. Czytają nas tysiące Kresowiaków – ktoś może ci pomóc!" – zachęcają. Jednak pomocne odpowiedzi zdarzają się rzadko.

– Niestety, moje poszukiwania dotychczas nie odniosły sukcesu – przyznaje

eprasa.pl 2ca7fd0c41

FOT. MIROSŁAW OWCZAREK

Ryszard Urbanowicz, który próbuje ustalić losy wujka, Michała Madziewicza, przed wojną pracownika więziennictwa. Buduje drzewo genealogiczne. To najczęstsza motywacja, popychająca ludzi do grzebania w przeszłości.

Zagadka, którą próbuje rozwikłać Anna Fontana, sięga lat 30. ubiegłego wieku. Podczas I wojny Mieczysław van der Coghen, dziadek Anny, jako Austriak został internowany w Wilnie, a potem wywieziony do kopalni za Ural. Bałagan rewolucji sprawił, że udało mu się zbiec. Matki, Marii Magdaleny z Nosalskich, nie zastał już w Juzowce (tak do 1924 r. nazywał się Donieck). Zmarła z głodu lub na grypę hiszpankę. Mieczysław zdołał wrócić do Polski jednym z ostatnich statków z Kerczu na Krymie. W tym ubraniu, które miał na sobie, i z obrazem Matki Boskiej. W Związku Sowieckim pozostał jego brat Antoni, inżynier górnik. Utknął w Baku, już wtedy z rosyjską żoną. Mieczysław pisał do niego i do rodziny matki, czyli Nosalskich. Stąd wiadomo, że byli bardzo zdesperowani i płacili łapówki, by wyrwać się z ZSRS. Jednak kryzys roku 1929 skomplikował sprawę. Rozpaczliwe listy donosiły o głodzie. Ostatnia wiadomość od Antoniego dotarła w 1936 r. z Taszkientu. – Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co się potem stało – tłumaczy Anna.

Jej ojciec, fizyk, czasem wyjeżdżał na Wschód. Zawsze wtedy wykorzystywał okazję, by szukać rodzinnych śladów. – Jak zdarzyło się mu znaleźć nazwisko Kogen, miał nadzieję, że to krewny. Jednak w cyrylicy tak samo zapisuje się też Cohen i Kohen, co komplikuje sprawę. Wciąż natrafiał na fałszywe tropy – opowiada Anna.

DOPÓKI NIE ZNAJDZIEMY GROBU

Apel „Szukamy Zosi Hendel (z Wołynia)" desperacko zamieszczany jest wszędzie tam, gdzie tylko można. Nie stracił aktualności od ponad 70 lat. Nadawczyni to Anna Dimacopoulou, siostrzenica zaginionej, urodzona już w Anglii. Czasami trudno jej wyrazić coś po polsku. Tłumaczy: – Zosia to ukochany członek naszej rodziny, nawet bez obecności między nami. Tak długo, jak istnieje wątpliwość co do jej losów, będziemy szukać. Dopóki nie znajdziemy grobu.

Zosia urodziła się w 1929 r., dziś byłaby więc Zofią, ciocią Zofią, starszą panią. Jej rodzice, Barbara i Tomasz Hendlowie, oprócz niej mieli dwie starsze córki: Marię i Stanisławę. Prowadzili gospodarstwo w Zwiniaczach, rejonie horochowskim na Wołyniu.

10 lutego 1940 r., tak jak 140 tys. innych Polaków, deportowano ich na Sybir. Po „amnestii" Tomasz zgłosił

eprasa.pl 2ca7fd0c41

się do armii gen. Andersa. Rodzina żyła w bardzo trudnych warunkach. Maria, najstarsza z córek, wstąpiła do tzw. junaczek. W szkołach przy wojsku, które nazywano „przepustką do życia", zbierano wtedy młodzież w wieku 14–18 lat. Po wydostaniu się do Palestyny Maria została nauczycielką. Podobną drogę wymarzyła sobie 13-letnia Zosia. Wybłagała, by przyjęto ją do działających przy sierocińcu „orląt", młodszych odpowiedników „junaków". Wkrótce jej szkołę, ze względu na lepszy klimat dla nękanych chorobami dzieci, przeniesiono do Wrewskoje w Uzbekistanie. Komendantka, pani Całowa, zapewniła Barbarę, że jej córka wyjedzie z sierotami z rosyjskiego terytorium przez Morze Kaspijskie. Matka zgodziła się na to niechętnie, lecz w przekonaniu, że Zosia będzie bezpieczniejsza i lepiej karmiona. Rodzina miała się spotkać w Pahlevi (dziś Bandar-e Anzali) w Iranie.

Hendlowie dotarli tu pod koniec sierpnia 1942 r. We wrześniu z wycieńczenia zmarł Tomasz. Kolejny cios spadł na Barbarę, gdy okazało się, że wśród dzieci z sierocińca, które przybyły na statku, nie ma Zosi. Otrzymała informację, że córka zachorowała i nie nadawała się do dalekiej, wyczerpującej podróży. Została w szpitalu we Wrewskoje. Ostatnia wiadomość od niej, otrzymana latem 1942 r., brzmiała: „Mamo, już nic nie chcę, nawet nie chcę chleba, tylko chcę być z Tobą". Po kilku miesiącach Barbara z trzecią córką, Stanisławą, zostały z Teheranu przewiezione do Indii. Potem, w ramach łączenia rodzin, trafiły do przebywającej w Wielkiej Brytanii Marii.

13-letnia Zosia miała dotrzeć do rodziców z transportem sierot, ale zachorowała. Ostatnią wiadomość wysłała mamie w 1942 r. Tęskniła

– Można by przypuszczać, że Zosia zmarła, tak jak wiele dzieci w tamtym czasie – opowiada Dimacopoulou. Przecież gdyby żyła, szukałaby rodziny. Na Syberii każdy kawałek zdobytego chleba przynosiła bliskim do podziału. Matka i siostry szukały jej przez brytyjski i polski Czerwony Krzyż. Kiedy pojawił się Internet, rodzina wiele godzin spędzała, wertując listy zmarłych i zesłanych. Bez rezultatu. – Jest jednak jedno „ale" – mówi Anna. Właśnie znalazły w Internecie zdjęcie sierot z Wrewskoje zrobione w maju 1942 r. Maria, choć widzi już słabo, jest przekonana, że dziewczynka siedząca na pierwszym planie to jej zaginiona siostra. W 2012 r. dotarła do nich wiadomość z rodzinnych Zwiniaczy, że w latach 70. do miejscowości przyjechała kobieta, która pytała o Hendlów.

– Istnieje możliwość pomylenia jej z inną Zofią, która także powróciła do miejsca urodzenia, ale ponad 25 lat później – tłumaczy Anna. Jednak ta historia dała impuls do dalszych poszukiwań – wypraw do IPN w Warszawie oraz Instytutu Sikorskiego, a także kontaktu z Instytutem Hoovera w USA, pisania w sprawie Zosi do wielu ambasad i organizacji. Dzięki temu Hendlom udało się już dokonać wielu cennych odkryć dotyczących dalszych członków rodziny. Ambasada polska w Teheranie odnalazła zaś grób Tomasza. – Jego córka i wnuki zobaczyły go po raz pierwszy na fotografii, co było poruszające – wspomina Anna. Dzisiaj szuka Zosi dla siebie i matki. Maria ma już 90 lat i ciągle czeka na rozwikłanie zagadki.

– Każdego dnia otwierają się nowe możliwości. Odtajniane są archiwa, upubliczniane nowe dokumenty – cieszy się Stanisław Wójcik, emeryt z Lublina. Sam odnalazł brata mamy, którego po wojnie szukali „wszyscy święci". – Udało się dzięki temu, że syn założył mi Internet – mówi. Teraz pan Stanisław pomaga innym. Chciałby, żeby im też się udało.

Podobne historyczno-rodzinne pobudki kierują Zbigniewem Kwiatkowskim, sybirakiem z Londynu. – Jestem najmłodszym w naszej przedwojennej rodzinie, który jeszcze pamięta wydarzenia tamtych lat. Ojciec w lutym 1942 r. został powołany do wojska w Kirgistanie, a my, troje dzieci, przeżyliśmy ten straszny okres dzięki niezłomnej woli i wysiłkowi naszej matki, Leontyny. Dlatego czuję się moralnie zobowiązany pomagać osobom, których dzieje rodzinne też „zawisły w powietrzu" – tłumaczy.

To właśnie działania Wójcika i Kwiatkowskiego sprawiły, że na dwóch kontynentach odnalazła się rodzina Waluków.

W WARSZAWIE LUB JOHANNESBURGU

Barbara Grzymała, blondynka, nowe mieszkanie, stare meble, warszawska Ochota. – Uwielbiałam bawić się fotografiami. A ta – Barbara wskazuje na czarno-białe zdjęcie – miała w sobie coś magicznego. Młoda śliczna dziewczyna przytula się do pleców uśmiechniętego mężczyzny. Ich sylwetki widać w lewym dolnym rogu. Główny plan zdjęcia to gałęzie, ale do góry nogami. Taki efekt odwróconego obrazu fotograf uzyskał, ustawiając parę nad wodą. Z tyłu atramentowy podpis: „Na pamiątkę dla moich Rodziców od Janka i Jacqeline".

– Przez wiele lat nic mi to nie mówiło – przyznaje Barbara. Pamiętała jednak z dzieciństwa przyciszone rozmowy dorosłych o tym, czy Józiowi udało się wrócić do kraju. Mama Barbary, z domu Waluk, była córką Konstantego, który miał brata Józefa. I to jemu Konstanty później wysyłał paczki – w głąb Rosji, ale dokładnie nie wiadomo gdzie.

Barbara nie interesowała się wcześniej historią. Szkoła, studia, praca – wiadomo. Jednak w tym roku, z okazji 40. rocznicy śmierci dziadka, rodzina postanowiła wymienić mu nagrobek. – I właśnie stojąc na cmentarzu, poprzysięgłam sobie: wracam do Warszawy i szukam jego brata – opowiada Barbara. Datę pamięta doskonale – 23 sierpnia br. na portalach kresowych zamieściła ogłoszenia: szukam rodziny Waluków.

Już następnego dnia Stanisław Wójcik odpisał: „Wysyłam Pani listę dzieci – sierot, które zostały skierowane do Afryki". Opisał ich losy: z Syberii po „amnestii" trafiły do Uzbekistanu, gdzie formowała się armia gen. Andersa. Potem do Aszchaba-

eprasa.pl 2ca7fd0c41

du (Turkmenistan), a następnie statkami Anglicy transportowali je do Indii, Nowej Zelandii, Meksyku. Całkiem sporo dzieci trafiło także do państw afrykańskich. Na liście wśród 500 polskich sierot wywiezionych we wrześniu 1943 r. z domu św. Andrzeja Boboli do Afryki Południowej pod numerami 451–453 znajdują się Antoni, Jan i Leon Walukowie, synowie Józefa i Stefanii, zamieszkali: Leski, powiat Wołkowysk, województwo Białystok.
– Otwieram tę listę i dostaję gęsiej skórki. Dzwonię do mamy, ona milczy. A potem mówi: „Dziecko, to dzieci wuja, to są oni" – opowiada Barbara.

Wiedziały, że wuj Józef walczył w Legionach, został osadnikiem, dostał 25 ha ziemi w Porozowie. Ożenił się ze Stefanią, mieli czworo dzieci. Kiedy wybuchła wojna, jego wywieziono na Wschód, a żonę zostawiono do opieki nad rannym wojskowym. – Tylko nam te Leski nie leżały – przyznaje Grzymała. Sprawdziły jednak na mapie: Porozów był przed wojną miasteczkiem, Leski – majątkiem położonym w pobliżu.

Dalej śledztwo przejął Zbigniew Kwiatkowski. Ma znajomych w Kanadzie i Afryce, zna archiwa. 9 września zameldował: „Poszukiwania skończone. Jestem w kontakcie z córką Jana, Krystyną". Synowie Józefa znaleźli się w grupie 16 chłopców, którzy pozostali w RPA. Leon zginął w wypadku motocyklowym w latach 50., Antoni zmarł w 1988 r. Jan też już nie żyje – to on po wojnie ożenił się z Belgijką Jacqeline i to ich zdjęciem w dzieciństwie bawiła się Barbara. Jak trafiło do Grzymały? Okazało się, że Walukowie nawiązali po wojnie kontakt z ojcem. Jan przesłał zdjęcie Józefowi, a on przekazał bratu.

Na podstawie fotografii i informacji od Waluków z Afryki udało się zrekonstruować losy samego Józefa. Po wojnie przyjechał do Bielska Podlaskiego, potem przeprowadził się do Białegostoku. Spotkał się z żoną Stefanią – czego dowodem jest to, że pozują wspólnie na tle samolotu. Pozostała do rozwiązania jeszcze jedna zagadka: ustalenie, gdzie został pochowany. Rodziny polska i afrykańska planują spotkanie. W Warszawie lub Johannesburgu – do ustalenia.

SZUKA SIĘ, ŻEBY WIEDZIEĆ

Składane w całość historie czasem zaskakują. Piotr, który zamieścił ogłoszenie w gazecie na Ukrainie, wyznaje:
– Okazuje się, że dziadek miał rodzinę. Żonę i syna, o których nic nie wiedziałem.

Dziadek był skryty, nigdy nie chciał rozmawiać o przeszłości. Twierdził, że nikt z bliskich nie żyje, a gdy w latach PRL szukał ich śladów, miał problemy z bezpieką. Tymczasem na anons Piotra odpowiedział Ihor: „Kiedy przeczytałem o tym Mamie, ona od razu powiedziała: »To mój wujek!«. Dobrze pamięta, bo było jej 10 lat, że mieszkała u niego we Lwowie cały tydzień". Potem wyjaśnił ze szczegółami rodzinne powiązania. O dziadku Piotra napisał, że był ożeniony z Katarzyną, mieli syna Włodzimierza. Ani żona, ani syn już nie żyją. Są wnuki – dwóch synów Włodzimierza. „Ja ich nie znam, ale postaram się teraz znaleźć i rozkazać im o Was. Katarzyna długo szukała męża i jej powiedzieli, że zginął" – pisał Ihor.

Piotr M.: – Nie wiem, co się tam wydarzyło. Co sprawiło, że mój dziadek ich zostawił. Jak zostali rozdzieleni? Czy to prawda? Jednak także oni planują spotkanie. Piotr ma nadzieję, że to wiele wyjaśni. W końcu przecież po to się szuka, żeby wiedzieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 12.02-26.02.2017 r. oraz 26.02 - 13.04.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Agnieszka Niewińska

Wyklikać życie

Za granicą wielkie charytatywne zbiórki służą całej grupie chorych, bo zysk z nich idzie na badania naukowe nad konkretnymi schorzeniami. W Polsce zbieramy miliony, by ratować życie i zdrowie konkretnych osób, które nie dostały należnej pomocy od państwa

Kornel Woźny nie ma jeszcze trzech lat, ale uzbierać na swoje leczenie musi 1,8 mln zł. Maluch choruje na siatkówczaka – rzadki i złośliwy nowotwór oczu. Szansą dla niego jest terapia w Nowym Jorku, którą musi pilnie rozpocząć. W kraju grozi mu już usunięcie oka. Zbiórka, którą prowadzi fundacja Rycerze i Księżniczki, jest na szczęście na finiszu. Brakuje niespełna 100 tys. zł. Chłopca wsparły setki osób, w tym lekkoatleta Piotr Małachowski, który przekazał mu swoją statuetkę z plebiscytu „Przeglądu Sportowego". Udało się ją zlicytować za 15 tys. zł.

Podobnych zbiórek na rzecz walczących o zdrowie i życie prowadzone są w Polsce tysiące. Potrzebne kwoty często idą w miliony. Na leczenie w USA dla Stasia Patrzałka ze Staszowa w województwie świętokrzyskim, którego podobnie jak Kornela wspiera fundacja Rycerze i Księżniczki, trzeba było uzbierać 1,5 mln zł. Fundacja szuka też wsparcia dla innych dzieci – walczącej z siatkówczakiem Agatki Kobyłeckiej czy zmagającej się z medulloblastomą Emilki Jasic.

Setki innych potrzebujących apelują o wsparcie za pośrednictwem serwisu Siepomaga.pl. Czteroletnia Kaja prosi: „Nie pozwólcie mi odejść", rodzice Mateusza apelują o wsparcie w zakupie wózka, który nie będzie deformował jego kręgosłupa. Niezbędna kwota to nieco ponad 12 tys. zł – nieosiągalna dla rodziny.

Na leki dla Oli z chorobą autozapalną także trzeba było zbierać fundusze w Internecie. Dziewczynka aby żyć, przyjmuje zastrzyki, których codzienny koszt to 600 zł. Ministerstwo Zdrowia odmówiło refundacji, rodzice prowadzą batalię sądową, ale leków nie może im zabraknąć.

– Dziennie mamy po kilkadziesiąt zgłoszeń – mówi Monika Urban z Siepomaga.pl. – Weryfikujemy skierowane do nas prośby i podejmujemy działania tylko nad tymi w pełni uzasadnionymi, popartymi stosownymi dokumentami i kosztorysem – podkreśla.

Kto korzysta z portali społecznościowych, ten niemal codziennie dostaje jakiś apel o wsparcie chorego walczącego ze śmiertelną chorobą i z urzędnikami odmawiającymi refundacji leku. Przesyłają je znajomi i znajomi znajomych, kolportują media – te ogólnokrajowe i lokalne, a coraz częściej także lokalne serwisy, które na co dzień informują o miejskich korkach, wypadkach, zamykanych ulicach.

RENTA ZAMIAST PROTEZY

Macieja Gnyszki, który założył w Polsce pierwszą agencję fundraisingową, czyli zbierającą fundusze na cele społeczne, nie dziwi, że tak wielu potrzebujących prosi dziś darczyńców o pieniądze na leczenie. – Serwisy, które gromadzą takie apele, udostępniają miejsce do prowadzenia zbiórki, to w pewnym sensie strony niemocy polskiego systemu ochrony zdrowia. W wielu przypadkach, zwłaszcza w odniesieniu do chorób rzadkich, system ubezpieczeniowy ocenia, że już mu się nie opłaca ratować chorego, dlatego rodziny są zmuszone wziąć sprawy w swoje ręce, szukać leczenia gdzie indziej i zbierać na nie fundusze – mówi.

Czy jesteśmy tu jakimś ewenementem? Szczepan Kasiński, fundraiser z Gnyszka Fundraising Advisors, który od lat obserwuje zachodnie metody pozyskiwania funduszy, zwraca uwagę, że choć na Zachodzie działają różnego rodzaju serwisy pomagające w zbiórkach, to sytuacja w Polsce jest jednak specyficzna. – Niewydolność NFZ sprawia, że u nas dominują zbiórki celowe, na konkretnego chorego, a także wpłaty 1 proc. na subkonto konkretnej osoby, co jest zresztą niezgodne z ideą całej ustawy o 1 proc. podatku, która w swoich założeniach miała wzmacniać sektor pozarządowy. Jednak skoro jest taka furtka, to ciężko się dziwić chorym, że z niej korzystają – mówi. Dodaje, że w krajach zachodnich takie akcje też się zdarzają, ale są w mniejszości, bo chorzy zwyczajnie mają dostęp do niezbędnego leczenia. – Tam organizacje pozarządowe i te zrzeszające pacjentów zbierają raczej na programy diagnostyczne, badania naukowe, które mają systemowo rozwiązać problem chorych na dane schorzenie, a nie działać doraźnie. Dzięki temu zbiórki skutecznie zmieniają rzeczywistość całej grupy chorych w dłuższej perspektywie. Badacze lepiej znają ich potrzeby, bo bezpośrednio z nimi pracują. Akcja „Ice Bucket Challenge", dzięki której zebrano 115 mln dol., pozwoliła na badania, dzięki którym zidentyfikowano gen odpowiedzialny za stwardnienie zanikowe boczne – zwraca uwagę.

Gnyszka przypomina sobie, że kiedy jego agencja pomagała Jaśkowi Meli w rozwijaniu fundacji Poza Horyzonty wspierającej osoby potrzebujące protez kończyn, ze zdziwieniem odkryła, że na Zachodzie podobnych organizacji w zasadzie nie ma. – Bo tam państwo rozumie, że lepiej jest zrefundować choremu nowoczesną protezę, dzięki czemu będzie on aktywny zawodowo i społecznie, niż wypłacać mu renty i zasiłki. U nas państwo oferuje głodową rentę i refunduje protezę, która w zasadzie do niczego się nie nadaje – mówi.

Aby ratować życie i zdrowie, rodziny polskich chorych zamiast skupić się na opiece nad bliską osobą, muszą zamienić się w specjalistów od marketingu. Im

eprasa.pl 2ca7fd0c41

FOT. FOTOLIA

więcej kliknięć, udostępnień, wysłanych e-maili, tym większa szansa, że uda się zebrać środki niezbędne na leczenie.

– Zbiórka wymaga promocji tak jak wszystko, co trafia do sieci. Pod tym względem nie różni się od artykułu, filmiku nagranego przez youtubera czy mema. Aby „pomagacze" mogli działać, muszą się o problemie dowiedzieć. Razem z osobą potrzebującą opracowujemy, w jaki sposób dotrzeć do jak największej grupy odbiorców – tłumaczy Monika Urban z Siepomaga.pl.

Anna Sołtysik z fundacji Rycerze i Księżniczki zwraca uwagę, że w promocji zbiórki dużą rolę odgrywają osoby znane. – Kiedy apel o pomoc dla jednego z naszych potrzebujących udostępniła na swoim profilu Ewa Chodakowska, zbiórka od razu przyspieszyła. Podobnie gdy chorego chłopca odwiedził CeZik i nagrał dla niego specjalną piosenkę – mówi. W zbiórki włączają się nie tylko celebryci. O wsparcie rehabilitacji, zakupu protez nóg i wózka dla 14-letniego Błażeja Cymermana, piłkarza klubu Józefovia z podwarszawskiego Józefowa, który w drodze na trening wpadł pod pociąg i stracił obie nogi, apelowali prezydent i pierwsza dama.

Wiola Szczepańska, mama Kuby, którego oko udało się uratować dzięki terapii w klinice w Nowym Jorku, zwraca uwagę, że niezbędne środki – a leczenie kosztowało około milion złotych – udało się zebrać dzięki pomocy darczyńców, a także zaangażowaniu przyjaciela. – Wykonał ogromną pracę. Nocami tworzył stronę, umieszczał zdjęcia i filmy, pracował nad opisem naszej historii, tak by przekazać niezbędne informacje, ale też poruszyć ludzi – opowiada mama Kuby. O zbiórce na ratowanie oka chłopca z trybuny sejmowej mówił nawet ówczesny poseł Przemysław Wipler. 600 tys. zł udało się zgromadzić w ciągu trzech dni. Rodzice chłopca na bieżąco informowali o efektach zbiórki, nawet kilkakrotnie w ciągu dnia pokazywali stan konta bankowego. Kiedy już udało się wyjechać do kliniki w USA, dzielili się informacjami o efektach, zamieszczali zdjęcia. Po powrocie z leczenia darczyńcy otrzymali od rodziny listy z podziękowaniami. Pani Wiola wysłała ich 15 tys., zużyła 100 długopisów. – Nie mieliśmy innego wyjścia. Kubuś wcześniej stracił już jedno oko. Wobec guza w drugim polscy lekarze okazali się bezradni. Sami skierowali nas na leczenie za granicę, ale nie poszła za tym refundacja z NFZ – opowiada Wiola Szczepańska. Razem z przyjacielem, który pomagał im w zbiórce, napisała książkę o tym, jak walczyła o ratunek dla dziecka. Dochód ze sprzedaży tej publikacji zasila dziś konta innych chorych dzieci.

ŻYCIE – BEZCENNE

Monika Urban uważa, że jesteśmy społeczeństwem empatycznym i wrażliwym na krzywdę.

– Tego dowodzą chociażby wielomilionowe zbiórki na ratowanie Zuzi Machety, Kajtka Lipowicza czy Emila Koryczana – na troje dzieci zostało zebranych w sumie ponad 21 mln zł. Dla nas, Polaków, życie jest bezcenne. Nie kładziemy na szalę, nie zastanawiamy się, czy warto. Jeśli trzeba pomóc, to robimy to – mówi. Zuzia i Kajtek chorzy na bardzo rzadką chorobę genetyczną skóry Epidermolysis Bullosa i Emil z ciężką wadą serca leczą się dziś w Stanach Zjednoczonych. Dzięki aktywności rodziców na Facebooku można obserwować imponujące postępy w ich leczeniu.

Gnyszka, choć docenia hojność Polaków, zwraca jednak uwagę, że duża liczba próśb o pomoc w sfinansowaniu leczenia, pilnej operacji wynika z tego, że działamy akcyjnie. – Potrafimy wesprzeć to, co wymaga pilnej, natychmiastowej reakcji, lubimy angażować się wtedy, kiedy stoi przed nami duże wyzwanie, kiedy pieniądze trzeba zebrać w kilka dni. To trochę jak sprzątanie, gdy mleko się rozlało. A gdyby do tego nie dopuścić? Przecież można ustawić nawet kilku czy kilkunastozłotowy przelew na rzecz jakiejś fundacji i wspierać ją regularnie. Jeśli ta miałaby pieniądze, to mogłaby pomagać od razu, bez konieczności organizowania kampanii – mówi fundraiser.

Na razie nic nie wskazuje na to, by ciężko chorzy mogli obyć się bez wsparcia darczyńców. Kolejki do zabiegów w Polsce sprawiają, że nawet rodzice dzieci z rozszczepem podniebienia zbierają pieniądze na rehabilitację czy prywatne zabiegi poza kolejką, a przecież nie potrzeba tu eksperymentalnej terapii w drogiej zagranicznej klinice.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Adam Driver (z lewej) oraz Andrew Garfield nie zahipnotyzowali publiczności

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Inspirujące fiasko Martina Scorsese

Andrzej Horubała

Zdawałoby się, to nie mogło się nie udać

Martin Scorsese, reżyser od początku artystycznej kariery spektakularnie mocujący się z katolicką formacją, którą otrzymał w dzieciństwie, zrozpaczony, bluźniący, ale na trwałe naznaczony naszą religią, na końcu drogi pragnący ukojenia, zmierzający do pojednania.

I dwóch gorących aktorów, którzy przed wejściem na ekrany „Milczenia" dali pokaz swego magnetycznego talentu.

Andrew Garfield z subtelnym, jakby zakłopotanym uśmiechem w hollywoodzkiej balladzie o ludzkim nonkonformizmie i mocy przekonań, jaką prowadzony przez szalonego Mela Gibsona stworzył w „Przełęczy ocalonych". Oraz Adam Driver, który w pastelowym „Patersonie" niósł na sobie ciężar opowieści Jima Jarmusha o sztuce przemieniającej nasze szare codzienne życie.

A do tego, niczym most łączący wielkie religijne freski – Liam Neeson, który oprócz ról w kinie komercyjnym, miał swój znaczący udział w filmie „Misja" jako ksiądz jezuita, towarzyszący duetowi De Niro – Jeremy Irons we wstrząsającej opowieści o redukcjach paragwajskich. Redukcjach z tego samego XVII w., w którym rozgrywała się akcja zekranizowanej przez Martina Scorsese powieści Shūsaku Endō „Milczenie".

I tu, i tam jezuici, i tu i tam, wielki temat zderzenia odmiennych kultur, pytania o przemoc i męczeństwo.

BEZ MOCY

Podobieństw między filmem Rolanda Joffé a „Milczeniem" jest zresztą więcej. W obu obrazach okrutna egzotyczna natura stanowiąca nie tylko tło, scenę, lecz także metaforyczny duchowy krajobraz rozgrywanych akcji. W „Misji" przeciążenia duchowe, walkę wewnętrzną, mocowanie się ze swoimi namiętnościami, ujarzmianie instynktów zestawiono z przedzieraniem się przez dżunglę, z mozolną wspinaczką po skałach, próbami wypatrzenia wroga w zielonej otchłani. W „Milczeniu" monumentalna, milcząca, bezwzględna przyroda kierowała myśl ku wyobrażeniom Boga – obojętnego – zdawałoby się – wobec cierpień jego wyznawców. Obca, nieprzyjazna, wyniszczająca.

Wreszcie i w „Misji", i w „Milczeniu" reżyserzy, nie zaniedbując ról drugoplanowych, postawili na duet znakomitych aktorów.

Porównanie najnowszego dzieła Martina Scorsese z filmem sprzed 30 lat bezwzględnie obnaża jednak największą słabość „Milczenia" – brak duchowej siły i wyrazistości. Dzieło Scorsese to bowiem rozwlekła, pokrętna w warstwie duchowej, miejscami nudna wręcz opowieść pozbawiona mocnego przekazu. Bohaterowie, choć ich udziałem są doświadczenia ekstremalne, nie są w stanie zahipnotyzować widza tak, jak

eprasa.pl 2ca7fd0c41

czynili to trzy dekady temu Irons i De Niro. Porażające obrazy wyrafinowanych kaźni: krzyżowanie w morzu, polewanie wrzątkiem, nacinanie ciał, obcinanie głów – to wszystko jednak przytłumione zostaje jakimś mętnym przekazem, który stara się wpisać Scorsese w opowieść o martyrologii japońskiego Kościoła, jakby świadomie redukując mistyczny wymiar męczeństwa.

I gdy wieloznaczna mimo wszystko „Misja” pozostawiała widza w stanie jakiegoś oszołomienia, poruszenia, wzniosłości, koniec „Milczenia” pozornie domykając wzruszającym akordem ponad dwuipółgodzinny obraz, w żaden sposób nie może się mierzyć z patetyczną sceną śmierci obu protagonistów z amazońskiej dżungli: padającego z monstrancją Jeremy’ego Ironsa i obserwującego rzeź śmiertelnie rannego De Niro. Pogodzeni w klęsce męczennicy wierni prowadzonej przez siebie wspólnocie. I przecież gest, gdy Irons odmawia błogosławieństwa przed bitwą, lecz ofiarowuje swemu współbratu własny krzyżyk, wybrzmiewa czyściej niż wzruszający, ale bałamutny zabieg z krzyżykiem, jakim stara się spuentować swą opowieść Scorsese.

Zgoda, „Misja” to kino popularne. Ale co, „Milczenie” mniej popularne, bo nudne?

SZUKAJĄC ZNACZEŃ

Można powiedzieć, że 74-letniemu reżyserowi nie starczyło już kunsztu, by oddać dzieło spójne i konsekwentne, ale przecież nie chodzi tylko o środki artystycznego wyrazu i sposób prowadzenia aktorów, nie tylko o warstwę muzyczną niedorównującą zniewalającej muzie Ennio Morricone z „Misji”, lecz także duchowe przesłanie, jakie niesie ekranizowana opowieść Endō.

Z kina wychodzimy więc w stanie mocnego pomieszania, narzucając na film coraz to inne interpretacyjne siatki.

Czym bowiem ma być opowieść o wyprawie dwóch portugalskich jezuitów do ogarniętej szałem religijnych prześladowań Japonii w poszukiwaniu swego dawnego mistrza i nauczyciela, który – jak wieść niesie – dokonał aktu apostazji, wyrzekł się wiary i stał się sługą szoguna? Odbitką „Jądra ciemności”, wyprawą ku czarnemu sercu człowieczeństwa?

Co może znaczyć los księdza wyrzekającego się publicznie wiary, współpracującego z prześladowcami, pomagającego im tropić chrześcijan? Nowa chrześcijańska adaptacja ketmana?

Jak odczytywać opowieść o fiasku misji i wyparciu chrześcijaństwa z Japonii?

„Milczenie”, choć opakowane jako rzecz z mocnym przekazem duchowym, okraszone wieloma biblijnymi cytatami i aluzjami, prezentowane w Watykanie, opatrzone przez Scorsese jezuickim mottem „Ad maiorem Dei gloriam” i dedykacją dla misjonarzy w Japonii, epatujące zwierzeniami aktorów, jakim to wielkim wewnętrznym przeżyciem była dla nich gra z tym filmie, jest niestety opowieścią pełną nieczystych dźwięków, mało klarownym, pozbawionym katharsis rozwleczonym snujem. Świetnym jako materiał do dyskusji, ale jako dzieło artystyczne – chromym.

Jakże mogłoby być inaczej, skoro już książka Shūsaku Endō, choć głębsza w opisach życia wewnętrznego bohatera, pełna była duchowego fałszu, który w pełni objawiał się w finale powieści, gdy pisarz, nazywając swą postawę „nieco protestancką”, w odautorskim komentarzu solidaryzował się z księżmi, którzy publicznie zaparli się własnej religii, przeszli na stronę prześladowców, by swą wierność Chrystusowi pielęgnować w ukryciu przed światem, i spełniając podłe dość uczynki.

AUTOPORTRET CZY DIAGNOZA WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

Czym więc miałaby być ta opowieść o księżach apostatach, którzy zwątpiwszy w swą misję, wyrzekają się publicznie wiary, depczą wizerunek Zbawcy, chcą jednak umierać z jego imieniem na ustach?

Może diagnozą, jaką Scorsese stawia współczesnemu światu, który choć wyparł się Ukrzyżowanego i na co dzień postponuje Jego święte oblicze, to gdzieś tam wewnętrznie jest chrześcijański i marzy o komunii z Bogiem? Obrazem człowieka Zachodu, który choć zdradza, chce umierać, ściskając krzyżyk w dłoni? A może opowieścią autobiograficzną, którą wielki reżyser żegna się ze światem, przyznając w ostatnim momencie do wiary?

W materiałach promocyjnych możemy zobaczyć, jak Scorsese odnosi do siebie doświadczenie bohaterów filmu, że „należy stracić wiarę, aby wiarę odzyskać”. Tylko że tu trudno jest serio mówić o jakimś odzyskaniu wiary, chyba że tym aktem miałoby być uprawianie jakiegoś chrześcijaństwa bezobjawowego. Że niby co? Symbole, kult, kultura nie mają żadnego znaczenia, bo to puste słowa, gesty, znaki, a najważniejsze jest to co skryte w sercu? Oczywiście zalewając to jakąś liryką mącącą znaczenie słów, odwołującą się do uczuć, można coś takiego wykreować. Zagada się wtedy Chrystusową przestrogę, że kto się wyprze mnie przed ludźmi…, rozmyje się w ogóle fundament naszej kultury, wkroczy na ścieżkę zaprzaństwa i zdrady.

Może zresztą jest to po trosze intencja Scorsesego podążającego za japońskim pisarzem. Po bluźnierczym i dość głupawym „Ostatnim kuszeniu Chrystusa” (1988), heretyckim przecież nie tylko w scenach tytułowego „kuszenia”, które nasi postępowi katolicy uznają za ciekawą pomoc duszpasterską, i serii mniej lub bardziej udanych filmów komercyjnych reżyserowi zamarzyło się dzieło podsumowujące jego duchowe mocowanie się z chrześcijaństwem.

Sugeruje więc sędziwy twórca, że podobny jest księżom, którzy obserwując fiasko swych zmagań misyjnych, widząc, że owocem ich działalności, skutkiem nawróceń jest tylko cierpienie i śmierć, dostrzegając daremność swych starań, przechodzą na stronę wroga, poddają się, pogrążają w rozpaczy, choć zachowują we wnętrzu znaczące „coś”.

Bóg milczy wobec okrucieństw, wobec męczeństwa swych wyznawców, a człowiek staje przed wyborem: porzucić wiarę, zaprzeć się Chrystusa i zmniejszyć cierpienie na świecie, czy też trwać w beznadziejnym uporze i kultywować złudzenia.

Scorsese podobnie jak w „Ostatnim kuszeniu Chrystusa” i tu chętnie idzie za pokusą. Ba, zgodnie z powieścią, pokusie owej przydaje jeszcze sankcji religijnej, boskiej, sugerując, że Chrystus zaparłby się wiary (W samego siebie? W religię którą tworzył?), jeśliby to uratowało życie ziomków.

Zdrada staje się więc gestem dojrzałości człowieka.

REŻ. MARTIN SCORSESE „MILCZENIE” PREMIERA: 17 LUTEGO

JAK ZAWSZE JUDASZ SUPERSTAR

Nic dziwnego, że postacią, która nagle objawia się

eprasa.pl 2ca7fd0c41

„Misja”: Robert De Niro jako Rodrigo Mendoza kończy pokutę FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jako bohater ludzkości, jest Judasz. Bo przecież – przekonuje nas Scorsese, który fascynował się nim nie tylko w „Kuszeniu”, ale także w fenomenalnych „Chłopcach z ferajny” – Judasze i judaszki to w gruncie rzeczy – my. Słabi, upadający na co dzień, zapierający się Boga. Apoteoza Judasza jest więc gestem solidarności wobec człowieka. Człowieka prawdziwego, niewydumanego przez teologów i filozofów, tylko realnego, słabego, a często w dodatku jeszcze będącego igraszką w ręku Boga.

I tak na emblematycznego herosa wyrasta w filmie nikczemny Kichijiro (w tej roli, jednej z najciekawszych, Yôsuke Kubozuka), który po wielokroć wydaje swych ziomków w ręce buddyjskich siepaczy, zdradza, opluwa święte wizerunki, tłumi rozpacz w alkoholu, ale zafascynowany wciąż kręci się obok niezłomnego księdza, jęczy o spowiedź, wyznaje żal za grzechy, by znów zdradzić podle. Złakniony wiary, wybaczenia, świadom swej słabości, wciąż upadający na nowo – miałby być wzorem współczesnego człowieka? Człowieka uniwersalnego?

Odczuwający wobec niego wyższość moralną ksiądz, z pogardą i niechęcią udzielający mu rozgrzeszenia, zyska srogą nauczkę, gdy na końcu drogi okaże się taki sam jak on – ten kundel gardzący sobą i odtrącany przez wspólnotę.

Czy więc Scorsese, ten niedoszły ksiądz, opowiadając o sobie, szukając usprawiedliwienia dla swej apostazji, zdrady, stawia nam też przed oczy lustro?

Dziwnie jednak diagnoza miesza się tu z pochwałą. W momencie zaparcia się Boga w tle słyszymy pianie koguta, ale przecież kapłan-apostata nie jest Piotrem, który za chwilę gorzko zapłacze, a później wejdzie na drogę męczeństwa, lecz Judaszem, przekonującym siebie, że zdradzając Niewinnego, wypełnia wolę Najwyższego.

KLĘSKA EWANGELIZACJI

Można na „Milczenie” spojrzeć także jako na opowieść o klęsce misji katolicyzmu. O niemożności rozpowszechniania wiary, o Japonii nienawracalnej, o ograniczonej sile chrześcijaństwa, które nie jest w stanie podbić świata i nie jest religią uniwersalną. Taki trop, bliski obecnym trendom w Kościele katolickim, chętnie w imię dialogu międzyreligijnego kapitulującym wobec innowierców, z księży-apostatów czyniłoby pokutników, którzy cierpią z powodu fatalnego błędu chrześcijan biorących na serio słowa rozesłania uczniów: „Idźcie na cały świat…”. Opowieść o Japonii jako bagnie, na którym nie może wzrosnąć chrześcijańska roślina, zakwestionowanie sukcesów działającego dwa wieki wcześniej Franciszka Ksawerego, które były oparte na złudzeniach – to wszystko diagnozy, z którymi ochoczo zgodziliby się na pewno uczestnicy imprez takich jak międzywyznaniowe zgromadzenia w Asyżu.

Ale przecież opowiadając o dziejach chrześcijaństwa w Japonii, błądząc i bałamucąc, Scorsese stawia pytania serio: nie tylko w wątku księdza przygotowującego się do męczeństwa, przeżywającego swe Getsemani i balansującego między pychą utożsamienia się z Chrystusem a pokorą w pełnieniu Jego woli, nie tylko w rzadko obecnej w kinie współczesnym próbie ukazania duchowości chrześcijanina żyjącego Pismem, lecz także w postawieniu problemu męczeństwa jako ostatecznej próby wiary.

Może być „Milczenie” odczytywane więc jako przygotowanie chrześcijan żyjących w zachodnim wygodnym świecie na próbę bezpośredniego świadectwa, gdy bez światłocieni, aluzji, zapytani będziemy o naszą wiarę. I nie chodzi tylko o konfrontację ze światem liberalnej demokracji hołdującej politycznej poprawności. Ścięta mieczem spadająca na ziemię głowa japońskiego chłopa, przywołując sceny z przekazów agencyjnych i internetowych filmików, pokazuje, że kwestia męczeństwa, traktowanego dosłownie, może za sprawą ekspansywnego islamu już wkrótce stać się problemem każdego z nas.

NOTKA

Pisałem kiedyś o tym: w moim parafialnym kościele księży jezuitów przy Rakowieckiej, dawno temu w latach siedemdziesiątych, gdy nie wybudowano jeszcze nowego gmachu, przy schodach od strony działek wisiała tablica, na której na przebitkach zawieszano wystukane na maszynie recenzje filmów, goszczących na ekranach warszawskich kin. W lakonicznej formie zdawano sprawę z niebezpieczeństw duchowych i przekroczeń, ale też starano się wydobyć aspekty duchowe i budujące z omawianych obrazów. Co napisano by o „Milczeniu”? Że film dla wyrobionego odbiorcy (była taka kategoria), skłonić powinien do dyskusji i do lektur, które rozwijałyby poruszaną w filmie problematykę. Poza powieścią stanowiącą podstawę filmu, warto – pisałby obsługujący tablicę ksiądz – w sprawie milczenia Boga sięgnąć do dzieł Matki Teresy, „świętej od ciemności”, w sprawie fenomenu męczeństwa potraktowanego przez reżysera zbyt zdawkowo jednak do książki Dariusza Karłowicza „Arcyparadoks śmierci”.

Na „Milczenie” iść na pewno warto. Rzadko w kinie oglądać można filmy tak bezpośrednio dotykające spraw wiary, duchowości, Kościoła. Inna sprawa, że trudno zostawić ten film bez komentarza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Zamość Świetlną Stolicą Polski!

Charytatywna nagroda od Grupy Energa, warta 50 tys. zł, trafi do potrzebujących z Lubelszczyzny

W ramach akcji „Świeć się z Energą" Polacy już po raz ósmy wybrali najpiękniej rozświetlone miasto w kraju. W ogólnopolskiej rywalizacji zwyciężył Zamość, pokonując w dorocznym świątecznym plebiscycie prawie 100 miejscowości. Dzięki największej liczbie głosów zdobył nie tylko tytuł Świetlnej Stolicy Polski, lecz także wartościowe nagrody dla potrzebujących. Grupa Energa ufundowała energooszczędny sprzęt AGD wart 50 tys. zł. Do każdego z finalistów zabawy trafi dodatkowo pomoc o wartości 10 tys. zł

Przez blisko dwa miesiące mieszkańcy całej Polski oddawali głosy w plebiscycie miast „Świeć się z Energą". Po ich zliczeniu wyłoniono najpierw regionalnych zwycięzców, a w zakończonym właśnie ostatnim etapie głosowania wybrano zwycięską miejscowość – Zamość. Nagrodą w plebiscycie dla 16 laureatów jest nowoczesny sprzęt AGD o łącznej wartości 200 tys. zł, który trafi do potrzebujących. Fundator nagród – Grupa Energa – przekaże dla każdej z 15 miejscowości lodówki, pralki, kuchenki i inne energooszczędne urządzenia o wartości 10 tys. zł, natomiast Zamość otrzyma sprzęt AGD za 50 tys. zł.

– Dzięki akcji „Świeć się z Energą" podopieczni ponad 150 placówek w całej Polsce m.in. domów dziecka, stowarzyszeń czy ośrodków pomocy społecznej zyskali na przestrzeni ostatnich siedmiu lat pomoc, która ułatwia im życie. W tym roku, dzięki głosowaniu mieszkańców i sympatyków miast, do obdarowanych dołączą kolejni podopieczni instytucji udzielających pomocy – mówi Michał Lemański, dyrektor Departamentu Marketingu w Energa SA.

W tegorocznej edycji plebiscytu na miasta głosowało blisko 150 tys. osób. Dzięki nim do miast trafi ponad 160 nowoczesnych, energooszczędnych urządzeń AGD. Tuż za zwycięskim Zamościem uplasowały się Stalowa Wola i Częstochowa. Pozostałe nagrodzone miasta to: Radom, Łomża, Legnica, Gorzów Wielkopolski, Kalisz, Nysa, Braniewo, Wejherowo, Połczyn-Zdrój, Inowrocław, Rzgów, Bobowa i Starachowice.

Województwo lubelskie, w którym znajduje się Zamość, może pochwalić się również laureatem drugiego plebiscytu odbywającego się w ramach akcji „Jaśnie Galeria". Tarasy Zamkowe w Lublinie zostały wyróżnione przez publiczność, zdobywając najwięcej głosów internautów. Jednak decyzją jury najpiękniej udekorowanym miejscem na zakupy w Polsce została Galeria Warmińska z Olsztyna, dzięki czemu wygrała kampanię reklamową w serwisie Wirtualna Polska.

„Świeć się z Energą" to także indywidualny konkurs fotograficzny, dlatego wartościowe nagrody trafią również do amatorów fotografii, którzy starali się uchwycić w kadrze magię świątecznych iluminacji wśród swoich bliskich, w domu czy mieście. Spośród blisko 3 tys. zgłoszonych zdjęć zarówno Internauci, jak i jury pod przewodnictwem Lidii Popiel wyłonili autorów najlepszych prac. Trafi do nich łącznie ponad 100 atrakcyjnych nagród rzeczowych ufundowanych przez Grupę Energa.

Lista zwycięzców oraz galerie nagrodzonych zdjęć dostępne są na stronach SwiecSie.pl oraz na Facebook.com/SwiecSie. Organizatorami akcji są Energa SA i Grupa Wirtualna Polska.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Piotr Gociek

Nawet mało odkrywcze historie można opowiadać w bardzo zajmujący sposób – udowadnia najnowszy serial HBO z Nicole Kidman i Reese Witherspoon w rolach głównych

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dziewczyny nie

Nicole Kidman występowała w produkcjach telewizyjnych w latach 80. Nie był to wybór, lecz konieczność, wielki rozgłos i kariera były dopiero przed nią. Kiedy tylko umocniła swoją pozycję w Hollywood – a przełomem były tu filmy „Szybki jak błyskawica" (1990) oraz „Za horyzontem" (1992) – od razu zaczęła omijać mały ekran szerokim łukiem. Reese Witherspoon jako nastolatka zagrała w dwóch filmach telewizyjnych, potem pojawiała się tylko w epizodach (m.in. jako siostra Rachel w sitcomie „Przyjaciele"). Dzisiaj obydwie są gwiazdami pierwszej wielkości zatrudnianymi za kosmiczne gaże – co nie przeszkodziło im wystąpić w serialu produkcji HBO „Wielkie kłamstewka" („Big Little Lies"). Siedmioczęściowy serial zadebiutuje w USA w niedzielę 19 lutego, w Polsce pierwszy odcinek zostanie pokazany dzień później.

WIELKI MAŁY EKRAN

Widać, jak bardzo zmieniło się postrzeganie telewizji, którą przez długie dekady w amerykańskim show-biznesie traktowano jako miejsce zesłania dla osobników zdecydowanie zbyt mało utalentowanych, by występować w prawdziwych filmach, ewentualnie jako miejsce chałtur mocno przygasających emerytowanych gwiazdeczek. Aktor telewizyjny i aktor kinowy to były właściwie dwa różne zawody. Dzisiaj na małym ekranie oglądamy sławy, takie jak Kevin Spacey czy Dustin Hoffman, a najsilniejsze płatne stacje inwestujące we własne oryginalne produkcje stać także po sięgnięcie niemal po każdego reżysera. No bo jeśli Martin Scorsese mógł zrobić „Zakazane imperium", a David Fincher „House of Cards", to kto właściwie miałby się takiego towarzystwa wstydzić?

Jednak nawet na tle wspomnianych wyżej dokonań serial „Wielkie kłamstewka" jawi się wyjątkowo. Wszystkie siedem odcinków wyreżyserował Jean-Marc Vallée, którego najgłośniejszy film „Witaj w klubie" (2013) zdobył trzy Oscary i dwa Złote Globy, obsadzone w rolach głównych Kidman i Witherspoon także mają na koncie po Oscarze, a trzecią z najważniejszych w serialu postaci gra jedna z ciekawszych aktorek młodego pokolenia, Shailene Woodley. Tak, wiem, że ostatnio wszyscy kojarzą ją z młodzieżową fantastyką, czyli trylogią filmów „Niezgodna". Przypomnijcie sobie jednak, jak świetna była w „Spadkobiercach" (2011) reżyserowanych przez Alexandra Payne'a.

Kinowy film zrobiony przez taką ekipę byłyby reklamowany jako wydarzenie roku, zwłaszcza że podstawą jest bestsellerowa powieść Australijki Liane Moriarty. „Wielkie kłamstewka" zresztą początkowo miały być jednym filmem, ostatecznie jednak zdecydowano się na formułę miniserialu (łącznie ponad sześć godzin oglądania). A Jean-Marc Vallée stwierdził, że właściwie pracę nad serią traktował jak pracę nad jednym, bardzo długim filmem. Powiedzmy sobie szczerze – 88 dni zdjęciowych to robi wrażenie.

„Wielkie kłamstewka" zaczynają się jak kryminał – światła policyjnych radiowozów, wystraszeni przypadkowi świadkowie, ściągnięte twarze funkcjonariuszy prowadzących śledztwo. Nie wiemy jednak, kto zginął i dlaczego. To tajemnica, która długo pozostaje niewyjaśniona i która dodaje akcji smaku, a opowieści o głównych bohaterkach – podskórnego niepokoju. Te zaś poznajemy po kolei, gdy akcja się cofa.

POZORNA IDYLLA

Mamy oto pierwszy dzień po wakacjach, piękny i słoneczny, rodzice wiozą dzieciaki na zajęcia. Idylliczna sceneria – nadmorskie miasteczko zagubione między bujnymi lasami, wpatrujące się w ocean. Na przystani kołyszą się jachty. Madeline Martha Mackenzie (Reese Witherspoon) zatrzymuje się w drodze do szkoły, żeby zrobić awanturę dziewczynie wysyłającej SMS-y zza kierownicy. Madeline to kobietka energiczna, nieco irytująca, wściubiająca nos we wszystko i próbująca pomagać nawet tym, którzy tej pomocy nie potrzebują. Los lubi takich

eprasa.pl 2ca7fd0c41

karać, więc chwilę po interwencji Madeline skręci nogę w kostce. Pomoże jej nowa w miasteczku Jane Chapman (Shailene Woodley). Gdyby nie to przypadkowe spotkanie – informuje narrator – bo nie doszłoby do tragedii. Zagadki, zagadki, zagadki. Przed szkołą Madeline przedstawia Jane swoją przyjaciółkę Celeste Wright (Nicole Kidman). Tę poznaliśmy chwilę wcześniej na wielkim tarasie pięknego domu. Ma dwójkę urwisów, nad którymi nie panuje, i bogatego męża, który w dodatku wygląda jak wycięty z żurnala (gra go Alexander Skarsgård znany z serialu „Czysta krew" i ostatniej kinowej wersji „Tarzana"). Mąż jest od niej dużo młodszy, więc w miasteczku wszyscy plotkują, jaka to niesamowita musi być w łóżku Celeste, żeby utrzymać przy sobie taki skarb.

Figury są już rozstawione. Chociaż w serialu pojawia się jeszcze wiele ładnie nakreślonych postaci na dalszych planach (jest choćby Laura Dern jako otoczona zawiścią kobieta sukcesu), to najważniejsze okaże się to, co wydarza się (lub wydarzyło) w życiu wspomnianej trójki: Madeline, Celeste i Jane. Dwie pierwsze to najlepsze przyjaciółki i postacie wyglądające z początku jak nieskomplikowane bohaterki soap opery – ładne, zamożne, z pięknymi rodzinami, gadające w kółko albo o dzieciach, albo o ciuchach. Nowa w okolicy Jane mało do nich pasuje – widzimy, że jest wycofana, że kryje w sobie tajemnicę. Samotnie wychowuje syna.

Potem scenarzysta David E. Kelley (weteran telewizyjny, twórca m.in. seriali „Ally McBeal" i „Boston Legal") zaczyna pomału zdejmować warstwy z tej małomiasteczkowej idylli. Wtrącająca się we wszystko Madeline staje się krucha i bezradna, gdy chodzi o córkę z pierwszego małżeństwa. Eksmąż i jego nowa kobieta (Bonnie Carlson, którą gra Zoë Kravitz) mają na wiele rzeczy zupełnie inne poglądy, dziecko tkwi pomiędzy rodzicami i rodzinami, Madeline się boi, że straci kontrolę nad wychowaniem małej, która bardzo lubi „nową mamę". Celeste, obiekt zazdrości zawistników (ach, ten mąż, ach, te dzieciaki, ach, te pieniądze!) tkwi, jak się okazuje, w bardzo toksycznym związku. Nikt nie wie, jak często jej Pan Idealny wpada w szał i zaczyna traktować ją jak worek treningowy. A wycofana cicha Jane nie wie, kim jest ojciec jej syna. I wolałaby nie pamiętać okoliczności, w których został on poczęty.

Nie będę ukrywał – jest to opowieść napisana przez kobietę, o kobietach i dla kobiet. Liane Moriarty, autorka książki, na której podstawie powstał serial „Wielkie kłamstewka", specjalizuje się w takich historiach. Także polskie czytelniczki miały okazję poznać je w ostatnich latach („A teraz śpij", „Kilka dni z życia Alice", „Sekret mojego męża"). Powieść „Wielkie kłamstewka" wydano w Polsce dwa lata temu, można więc sprawdzić, co ją wyróżnia na tle podobnych propozycji (a przecież segment prozy dla kobiet to wielki kawałek wydawniczego tortu). Książki Moriarty pisane są tak, jak to teraz jest modne – dużo dialogów, częste retrospekcje, szkicowo pokazane tło. Chociaż dotykają trudnych tematów (stalking, amnezja, przemoc domowa), to pisane są lekkim, nieco ironicznym stylem. Nie aż tak bardzo zabawnym jak narracja Helen Fielding w książkach o Bridget Jones, ale to mniej więcej ten kierunek. Zresztą część dialogów z powieści „Wielkie kłamstewka" wklejono wprost do scenariusza – były dobrze skrojone.

PIERWSZORZĘDNY PRODUKT DRUGORZĘDNY

Powieści australijskiej autorki bestsellerów do historii literatury nie wejdą, ale mają wielkie grono oddanych czytelniczek. Pisarska robota jest mniej więcej na poziomie młodzieżowych książek Johna Greene'a (tego od zekranizowanych „Papierowych miast" i „Gwiazd naszych wina"). Z tego zgrabnego (lecz nie więcej) materiału udało się Jeanowi-Marcowi Vallée zrobić bardzo zajmujący serial, który ładnie oddaje specyfikę literackiego oryginału, w którym sporo istotnych informacji uzyskiwaliśmy z ust postaci pobocznych, mieszkańców okolicy, w której rozgrywa się akcja. To chwyt, który świetnie sprawdza się na ekranie i pozwala dobrze zbilansować opowieść – gdy tylko wydaje się nazbyt poważna, do akcji wkracza ta odmiana chóru z greckiej tragedii. W partii rozpisanej na głosy poczciwi obywatele dzielą się swoimi uprzedzeniami, podejrzeniami i zabawnymi obserwacjami na temat głównych osób dramatu (wypowiadają się w ramach śledztwa). To pozwala sprytnie schować przez pewien czas główną intrygę (ileż mylnych tropów), a jednocześnie jest świetną metodą nakreślenia społecznego tła opowiadanej historii.

„Wielkie kłamstewka" to jednak nie kryminał, lecz współczesna opowieść obyczajowa. Głównie o kobiecych kłopotach. Nie jest prostacka i jednostronna – oprócz mężczyzn wyrządzających paniom krzywdę mamy i kilku facetów porządnych, sympatycznych, lojalnych. Jednocześnie wyczuwamy jednak, że bohaterki serialu są w walce ze swoimi demonami bardzo samotne, a jedyne wsparcie, na jakie naprawdę mogą liczyć, to dobrosąsiedzka „girl power" przyjaciółek. Na pewno jest to także przypowieść o samooszukiwaniu (na różne sposoby) i jego konsekwencjach – stąd tytuł. I przypowieść o dzieciakach kopiujących wzory zachowania rodziców. Nie ma w tym niczego odkrywczego, ale sposób, w jaki historię opowiedziano, jest po prostu pierwszorzędny. Pierwszorzędny produkt drugorzędny, posiłkując się terminem używanym kiedyś przez Gombrowicza.

★★★★☆☆

REŻ. JEAN-MARC VALLÉE
„WIELKIE KŁAMSTEWKA" („BIG LITTLE LIES")
USA 2017, PREMIERA HBO: 20 LUTEGO

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Emma Cline
FOT. JUSSI NUKARI/EAST NEWS

Przekleństwa winności

Wojciech Engelking

Są takie tematy, które każda generacja pisarzy musi wymyślić na nowo. Dorastanie jest jednym z nich. To jest książka, która ma szansę stać się powieścią kultową

Jest lato roku 1969 i w USA w najlepsze trwa hippisowski karnawał. W małym miasteczku w Kalifornii Evie Boyd, zakompleksiona 14-latka z klasy średniej, spędza ostatnie wakacje przed pójściem do szkoły z internatem. Evie poznaje kilka dziewczyn, które okazują się mieszkankami domu na uboczu i członkiniami komuny zawiadywanej przez niejakiego Russella – charyzmatycznego 30-latka o gębie wypchanej hasłami o mistycznych aspektach rzeczywistości. Z czasem Evie zaprzyjaźni się z nimi i wejdzie w sektę głębiej, by opuścić ją w ostatnim możliwym momencie: wysiądzie z forda, którym dziewczyny będą jechały, by zabić producenta, który udaremnił Russellowi muzyczną karierę.

Jeśli komuś ta historia coś przypomina, to ma rację – w „Dziewczynach" Emma Cline nawiązuje do głośnego zabójstwa żony i przyjaciół Romana Polańskiego przez popleczników Mansona.

20-letnia Cline, która za swoją debiutancką powieść zgarnęła 2,5 mln dol. zaliczki, przetwarzając historię sprzed pół wieku, napisała przypowieść o millenialsach i ich rodzicach.

Przy lekturze „Dziewczyn" trudno nie mieć skojarzenia z inną amerykańską Bildungsroman – „Przekleństwami niewinności" Jeffreya Eugenidesa, sfilmowanymi później przez Sophię Coppolę. Tam mieliśmy opowieść o siostrach tak bardzo trzymanych pod rodzicielskim kloszem, że wszystkie postanowiły popełnić samobójstwo. Do historii przeszedł przeprowadzony w szpitalu dialog psychiatry z jedną z bohaterek: „Co tu robisz? Nie masz nawet pojęcia, jak złe może być życie". „Najwyraźniej, panie doktorze, nigdy nie był pan nastolatką".

To, że żyjąca w latach 70. – w wyciszonej epoce Nixona i Forda – dziewczyna mogła swoją tożsamość ująć w słowie „nastolatka", jest spadkiem po poprzedniej dekadzie. Najmocniejszym efektem rewolucji lat 60. było właśnie to, że narodził się wówczas ktoś, kto do dziś dominuje nad światowym przemysłem – od popkultury do handlu artykułami spożywczymi. Tym kimś był nastolatek, wcześniej ułomna forma życia, już nie dziecko, ale jeszcze nie pełnoprawny konsument ani obywatel. W latach 60. adolescencja stała się tym okresem życia, w którym człowiek jest sobą najpełniej i najciekawiej. Za Houellebekiem można powiedzieć, że nikt, kto dorastał w latach 60., nie brał pod uwagę, że się zestarzeje.

W końcu się jednak zestarzał – tak jak Evie Boyd, którą w powieści Cline poznajemy w czasach nam współczesnych. Jest już po pięćdziesiątce, ma za sobą parę nieudanych związków i pełną klęsk karierę zawodową. Zmienia domy przyjaciół z dawnych lat, u których może za darmo „przewaletować". Tym, co prowokuje ją do wspominania krótkiego okresu, który spędziła u boku późniejszych morderców, jest niezapowiedziana wizyta w jednym z takich domów syna właściciela – wyrzuconego z college'u rozpieszczonego 20-latka – wraz z dziewczyną. Evie zdumiewa, że zaufania młodych gości do jej osoby nie budzi wcale znajomość z ojcem chłopaka. Zaufanie – i fascynację – budzi to, że pod koniec lat 60. znała wszystkich tych, którzy później trafili na pierwsze strony gazet.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Cline nie jest pierwszą, która stara się narysować paralelę między millenialsami a pokoleniem dorastającym w latach 60. Wystarczy otworzyć dowolny traktujący o nastolatkach artykuł, by przeczytać porównanie dzisiejszej młodzieży do generacji ich rodziców i dziadków. Tym, co odróżnia pisarkę od wielu pomniejszych publicystów, jest to, że ona znalazła przestrzeń, w której 16-latek A.D. 2016 może się spotkać z 16-latkiem A.D. 1969.

Co jest tą przestrzenią? Pod koniec XX w. Houellebecq w „Cząstkach elementarnych" pisał, że z propagowanej przez hippisów, nieskrępowanej wolności narodziło się bezduszne okrucieństwo. Cline idzie w „Dziewczynach" głębiej, opisując to, co znajduje się między ową wolnością a okrucieństwem. Tym czymś jest nuda.

W powieści Cline na dobrą sprawę nudzą się wszyscy. Nie tylko Evie Boyd, której kalifornijskie miasteczko nie daje żadnych atrakcji poza festynami albo prowokowaniem do seksu starszego o parę lat brata przyjaciółki – seksu, skądinąd, niedokonanego, bo dziewictwo Evie straci dopiero z Russellem. Nudzą się zarówno ten ostatni, jak i członkinie jego sekty, którym dni w domu na uboczu upływają na leniwym siedzeniu nad basenem. Nudzą się wreszcie rodzice nastolatek, którzy czują, że chcieliby być młodzi teraz.

Nawet zabójstwo, którego dokonują członkowie sekty, przepełnione jest nudą. Zemsta na producencie muzycznym to wyłącznie zasłona dymna – kluczowe jest pragnienie, żeby przeżyć coś, co sprawi, że człowiek czuje, iż żyje. A skoro wszystko jest dozwolone – mieszkanie w komunie, okradanie miejscowego supermarketu, wolna miłość – to żeby przekroczyć granicę, trzeba sięgnąć po środki radykalne: mord. Tyle że mord nawet najwymyślniejszy i najbardziej okrutny nudy zaspokoić nie musi.

Ubierając opowieść w historyczny kostium, Cline zdaje się wrzeszczeć do swoich rówieśników: „Macie wszystko i jesteście w tym okresie życia, który jest obiektem pożądania każdego!". Co z tym zrobicie?

„Przekleństwa niewinności" Eugenidesa były opisem niespożytej pasji, z jaką młody człowiek może dążyć do wolności. Wydane w 1993 r., wpisywały się w dominujący wówczas w myśleniu o nastolatkach nurt: podobny – choć obrzydliwy – był film Larry'ego Clarka pt. „Dzieciaki" ze scenariuszem Harmony'ego Korine'a. Dwie dekady później, gdy Cline pracowała nad swoją powieścią, tenże Korine nakręcił „Spring Breakers", gdzie cztery studentki liberal arts z prywatnego college'u jadą na letnie wakacje, podczas których dokonują podobnego co u Cline zabójstwa. Z nudy, ubrane tylko w majtki i staniki push-up.

Zmiana, która dokonała się w myśleniu młodzieży o sobie samej, a której objawem jest znakomita powieść Cline, jest ciekawa i groźna. O ile w latach 90. nastoletnią tragedią, momentem przejścia w dorosłość, było coś tak banalnego jak seks lub coś tak tragicznego jak decyzja o zabiciu siebie samego, o tyle w drugiej dekadzie XXI w. granicą nieprzejścia w dorosłość, zachowania niefrasobliwego jest zabicie kogoś innego. Jak się to skończy?

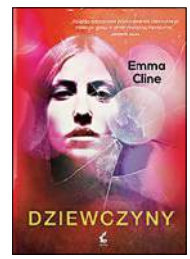

EMMA CLINE
„DZIEWCZYNY"
SONIA DRAGA
2016

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WEŹ UDZIAŁ!
V EDYCJA
26 LUTEGO
2017
NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI W POLSCE.
zapisy na:
www.tropemwilczym.pl

ORGANIZATOR GŁÓWNY
WSPÓŁORGANIZATORZY
PATRONAT HONOROWY
MECENAT
PARTNERZY
PARTNER BIEGOWY
PATRONAT MEDIALNY

eprasa.pl 2ca7fd0c41

FOT. MATERIAŁY PROMOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Musimy sobie pomagać

Elity karmią się przekonaniem, że są solą tej ziemi. A to nieprawda. Państwa, narody i systemy zawdzięczają swe trwanie bezwstydnym oportunistom oraz przeciętniakom, którzy nie lubią się wychylać.

Za Jaruzela jeździło się do Czechosłowacji w celach handlowo-konsumpcyjnych oraz by poprawić sobie samopoczucie – kosztem sąsiadów. Nasza władza, cokolwiek by o niej powiedzieć, mieniła się patriotyczną. Fundowała rogatywki kompanii reprezentacyjnej, sprowadzała zwłoki gen. Sikorskiego na Wawel, budowała pomnik warszawskim powstańcom, zaś na transparentach umieszczała norwidowski postulat „Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek". A w Pradze i Bratysławie jeszcze w 1989 r. straszyły wszechobecne czerwone gwiazdy i slogany typu „Se Sovětským Svazem na věčné časy a nikdy jinak!".

Patrzyliśmy na to ze zgrozą, ale i ze współczuciem. Oraz z poczuciem wyższości nad ludźmi, którzy dali sobie przetrącić kręgosłupy. Gołym okiem było widać, że nawet w Polsce stanu wojennego jest więcej wolności niż w CSRS czasów „normalizacji". Nasi partyjniacy lubili dawać do zrozumienia, że tylko geopolityka trzyma ich w radzieckim bloku. Czescy i słowaccy komuniści darzyli rosyjskiego niedźwiedzia uczuciem szczerym oraz głębokim. I naśladowali go, jak umieli.

Bohaterka filmu, towarzyszka Mária Drazdechová, nie ma talentu pedagogicznego, lecz sama jest prymuską systemu opartego na kłamstwie i zastraszaniu. Opowiada wyssane z palca kombatanckie historie, z rozmysłem upokarza co bardziej niepokorne dzieciaki, terroryzuje ich rodziców. Każdemu przecież zależy, by latorośl zamiast kłopotów, miała w szkole fory. „Samotnej kobiecie jest ciężko", lecz jeden z tatusiów ma taksówkę i zawiezie gdzie trzeba, drugi za darmo naprawi pralkę, trzeci to lekarz, więc załatwi medykamenty. Ich żony są fryzjerkami, pracują w restauracjach lub warzywniakach, a potomstwo chętnie posprząta mieszkanie nauczycielki i wytrzepie dywany. Bo przecież „musimy sobie pomagać", jak głosił tytuł najbardziej znanego filmu Hřebejka.

Poczynania Razdechovej wzbudzą niesmak dyrekcji, która zapragnie się jej pozbyć. Większość rodziców boi się jednak mściwej zołzy, której siostra wyszła za Rosjanina i mieszka w Moskwie. Kontestacja nie popłaca, co widać na przykładzie naukowca utrzymującego się z mycia okien (w PRL władza nigdy aż tak okrutna nie była). Szkoła jako alegoria komunizmu?

Pomysł może i banalny, lecz wykonany z gracją. Hřebejk, wytrawny portrecista konformistów i kieszonkowych kanalii, daje wyraźnie do zrozumienia, że towarzyszka Drazdechová jest bytem ponadczasowym. Rozejrzyjcie się wokół, a na pewno ją dostrzeżecie. ©℗

★★★★★★

REŻ. JAN HŘEBEJK
„NAUCZYCIELKA" („UČITELKA")
SŁOWACJA/ CZECHY 2016

wyst. Zuzana Mauréry, Peter Bebjak, Martin Havelka, Csongor Kassai

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MOONLIGHT"

Osiem nominacji do Oscara, w tym niemal we wszystkich najważniejszych kategoriach (oprócz odtwórców ról głównych). Wcześniej Złoty Glob dla najlepszego filmu roku. „Moonlight" to biograficzna opowieść o dzieciństwie, młodości i dorosłości czarnoskórego chłopaka ze slumsów Miami, próbujcego wyjść na ludzi. Objawienie amerykańskiego kina czy dowód na to, że członkowie Akademii zgodnie z obietnicą zabierają się za większe „etniczne zróżnicowanie" nominacji? ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Moonlight", reż. Barry Jenkins, wyst. Mahershala Ali, Shariff Earp, Duan Sanderson, USA 2016***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Nocne życie" („Live by Night"), reż. Ben Affleck, USA 2016***
- ***„Lekarstwo na życie" („A Cure for Wellness"), reż. Gore Verbinski, USA 2017***
- ***„Był sobie pies" („A Dog's Purpose"), reż. Lasse Hallström, USA 2017***

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Wrota do raju

„McImperium" to film o chciwości, która zbudowała Amerykę. Nie pierwszy, lecz jeden z najlepszych.

Oryginalny tytuł: „Założyciel", mocno ironiczny, lepiej oddaje istotę sprawy. Ray Kroc wyślizgał bowiem z interesu prawdziwych twórców fastfoodowej rewolucji. Braciom McDonaldom zabrakło determinacji i wytrwałości, których to cech ich wspólnik z Illinois miał aż w nadmiarze. Tam, gdzie inni bali się włożyć rękę, on wkładał głowę. Zwiększając podaż, zbudował popyt. Stosując „skrajnie ekonomiczne rozwiązania", ograniczył koszty. Odkrył też, że wyraziste logo może być ważniejsze od samego produktu. Złote wrota stały się takim samym symbolem Ameryki jak gwiaździsty sztandar i zielony dolar.

Samozwańczy guru gastronomii z jednej strony budzi szacunek (jak każdy człowiek sukcesu), z drugiej obrzydzenie. Jest bezwzględny, pazerny i żeruje na cudzych pomysłach, tak jak Steve Jobs, Mark Zuckerberg czy Thomas Edison. 65-letni Keaton za tę kreację zasłużył na Oscara, którego znowu nie dostanie. Bo w życiu jest tak, jak w filmie – można mieć dobry pomysł i pieniądze, lecz bez sprytnego księgowego i nachalnej reklamy świata nie zawojujesz. ©℗

Wiesław Chełminiak

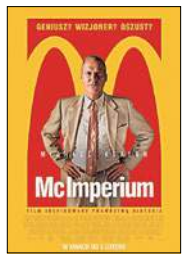

★★★★★★

REŻ. JOHN LEE HANCOCK
„MC IMPERIUM" („THE FOUNDER")
USA 2016

wyst. Michael Keaton, Nick Offerman, John Carroll Lynch, Laura Dern

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WSZYSTKO W RODZINIE

★★★★★★

SEZON 4 „SHERLOCK"
WIELKA BRYTANIA 2017, BEST FILM

wyst. Benedict Cumberbatch, Martin Freeman

Po przekombinowanym i kontrowersyjnym odcinku specjalnym, czyli filmie „Upiorna panna młoda", odświeżona opowieść o Sherlocku Holmesie wraca na tory znane z poprzednich sezonów. Czwartą odsłonę serii tworzą trzy półtoragodzinne filmy. Tym razem zaczynamy od kwestii prywatnych – tego, jak życie detektywa zmieni się, gdy jego serdeczny druh John Watson zostanie tatusiem, a sam Sherlock – ojcem chrzestnym. Wśród twórczo przetworzonych wątków z oryginalnych opowiadań Conan Doyle'a znajdują się m.in. te z opowiadań „Sześć popiersi Napoleona" oraz „Umierający detektyw". Jednak przede wszystkim dowiadujemy się nowych rzeczy na temat przeszłości żony Watsona – byłej specagentki Mary – oraz poznajemy kolejną tajemnicę łączącą Mycrofta i Sherlocka. Twórcy serialu zapowiadają jeszcze jedną, piątą serię (prawdopodobnie ostatnią), nie ujawnili jednak jeszcze, kiedy miałaby zostać wyprodukowana. ©℗

SZCZENIACZKI WOJNY

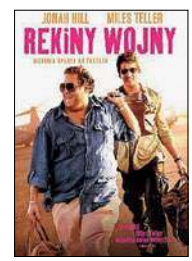

★★★★★★

REŻ. TODD PHILLIPS
„REKINY WOJNY" („WAR DOGS")
GALAPAGOS

wyst. Miles Teller, Jonah Hill, Steve Lantz

Para młodych cwaniaków z żyłką do interesów wygrywa przetarg na dostawę uzbrojenia dla armii afgańskiej – w grę wchodzą setki milionów dolarów. Oparty na reportażu Guya Lawsona film opowiada o tym, jak chłopcy z Florydy rozwijali swój biznes i jak zawarli sojusz z międzynarodowym handlarzem bronią z listy terrorystów, opuszcza jednak istotną kwestię. W książce ważne były opisy całego mechanizmu kontraktowania broni przez Pentagon. W filmie zostały z tego głównie ekscytujące przygody młodziaków (z prostytutkami, narkotykami i bronią). Kolorowe obrazki wygrały z refleksją, są jednak rzeczy, za które film wypada pochwalić – przede wszystkim świetny Jonah Hill w roli głównej. Całość jest przez Todda Phillipsa, reżysera komedii „Kac Vegas" i „Zanim odejdą wody", opowiedziana bardzo sprawnie i lekko – często za lekko. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „RESIDENT EVIL VII: BIOHAZARD" ★★★★★★

Posępna farma na odludnych moczarach Luizjany, hordy zombie, ciasne przestrzenie, nieustanny półmrok oraz bohater, który samotnie musi odnaleźć zaginioną żonę. Tak w dużym skrócie prezentuje się nowa odsłona kultowej serii „Resident Evil". Chociaż do tej pory kojarzyła się ona graczom z widokiem trzecioosobowym, intensywną akcją i rozległymi miastami czekającymi na eksplorację, Capcom postanowił zmienić klimat. Siódemka to ukłon w stronę klasycznego horroru i perspektywa FPP, która w zestawie z goglami VR wgniata w fotel. Dobry krok, który docenią ludzie o mocnych nerwach. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPS/horror*
- ***Platforma:*** *PS4/XONE/PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Capcom/Cenega*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 2ca7fd0c41

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wiersze nieprzypadkowe

Wielu z nas skłonnych jest wierzyć, że poeci powinni tworzyć i umierać młodo. Na dowód prawdziwości tego mniemania zwykle przywołuje się Rimbauda, a jeśli komuś potrzebne są przykłady krajowe, to pomocny okazuje się Bursa pospołu z Wojaczkiem. Szczęśliwie średnia długość życia wzrasta we wszystkich grupach zawodowych, u literatów również, a poetycka forma w późnym wieku takich twórców jak – daleko nie szukając – Czesław Miłosz budzi uznanie.

Trudno przejść też obojętnie obok wydanego właśnie nakładem Arcanów tomu, a właściwie tomiku (bo zawierają zaledwie 19 wierszy) Leszka Elektorowicza „Rąbek Królestwa". Autor zapowiada, że jest to ostatni tom jego poezji. Pierwszy – zatytułowany „Świat niestworzony" – wydał 60 lat temu, a poetycko zadebiutował lat temu 70 – wydrukowanym w „Dzienniku Literackim" wierszem „Drzewo". W chwili debiutu miał 23 lata.

Leszek Elektorowicz to jeden z nestorów literatury polskiej. Poeta, prozaik, krytyk literacki oraz – a może przede wszystkim – tłumacz. Jest autorem przekładów z poezji angielskiej i amerykańskiej; tłumaczył Shelleya i Audena, Lawrence'a i Crane'a, Williamsa i Ginsberga. Sławny „Skowyt" tego ostatniego znamy w przekładzie właśnie Leszka Elektorowicza. Wydał kilka ciekawych tomów ze szkicami o literaturze amerykańskiej i angielskiej, m.in. „Zwierciadło w okruchach", tłumaczył również eseistykę m.in. Conrada i Hemingwaya.

Nazwisko Leszka Elektorowicza pojawiało się ostatnimi czasy nie tylko w kontekstach literackich, lecz także w na pół literackich. Wypowiadał się mianowicie w kwestii ewentualnej działalności konspiracyjnej Zbigniewa Herberta. Mógł to robić jako lwowianin i AK-owiec.

FOT. DANUTA LOMACZEWSKA/EAST NEWS

Ciężar gatunkowy wierszy z „Rąbka Królestwa" jest ogromny. Tutaj nie ma wiersza przypadkowego, a błahe wykluczymy od razu. Elektorowicz dokonuje podsumowania swojego życia, zarazem jakby czyniąc pierwszy krok ku życiu pozaziemskiemu. Te utwory przesiąknięte są eschatologią. W pięknym wierszu „Dar" poeta głosi chwałę Pana, dziękując mu za wszystko, nawet – powiada – „za łzę na policzku", a przecież – wypomina sobie – „upraszałem cię gorzko, błagałem z sił całych, oskarżałem w rozpaczy, póki nie zaznałem Twojego miłosierdzia". Bohaterem jego poezji jest człowiek buntujący się niegdyś, przeciwstawiający się Bogu, obecnie zaś dostrzegający „promyk światła Jezusowego". Truizmem byłoby powiedzenie w tym miejscu, że poeta pisze o sobie.

Autobiografizm niekiedy bywa tu jednak podkreślany, i to celowo. Tak jak w wierszu „Tato", o wojennym męczeństwie ojca poety, zabranego z domu w mroźną noc przez gestapo i wywiezionego do obozu, skąd nadszedł jedyny list:

Kommando Dyhenfurt Lager Elfenheim
Ich bin gesund und es geht mir sehr gut.

I czytamy dalej:
Na długim zimowym szlaku świeży śnieg
na nim leży skulona postać w porwanym pasiaku

Niemiec z trupią czaszką
i ręką z dymiącą lufą wymierzoną
w głowę z kosmykiem bladożółtych włosów.

W tragiczną, złą przeszłość obrócona jest także „Łączka", gdzie spoczywają bohaterowie walk o Polskę, żołnierze wyklęci, ale i – „warstwa po warstwie" – ich oprawcy. To oczywiste, że „dla ich śmierci tak różnych / nie ma pojednania", niepokojące jest jednak, że „ci, którzy opłakują straconych", „idą milczący wzdłuż kamiennych ulic w smog obojętności". Ta obojętność przeraża.

Autor „Rąbka Królestwa" – pisze w posłowiu do tego tomu Maciej Urbanowski – „staje po stronie ofiar historii, buntuje się przeciw fałszywemu pojednaniu z katami", a Dżokerzy, których obmierzłe pyski widzi pewnie codziennie, tak jak my wszyscy, na szklanym ekranie, napawają go niesmakiem.

Trudno nie zgodzić się z Urbanowskim: te 19 wierszy to esencja tego, co w liryce Elektorowicza najważniejsze i najpiękniejsze, jak również – co może ważniejsze – dowód na to, że „wielka poezja w Polsce wciąż istnieje". ©℗

★★★★☆☆
LESZEK ELEKTOROWICZ „RĄBEK KRÓLESTWA" ARCANA, KRAKÓW 2016

eprasa.pl 2ca7fd0c41

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Uwaga, poglądy!

Podobno polityka szkodzi, a najbardziej szkodzą poglądy. Tak można sądzić po tych – i tu wpisz dowolny zawód: naukowca, pisarza, aktora – którzy występując publicznie, za wszelką cenę unikają wyrażenia jakichkolwiek opinii, które ktoś mógłby uznać za polityczne. Oczywiście zasada nie obowiązuje w świecie samozwańczych autorytetów moralnych, którym wydaje się, że pobieżna lektura kilku numerów „Niezbędnika inteligenta" oraz słuchanie raz w tygodniu TOK FM uprawnia do głoszenia prawd objawionych na każdy temat – to przykład celebrytów od Macieja Stuhra do Kory Jackowskiej. Powiedzmy jednak od razu – papugowanie paru sloganów po Żakowskim czy Lisie nie oznacza jeszcze, że ma się poglądy.

Bartosz Jastrzębski poglądy ma i się ich nie wstydzi. „Moje serce bije po prawej stronie" – oświadcza we wstępie do książki „Ostatnie królestwo". Zaraz dodaje: „Wolę Mackiewicza od Gombrowicza". I co tu z takim zrobić? Reedukacja pilnie potrzebna, zwłaszcza że kawałek dalej czytamy: „Preferuję swojskie sarmackie kontusze przeciw nowomodnym metroseksualnym fraczkom". Czy to aby nie przejaw homofobii?

Potem jest jeszcze gorzej – co szkic, to herezja. „Idea narodowa to jedna z nielicznych w dzisiejszym świecie, za którą ludzie wciąż są w stanie oddawać życie" – przypomina w szkicu „Narody nie są iluzją". Omawiając fragmenty pism Mariana Zdziechowskiego, podpisuje się pod poglądem, że „demokratyczna wolność szybko karleje do wolności zaledwie konsumenckiej". Idei Międzymorza nie uznaje za science fiction, lecz za uzasadnioną konieczność (i logicznie argumentuje na jej rzecz, w sposób zresztą podobny do tego, w jaki wielkości dla naszego kraju domagał się w powieści „Polska 2.0" Jacek Inglot). A w zamykającym zbiór tekście uznaje Kościół nie tylko za ważny, lecz także nawet za najważniejszy.

Związany z „Teologią Polityczną" autor w swoim wywodzie na temat nieodzowności konserwatyzmu (nawiązanie do tytułu pism Tomasza Merty nieprzypadkowe) porusza tematy znane z publicystyki politycznej obozu konserwatywnego, tyle że zamiast zanurzać się w gazetach, sięga do klasyków, których lubi czytać i interpretować. Tak jak Wojciech Wencel woli „zamieszkać w katedrze". A teraz najgorsze: nie tylko ma poglądy, lecz także potrafi je uzasadnić. To znaczy, że do TOK FM go nie zaproszą.

Możemy za to zaprosić Jastrzębskiego do domowej biblioteczki. ©℗

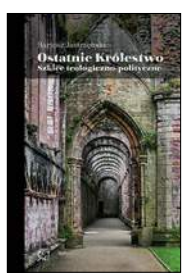

★★★★☆☆
BARTOSZ JASTRZĘBSKI „OSTATNIE KRÓLESTWO. SZKICE TEOLOGICZNO-POLITYCZNE"
SIC! 2016

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Zabawne, niegłupie, niekiedy złośliwe, zawsze piekielnie inteligentne – wybór felietonów autora „Imienia róży". Część znana już ze zbioru „Zapiski na pudełku od zapałek", reszta to premiery z lat 2004–2014.

UMBERTO ECO „JAK PODRÓŻOWAĆ Z ŁOSOSIEM" NOIR SUR BLANC

Opowieść polskiego franciszkanina od lat mieszkającego w Ugandzie. Urodzony z Nowym Sączu, dziś w Boże Narodzenie przystraja drzewko banana, a praca misyjna pochłonęła go tak bardzo, że nie wie, czy odnalazłby się znów w Polsce.

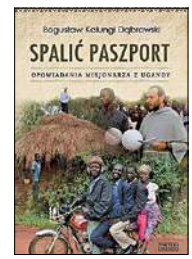

BOGUSŁAW „KALUNGI" DĄBROWSKI „SPALIĆ PASZPORT" ZYSK I S-KA

Zbiór prezentujący dorobek francuskiego XIX-wiecznego symbolisty, którego opowiadania były inspiracją m.in. dla Borgesa czy Bolano. Zaskakująco świeża proza, bardzo oryginalna, często ironiczna, zawsze inteligentna.

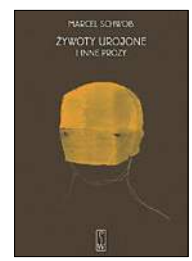

MARCEL SCHWOB „ŻYWOTY UROJONE I INNE PROZY" PIW

Ryzyko. Wznowienie pierwszego tomu kapitalnej serii powieści przygodowych o Dzikim Zachodzie, wielkiego przeboju z czasów PRL. Proza Wernica przetrwała próbę czasu. Czy ktoś dziś to jednak doceni? ©℗

poleca Piotr Gociek

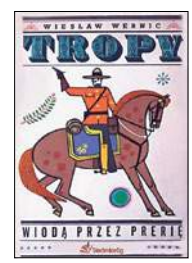

WIESŁAW WERNIC „TROPY WIODĄ PRZEZ PRERIĘ" SIEDMIORÓG

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Michalina Wisłocka „Sztuka kochania" (Agora) – najsłynniejszy polski poradnik seksualny wraca na półki za sprawą filmu o autorce.***
2. ***Harlan Coben „Już mnie nie oszukasz" (Albatros) – nowa powieść znanego autora thrillerów – weteranka z Iraku i tajemnica zabójstwa jej męża.***
3. ***Marie Tourell Soderberg „Hygge. Duńska sztuka szczęścia" (Insignis) – poradnik: jak sprawić, by radość z małych rzeczy zmieniła się w radość dużą.***
4. ***Remigiusz Mróz „Wotum nieufności" (Filia) – polityczny thriller, czyli kryminał w realiach polskiego Sejmu. Początek nowego cyklu „W kręgach władzy".***
5. ***Hanya Yanagihara „Małe życie" (W.A.B.) – czworo przyjaciół w Nowym Jorku, nominacja do Nagrody Bookera i National Book Award.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej Świat Książki)

eprasa.pl 2ca7fd0c41

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Pan(i) od muzyki

Reforma edukacji zwiększa wymagania wobec nauczycieli muzyki FOT. FOTOLIA

Absolwenci polskich szkół muzycznych nieźle sobie radzą na zachodnich uczelniach. Nasz system, oparty na tradycyjnym nauczaniu klasyki, w konfrontacji z zagranicznymi programami, pozwala młodym instrumentalistom odnosić sukcesy. Piszę to w związku z toczącą się dyskusją o reformie edukacji, również artystycznej, by w zapale zmian, nie wylano dziecka z kąpielą. To, co dziś jest potrzebne, to ułatwienie dostępności do państwowych szkół muzycznych z nauczaniem ogólnym oraz tych I i II stopnia (popołudniowych). Na przykład na warszawskim Ursynowie – w dzielnicy wielkości dwóch średnich miast – nie ma ani jednej państwowej szkoły muzycznej. Nie umniejszam zasług szkółek prywatnych, ale życie pokazuje, że nie dorównują one poziomem państwowym szkołom. Miejsc w dobrych muzycznych szkołach niestety brakuje.

Czy potrzeba w Polsce tak wielu muzyków? Nie wiadomo. Wiem natomiast, że trud włożony w kształcenie muzyczne, to cenna społecznie inwestycja. Badania na amerykańskich uczelniach wykazały, że studenci prawa, filologii, nauk ścisłych, którzy kiedyś uczyli się muzyki, osiągają lepsze wyniki. Ponadto nawet jeśli „rynek" nie będzie w stanie wchłonąć takiej liczby muzyków, to przybędzie wyedukowanych słuchaczy, ludzi, którzy rozumieją sztukę i potrzebują kultury.

W tym kierunku bowiem idą też zmiany w reformie minister Zalewskiej. Reforma zakłada przywrócenie znaczenia muzyce oraz jej społecznej i wspólnotowej funkcji. Zwiększa liczbę godzin, uznając ją za pełnoprawny, ważny przedmiot. Zwiększają się też wymagania wobec nauczyciela. Reforma przyznaje mu misję przewodnika po świecie piękna i zakłada kreatywność jako muzyka. Odbudowuje to jego prestiż, wcześniej bowiem pan(i) od muzyki w szkolnej hierarchii często plasowali się gdzieś między świetlicową a woźnym.

Polecam zerknąć do podstawy programowej przede wszystkim tym kilku frustratom, którzy w filharmonii buczeli na widok przedstawicieli obecnej władzy. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Cohen po polsku i na poważnie

Nie ma starych hitów, nie ma „wrocławskiej" maniery, nie ma jazzowania, nie ma ogniskowych tłumaczeń… Jest Cohen zrobiony na poważnie.

Wybór piosenek do lubelskiego spektaklu „Boogie Street" zapewne zaskakuje. Daniel Wyszogrodzki, tłumacz tekstów, zdał się jednak na mistrza. Przekładając „Księgę tęsknoty", odnotował, że wśród wierszy i poematów jest 12 piosenek z nowszych płyt Kanadyjczyka. I właśnie te znalazły się w spektaklu i na płycie. Siedem z nich pochodzi z albumu „Ten New Songs" wydanego w 2001 r., który w Polsce rozszedł się w ponad 100-tysięcznym nakładzie.

Renata Przemyk „nie leci" Leonardem, bo podrabianie mistrza z góry skazane jest na porażkę. Śpiewa pełnym głosem, przez co nadaje piosenkom inny wymiar. Dodatkowo aranżacje Krzysztofa Herdzina jeszcze bardziej rozświetlają mroczne oryginały, co wyszło na dobre polskim wersjom. Trzy utwory Przemyk wykonuje w duecie z Wojciechem Leonowiczem. On sam deklamuje tekst utworu „Za sprawą kilku piosenek".

Ponad wszystkim jest tekst. A dzięki tej płycie poznajemy rzeczywistego Cohena, bo nam się dotąd tylko wydawało, że znamy Cohena poetę. ©℗

★★★★★☆

„RENATA PRZEMYK ŚPIEWA PIOSENKI LEONARDA COHENA"
STARY TEATR/ AGORA

★★★☆☆☆

GOLDEN LIFE „7"
MTJ

Siódmy, a zarazem pierwszy od dziewięciu lat album gdańskiej grupy nie zaskakuje. Gitarowe riffy mieszają się z popowymi melodiami, zaangażowane teksty z miłosnymi cierpieniami. Rock po polsku zwieńczony patetyczną balladą.

★★★☆☆☆

MIKE OLDFIELD „RETURN TO OMMADAWN"
VIRGIN EMI

42 lata po wydaniu „Ommadawn" ukazał się sequel trzeciego albumu Brytyjczyka. Jak za dawnych progresywnych lat są tylko dwie inspirowane folklorem kompozycje, a muzyk sam zagrał na 25 instrumentach. Dla wytrwałych.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + KSIĄŻKA PAWŁA LISICKIEGO „KREW NA NASZYCH RĘKACH?”

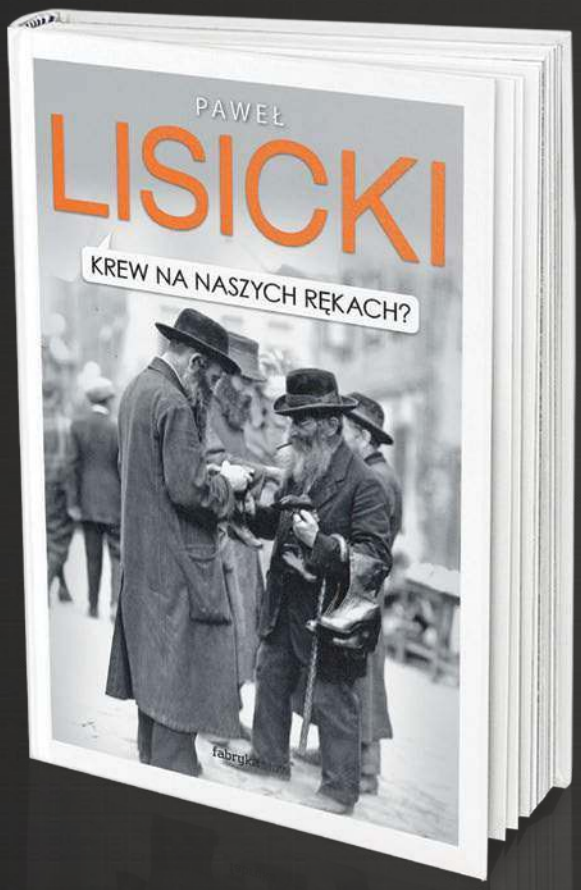

CZASY, KIEDY POLACY MOGLI ŻYĆ W NAIWNYM PRZEKONANIU, ŻE SĄ POSTRZEGANI JAKO WSPÓŁOFIARY WOJNY, DAWNO SIĘ SKOŃCZYŁY. SAKRALIZACJA HOLOCAUSTU SPRAWIŁA, ŻE DOKONAŁ SIĘ NOWY PODZIAŁ RÓL.

Od połowy ubiegłego wieku w powszechnej świadomości świata jedyną ofiarą wojny stali się Żydzi. Przeciętny Amerykanin, czy Francuz, czy Niemiec mniema, że II wojna to był Holocaust i tyle. Byli jeszcze jacyś ludzie, którzy Żydów ratowali, reszta jednak, cała wielka wielomilionowa rzesza przyglądała się biernie, albo wręcz w mordzie uczestniczyła. Otoczeni przez mrowie chrześcijańskiej tłuszczy, która czyhała na ich życie i majątek, Żydzi ginęli samotnie.

140 zł

oszczędność 86 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2ca7fd0c41

na Walentynki

Jednorożec

czyli zwierzątko dziewic

litografia Józefa Mehoffera, 1903

Rainer Maria Rilke (wiersz „Jednorożec"):

„Toczonych ze słoniowej kości nóg
zestaw przemiennym się przesuwa tokiem.
Sierść połyskuje od srebrzystych smug.
Na czole zaś, spokojnym i wysokim,
stoi – jak wieża na księżycu – róg,
który prostuje się za każdym krokiem".

[tłum. Artur Sandauer]

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Waldemar Łysiak

Walentynkowy tekst kieruję tym razem ku rozkochanym dziewicom. Co może być zaskakujące dla niejednego Czytelnika, żyjemy bowiem w czasach tzw. *„wolnej miłości”*, vulgo: w erze ogromnego rozpasania, symbolem którego może być następujący dialog:

— Jaki seks pan przedkłada? We dwoje czy grupowy?

— Grupowy.

— Dlaczego?

— Można czasami odpocząć.

Wbrew jednak temu powszechnemu zepsuciu liczba dziewic rozglądających się za okazją *„utracenia wianka”* (vulgo: pokosztowania zepsucia) wcale nie jest dziś mniejsza aniżeli w czasach naszych pradziadków, gdyż rozwój biologiczny (hormonalny itp.) sprawia, że coraz młodsze roczniki nieletnich panienek szykują się do gry erotycznej, pojmując, że dziurka jest dla siurka (nie bez znaczenia bywa tu też wpływ *„sieci”* przepełnionej łatwo dostępnym porno). Tak czy owak — walentynkujących (wzdychających, słodko esemesujących, itp.) dziewic są ciągle całe tabuny, dlatego przywołanie jednorożca, zwierza, który kilka tysięcy lat pełnił rolę logo/godła/symbolu dziewictwa wydaje mi się uzasadnione tout court.

ROZGŁOS POWSZECHNY

Podania, klechdy, wszelakie przekazy o jednorożcu znało już mnóstwo ludów starożytnych na prawie wszystkich kontynentach. Starochińscy kronikarze twierdzą, że pierwszego jednorożca zobaczył cesarz Fu–hsi roku 2697 p.n.e. (są to pierwsze pisane teksty o jednorożcu). Jednorożec miał też czuwać przy łożu śmierci Konfucjusza (479 p.n.e.). Chińczycy nazywali to zwierzę *„k'i–lin”* i przypisywali mu cechy dobroczynne, zwłaszcza wobec panien młodych oraz położnic. Kobiety chińskie zawieszały w swych domostwach talizmanowe figurki jednorożców. Wzmiankują jednorożce również najstarsze buddyjskie teksty, a buddyjskie świątynie od wieków pełne są rzeźb, płaskorzeźb i malowideł prezentujących jednorożce. Mitologia mongolska twierdzi, że wielki wódz/monarcha Czyngis–chan (XII/XIII w.) spotkał jednorożca na górze Djadanaring (Mongołowie zwali owego ssaka *„kere”*). Szczególnie często wszakże lokalizowano jednorożca (gdy idzie o Azję) w Indiach, i to już z początkiem *„naszej ery”*, później zaś uściślono tę lokalizację do Tybetu (Tybetańczycy zwali zwierzaka *„serou”* lub *„tso'po”*). XIX wiek (który zmitologizował/zmistycyzował Tybet bez umiaru) roi się od relacji na temat widzianych tam rzekomo jednorożców (ksiądz Huc i in.) — ostatnią spisał mister Latta, major armii brytyjskiej, roku 1890. Tymczasem u Arabów można było zobaczyć jednorożca tylko w Mekce, jak zaświadczył (1503) włoski obieżyświat Wertomanus (Lodovico da Varthema), który tam zawitał. Przenieśmy się teraz do Europy:

Wielu starożytnych ludzi pióra wzbogacających kulturę śródziemnomorską napomykało o jednorożcach: Arystoteles, Pliniusz, Aelianus czyli Elian, Herodot, Wergiliusz, Solinus, Strabon et consortes. Także Juliusz Cezar piszący **„Wojnę galijską”**. Mówi tam, że pewnego razu zobaczył na celtyckiej ziemi *„stworzenie przypominające jelenia, któremu pośrodku czoła, między uszami, sterczał pojedynczy róg, wyższy i prostszy od znanych nam rogów”*. Cezar dodał jeszcze, że relacjonowano mu, iż takie zwierzęta żyją w Lesie Hercyńskim, nad Renem. Z innymi wielkimi wodzami (choćby z Aleksandrem Macedońskim) wiązała jednorożce mitologia/klechdologia rozmaitych ludów. Eposy średniowieczne przywoływały sławnego króla Artura, co władał zamierzchłą Brytanią i klarował rycerzom Okrągłego Stołu, że jednorożec to stworzenie czyniące dobro, zwierzę bez skazy. Takim samym zwierzęciem bojowym *„bez skazy i zmazy”* miał być rycerz wedle *„kodeksu rycerskiego”* ery średniowiecznej, stąd jednorożce wskakiwały jako *„znaki”* na tarcze wojenne i rodowe szlachciców, do czego jeszcze wrócę, teraz zaś warto przypomnieć, że legendę jednorożców jako autentycznych ssaków długo podtrzymywali europejscy wędrowcy penetrujący dalekie kraje, exemplum: Wielki Hugon, mnich z opactwa Św. Wiktora (XII w.), franciszkański XIII–wieczny kronikarz Salimbene de Adam (według niego jednorożca widział brat Iohanninus de Parma pocieszający chrześcijan wziętych do niewoli przez egipskich Saracenów), czy XVII–wieczny podróżnik Thomas Coryate, który twierdził, że oglądał jednorożce na dworze indyjskich Mogołów.

ANATOMIA, FRAZEOLOGIA I JESTESTWO

Stary Testament kilkakrotnie wzmiankuje jednorożca. Później zaś próbowali go opisywać rozliczni autorzy (wśród tych opisów ceniony był szczególnie ten spod ręki włoskiego medyka i filozofa Hieronymusa Cardanusa z 1545 roku), niejeden prezentował graficzny wizerunek zwierza w swym dziele (m.in. Leonardo, Gesner, Mercati, von Guericke i Leibniz). Owe wizerunki (jak i opisy) różniły się mocno.

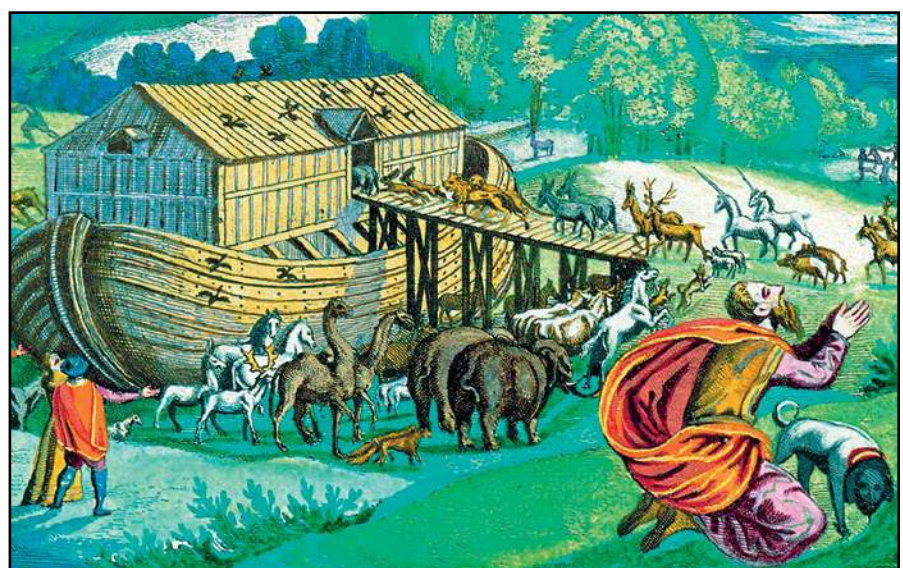

Matthäus Merian Starszy, „Arka Noego” (1627)

eprasa.pl 2ca7fd0c41

U jednych stwór miał postać przypominającą wołu, u innych figurę jelenia lub rumaka. Te ostatnie prezentacje wygrały „konkurs" — w Średniowieczu definitywnie ustaliło się wyobrażenie jednorożca jako czterokopytnego ssaka o tułowiu konia (czasami z łbem jelenim), maści śnieżnobiałej (wcześniej lansowano wymiennie tęczową), i o sterczącym ze środka czoła rogu raczej prostym i długim, powierzchniowo spiralnie skręconym, rzadziej grubszym i krótszym na kształt rogu bawolego lub rogu nosorożca.

Pierwotnym różnym charakterystykom towarzyszyło nazewnictwo bardzo różne. By nie rozwodzić się zbyt długo nad tą terminologią wymienię tylko grecką, łacińską i francuską, czyli najważniejsze trzy. Przez długi czas uważano, że wzmiankowane w biblijnej ***„Księdze Hioba"*** zwierzę *„re'em"* vel *„rynoceros"* to właśnie jednorożec. Powodem była ***„Septuaginta"*** (tłumaczenie Starego Testamentu z hebrajskiego na grekę, III wiek B.C.), gdzie tłumacze użyli terminu *„monoceros"*. Tym terminem (*„monoceros"* vel *„monokeros"*) posługiwało się później wielu autorów (Pliniusz i in.), póki nie został on wyparty przez łacińskiego konkurenta: *„unicornis"* vel *„unicornus"* vel *„unicornum"* (choć nie do końca wyparty, bo równikowy gwiazdozbiór Jednorożec nosi branżową nazwę *„Monoceros"*).
A kiedy w późnym Średniowieczu zaczęła promieniować z Francji na całą Europę tzw. *„kultura rycerska"* — popularność zyskał francuski termin: *„licorne"*. Stąd magiczny róg jednorożca zwano wszędzie *„alicornem"* vel *„alikornem"*, w Ferrarze bito zdobione wizerunkiem jednorożca srebrne dwusoldowe monety zwane *„alicorne'ami"*, niejedna broń zaczepna nosiła nazwę „alikornową".

Wiązanie jednorożca z militariami miało źródło w pierwotnym (starożytnym, jeszcze przedChrystusowym, a także wczesnośredniowiecznym) rozstrzeleniu opinii na temat usposobienia tego ssaka. Liczni autorzy twierdzili, że jest to zwierzę wojownicze, drapieżne, ekstremalnie niebezpieczne, inni głosili przeciwnie — że jest to wzór łagodności. W Średniowieczu ta druga teza prawie całkowicie wyparła pierwszą, wszelako długi ostry róg nie przestał się militarystom kojarzyć z bronią zaczepną i operacjami na wojennych frontach. Ostatnia, jaką znam, to dowodzona przez generała H. Ponceta francuska neokolonialna Operacja „Jednorożec" („Licorne") w roku 2002 na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Zaś najciekawszą „unikornową" bronią był według mnie *„jednoróg"*, działo skonstruowane roku 1757 przez zespół rosyjskich artylerzystów, którymi dowodził generał graf Piotr Szuwałow. Olbrzymią zaletę tej krótkolufowej haubicy (kaliber 7,5–12,5) o stożkowej komorze prochowej stanowiła możliwość strzelania wszelkimi pociskami (kartaczami, granatami, bombami, kulami pełnolanymi), wszechużyteczność (na płaskim lądzie, na terenie górskim, na morzu) oraz duży zasięg (4 tys. metrów). Wprowadził *„jednorogi"* do użycia car Piotr I, cenił tę broń sam Napoleon, służyła różnym armiom jeszcze w drugiej połowie XIX wieku. Nazwę wzięła stąd, że herb familii Szuwałowów zawierał wizerunek jednorożca, stąd głowę tego zwierza projektanci umieścili w dennej części lufy (tzw. *„szyszu"*), a całe zwierzę dubeltowo na wierzchu lufy, dając służącym do przenoszenia armaty uchwytom kształt jednorożców zamiast tradycyjnego kształtu delfinów.

rys. Marek Szyszko

DZIEWICTWO: ŚWIĘTOŚĆ I SEKS

Jako już wyżej rzekłem — jednorożec był symbolem i emblematem dziewictwa, silnym zwłaszcza w Średniowieczu. Wszakże mediewalni mitotwórcy kościelni i świeccy posługiwali się tą symboliką w radykalnie odmienny sposób: pierwsi lansowali dziewictwo niebiańskie (Maryjne), drudzy ziemskie (babskie). Tak się zderzała surowa dogmatyka chrześcijańska z frywolną *„kulturą dworską"*, a między nimi fruwały jeszcze rozmaite gadki tudzież przesądy ludowe.

Chrześcijaństwo wszechstronnie „zagospodarowywało" jednorożca kultowo, a to lansując *„jednorożca samotnika"* (opisanego przez Pliniusza i Eliana) jako symbol życia klasztornego lub świątobliwego eremityzmu, a to wiążąc go z dwiema świętymi Justynami (antiochską i padewską) jako symbol cnoty dziewiczej,

Św. Justyna (drzeworyt wg obrazu Alessandra Moretto)

a to z osobą Jezusa Chrystusa (bo wedle św. Ambrożego *„tymże Jednorożcem jest jedyny Syn Boży"*) jako tego, co *„podniósł róg odkupienia"* (stąd prezentowano Chrystusa lub anioła lub świętego z rogiem jednorożca symbolizującym moc niszczenia grzechu, gdyż róg ten uchodził za antidotum przeciwko truciznom, o czym rozpiszę się niżej). Lecz główną bohaterką katolickiej narracji „jednorożcowej" była Najświętsza Dziewica Maryja, Boża Rodzicielka, którą artyści Średniowiecza często przedstawiali z jednorożcem

eprasa.pl 2ca7fd0c41

rys. Antoni Uniechowski

drzeworyt Władysława Skoczylasa, 1919

w scenach zwiastowania (vide **„Poliptyk Zwiastowania z Jednorożcem"**, eksponat warszawskiego Muzeum Narodowego) lub w scenach Wcielenia Chrystusa. Świetny austriacki poeta Rainer Maria Rilke dał tego echo wierszem **„Zwiastowanie Marii"** (tłum. A. Sandauer):

„Kto by wyraził czystość Jej?
Czyż, leżąc w boru,
łania się tak nie zapatrzyła w Nią,
że bez niczego w niej kiełkować jął
przeczysty zwierz,
świetlisty zwierz — jednoróg?".

Lecz kiedy Rilke to pisał (początek wieku XX) od dawna już sztuki plastyczne nie dokonywały takich prezentacji, Kościół bowiem twardo się im sprzeciwił w połowie stulecia XVI — Sobór Trydencki zabronił stosowania motywu jednorożca przy tworzeniu projekcji Zwiastowań i Wcieleń. Czemu? Gdyż po całej Europie notorycznie wówczas wałkowana była (alegorycznie, metafizycznie, lecz dla każdego czytelnie) lubieżna strona tej symboliki, utożsamiająca *„alikorn"* z fallusem, zaś pociąg płci pięknej ku jednorożcom z grzeszną chucią. Teksty takie jak pisma sławnej XII–wiecznej przeoryszy i sawantki, Hildegardy z Bingen — o tym, że jednorożce lgną do świątobliwych dziewic — stawały się przeżytkami. Lansowano (puszczając *„perskie oko"*) teksty o mniej świątobliwych *„lunarnych boginiach"* starożytnych (sumeryjskich, semickich, greckich), ze szczegól-

eprasa.pl 2ca7fd0c41

nym uwzględnieniem Artemidy (Diany), której zwycięski rydwan ciągnęło osiem jednorożców.

Te seksualne konotacje warto zamknąć anegdotą bardziej współczesną. Otóż Zbigniew Karol Porczyński, patentowany głupek lub szalbierz, który swym *„darem"* („Kolekcja im. Jana Pawła II", zbiór śmieci, kopii i falsyfikatów) omamił nie tak dawno całą prawie Polskę — miał w zbiorach brązowy odlew figurki jednorożca stworzonej przez Dalego. Na końcu rogu (symbolu męskości) wisiała kropla spermy. Porczyński odłamał ją, bo jako

Salvador Dali, „Jednorożec"

katolik nie chciał, by pobudzała młodzież do grzechu. Nie wiem natomiast czy zamazywał w tomikach wierszy Rilkego ów fallicznie metaforyczny wers z utworu **„Jednorożec"** (vide motto eseju) o rogu często się prostującym.

ALIKORN JAKO PANACEUM

Symbolizowany przez jednorożca (oficjalnie, po chrześcijańsku) kult dziewictwa zastąpił (wyrugował) w Średniowieczu antyczny kult Priapa (bożka fallicznego), chociaż — co już mówiłem — róg zwierzęcia był interpretowany (mniej oficjalnie, przez rozzuchwalonych poetów) fallicznie takoż. Główną wszelako korzyść czerpali z *„alikorna"* nie rymotwórcy, tylko alchemicy (dość długo był jednorożec godłem alchemików), zaś jeszcze większą farmaceuci i aptekarze. Nikt głośniej niż oni nie szerzył nimbu mocy jednorożca, gdyż dzięki rogom tych zwierząt czerpali krociowe zyski. Wysoko też opłacano dostarczycieli rogów, czyli myśliwych polujących na jednorożce. Łowy były trudne, bo jednorożce były rzadkie, płochliwe, nieprzywabialne, nieoswajalne, a obłaskawić je mogła wyłącznie dziewica. Bestiariusz z II wieku, **„Physiologus Graecus"**, podaje: *„Czystą dziewicę pięknie odzianą prowadzi się ku miejscu odludnemu wewnątrz boru, gdzie pojawiają się jednorożce. Stwór ten, ledwie wyczuje obecność dziewicy, przybiega i zasypia z łbem złożonym na kolanach dziewczęcia, co czyni go łatwym łupem myśliwego"*. To samo powiadał Leonardo da Vinci: *„Wskutek niepohamowanego upodobania do młodych dziewcząt niecha ów zwierz płochliwości i dzikości, ufnie się ku dziewczęciu zbliża i zasypia na jej łonie. Wtedy myśliwi ucapić go mogą"*. Konkretnie: zabić i odciąć róg, z tych samych farmaceutycznych przyczyn, dla których dzisiaj morduje się nosorożce.

Legendy o uzdrowicielskiej sile *„alikornów"* mają starożytne źródła. Grek Ktezjasz z Knidos, nadworny lekarz perskich królów (Artakserksesa II i Dariusza II), pisał u schyłku V wieku przed Chrystusem: *„W Indiach żyją pono osły postury koni, o białej skórze tułowia, ciemnoczerwonym łbie i niebieskich oczach, a ze środka czoła sterczy im róg łokciowej długości, biały u nasady, czarny pośrodku, czerwony zaś u szpiczastego końca. Kto pije z takiego rogu — odporny jest na truciznę i padaczkę"*. Stąd w Średniowieczu trwało przekonanie, iż róg jednorożca, użyty jako puchar czy kielich, neutralizuje wszelkie trucizny, a sproszkowany stanowi panaceum, uniwersalny lek na wszystko (od impotencji i epilepsji, do ciężkiej gorączki i bólów żołądka). Twierdzono również, że jednorożec, zanurzając swój róg, oczyszcza każde wody (rzeki, stawy, jeziora) z wszystkich jadów i toksycznych zanieczyszczeń (dawał temu świadectwo piórem XV–wieczny heski kapłan Johannes). Nic tedy dziwnego, że *„alikorny"* były piekielnie kosztowne (w roku 1559 kilku weneckich kupców oferowało Hohenzollernom astronomiczną sumę 30 tys. dukatów za róg jednorożca ze zbiorów tej familii), i że podarkiem od monardchy dla monarchy cenniejszym niż złoto lub szlachetne kamienie był *„alikorn"* lub leczniczy proszek *„z prawdziwego rogu jednorożca"* (*„verum cornu monocerotis"*).

W roku 1579 francuski chirurg Ambroise Paré kilkoma prostymi eksperymentami obalił mit, że proszek z rogu jednorożca to antidotum na trucizny. Wzbudził tym gorącą nienawiść cechu aptekarzy, lecz upadku mitu nie dało się już powstrzymać. Stulecia XVII i XVIII coraz słabiej wierzyły w uzdrowicielską moc *„alikorna"*, zaś od początku wieku XIX zoologowie (Georges Cuvier i in.) wymierzali śmiertelne uderzenia całej jednorożcowej mitologii, dowodząc, że takie zwierzę nie istnieje i nigdy nie istniało.

Skąd zatem brały się w aptekach i na dworach europejskich rogi jednorożców?

tapiseria francuska ~1500

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Z północnych wód arktycznych i subarktycznych. Rzekome rogi jednorożców były ciosami narwali (waleń *„monodon monoceros”* — jednorożec jednozęb), *„śrubowato żłobkowanymi na powierzchni”*, przeto całkowicie kompatybilnymi z opisem *„spiralnego”* rogu jednorożca, jaki dał Elian (starorzymski naturalista Claudius Aelianus). Już Wikingowie, dobrze umiejący liczyć, ergo: świadomi, że *„unicornum falsum”* (fałszywy róg jednorożca) jest dwukrotnie droższy od pereł i trzykrotnie od rubinów — swymi 40–tonowymi statkami przywozili z Grenlandii do Europy dwu– i trzymetrowe kły narwali. Potem kontynuowali ten proceder wielorybnicy, póki nie udowodniono, że jedyny jednorożec to morski stwór (*„licorne de mer”*).

JEDNOROŻEC W POLSCE

Królowie polscy bardzo sobie cenili rogi jednorożców. A.D. 1475 inwentarz skarbca królewskiego na Wawelu odnotowuje posiadanie jednego *„alikorna”*, lecz spis z roku 1510 wymienia już dwa, a rejestr z 1532 — trzy! Ten trzeci został pono ofiarowany królowi Zygmuntowi I Staremu przez dzielnego Ślązaka, starostę barskiego Bernarda Pretwicza, który rzekomo upolował jednorożca kiedy gonił... Tatarów. Mając już trzy *„alikorny”* — król Zygmunt podarował ów trzeci (od Pretwicza) Ferdynandowi I Habsburgowi (1540), zaś nadworny austriacki rzeźbiarz Silvester Lechner dodał cacku złote ornamenty i rękojeść, więc stało się ono jako berło jednym z głównych precjozów wiedeńskiego skarbca Habsburgów. W tamtych czasach Polacy mieli zaufanie i do leczniczych właściwości jednorożcowego rogu, i do korelacji dziewiczych tegoż, i wreszcie do jego siły niebiańskiej, o czym świadczy choćby dawna sarmacka modlitwa za żołnierza:

„Ty go, mój Panie, nie racz odstępować.
Tyś jego siła, Ty go chciej ratować.
Szabli okrutnej, psom wściekłym, lwom srogim,
Obroń go bystrym zwierzem jednorogim”.

„Unicornusa” zawiera polski herb Bończa (Jednorożec vel Głoworożec), który ma trzy odmiany (według niektórych heraldyków cztery) i został pono przeflancowany nad Wisłę znad Tybru. Pierwsza wzmianka (źródłowa) o tym herbie wskazuje Mikosza (Mikołaja) z Bończy — zawiera ją notatka sądowa powstała na ziemi łęczyckiej roku 1396. Pierwszą znaną pieczęć zawierającą ten herb datuje się: 1464, drugą: 1466 (ta była własnością kanonika płockiego, lektora Uniwersytetu Krakowskiego, Arnolfa z Mirzyńca). Herb ukazywał dwa jednorożce: srebrnego całego w polu błękitnym i pół jednorożca (bez zadu i tylnych nóg)

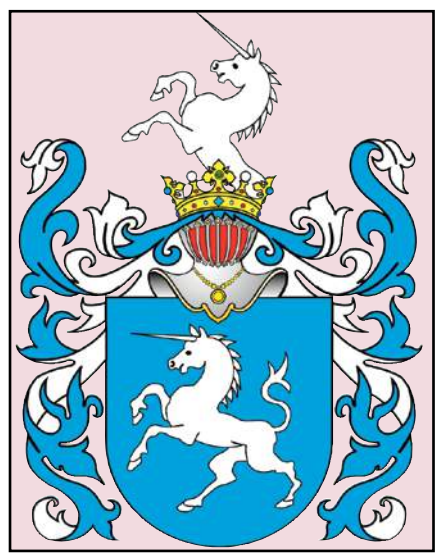

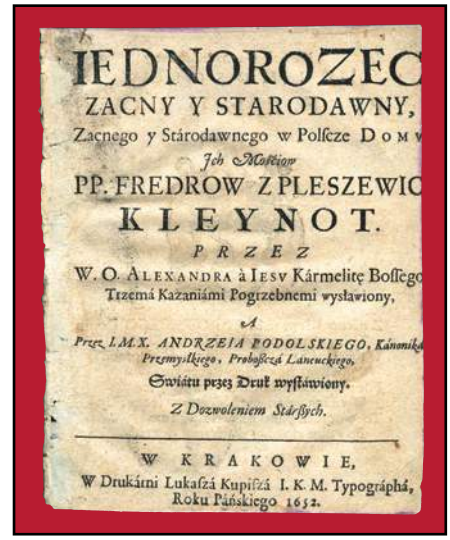

IEDNOROZEC
ZACNY Y STARODAWNY,
Zacnego y Stárodawnego w Polſcze Domu
Jch Mościów
PP. FREDROW Z PLESZEWIC
KLEYNOT.
PRZEZ
W. O. ALEXANDRA à IESV Kármelitę Boſſego
Trzemá Kazaniámi Pogrzebnemi wysławiony,
A
Przez I.M.X. ANDRZEIA PODOLSKIEGO, Kánonikā Przemyſkiego, Probóſzczá Lanczuckiego,
Swiátu przez Druk wysławiony.
Z Dozwoleniem Stárſzych.
W KRAKOWIE,
W Drukárni Lukaſzá Kupiſzá I. K. M. Typográphá,
Roku Páńskiego 1652.

w koronie nad hełmem klejnotu. Owe jednorożce symbolizowały cnotę rycerza, który tłumi niskie żądze, chcąc służyć poczciwym sprawom. Najbardziej rozpowszechnione były herby Bończa w ziemi krakowskiej, lubelskiej, sandomierskiej i mazowieckiej, a pieczętowało się nimi prawie 120 rodzin, m.in. Żółkiewscy, Skrzyneccy, Moraczewscy, Żeromscy, Turnowie i Fredrowie. Notabene: jednorożec występuje także w herbach licznych familii europejskich, w herbach miast (np. Londyn) i państw (Wielka Brytania). Te angielskie herby zawierają lwa obok jednorożca, co symbolizuje przeciwstawienie sił solarnych (lew) siłom lunarnym.

Sławetny nasz księżulo Benedykt Chmielowski w swym głośnym, wielce bałamutnym dziele (będącym pierwszą polską encyklopedią) **„Nowe Ateny albo Akademia wszelkiey sciencyi pełna”** (1745–1756) dał cały rozdział o jednorożcu (***„O Jednorożcu zwierzu”***), tak chwaląc *„alikorn”*: *„Róg Jednorożców iest wielgiey mocy y dzielności przeciwko wszelkiey truciźnie, zarazem y iadom różnego gadu (...) Żyd Wenet rogiem Jednorożcowym na stole uczyniwszy cyrkuł* [koło], *wpośród niego wsadził Scorpiona y Paiąka, to oboie kręcąc się, a za metę cyrkułu boiąc się wyniść, tamże pozdychały”*. Opisał tu Chmielowski metodę, którą medycy i aptekarze sprawdzali pono czy róg jest autentyczny — dowodem autentyczności miało być skuteczne działanie nakreślonego koła.

JEDNOROŻEC W SZTUCE

Prosperował w każdej sztuce, od rysunków do filmów, piór (prozatorskich i poetyckich) nie wyłączając. Wiersz Rilkego **„Jednorożec”**, czy powieść Niemca Martina Walsera **„Jednorożec”** (1966),

eprasa.pl 2ca7fd0c41

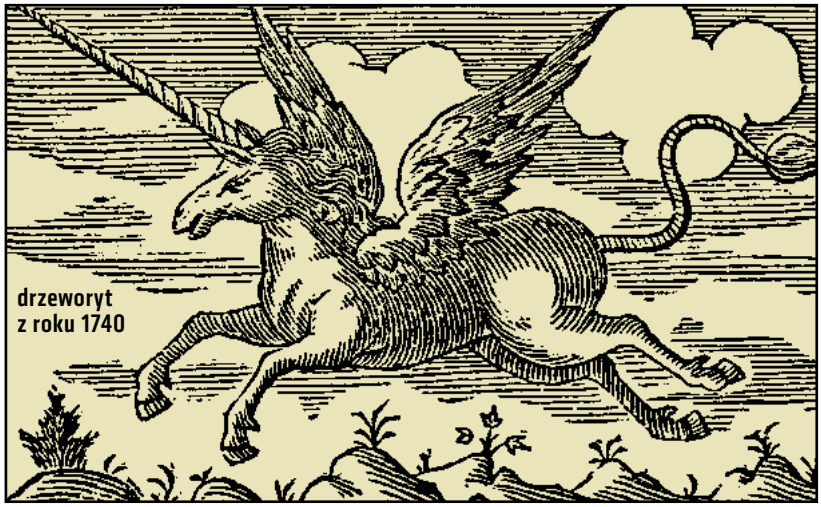
drzeworyt z roku 1740

mogą tu być przykładami syndromicznymi. A ponieważ nad weną rymopisów (i szerzej *„ludzi pióra”*) czuwa mitologiczny Pegaz, czyli skrzydlaty koń — graficy nie omieszkali skrzyżować go z jednorożcem, i tak zaczęły powstawać wizerunki skrzydlatego jednorożca, którego ja w swych **„Bajkach”** przezwałem *„jednopegarożcem”*. A gdy już jesteśmy przy nazewnictwie jednorożcowym — nie od rzeczy będzie wzmiankować, że rozmaite firmy robią sobie z jednorożca logo, bądź

pakują go w swą nazwę. Nad Wisłą ma to już tradycję prawie stuletnią, dzięki krakowskiemu Cechowi Artystów Plastyków „Jednoróg”, powstałemu A.D. 1925 i funkcjonującemu 9 lat. Zrzeszeni w nim artyści (głównie *„koloryści”*) urządzili nie tylko 26 wystaw swych obrazów, lecz i bale, na które zaproszenia tryskały dowcipami typu: *„JEDNORÓG zaprasza wszystkich szczęśliwych pechowców, którym niewiasty przyprawiły tylko po jednym rogu, by mogli dzięki tej zabawie przyprawić bliźnim dwa rogi”*, itp.

Mnóstwo znanych malarzy (Rafael i in.) ukazywało jednorożce, a w XX stuleciu pałeczkę po nich przejęli filmowcy. Bogate tu były zwłaszcza ostatnie dwie dekady tamtego wieku. W 1982 Ridley Scott dał **„Łowcę androidów”**, gdzie jednorożec ukazuje się jako ważna mistyczna/symboliczna zjawa, a równolegle (1982) Stephen Weeks zaprezentował **„Sword of the Valiant”** (polski tytuł: **„Miecz bohaterów”**), także z jednorożcem. Rok później (1983) film Clinta Eastwooda **„Sudden Impact”** (czwarty z serii *„Brudny Harry”*) kończył się krwawo i jednorożcowo: zwyrodniały gwałciciel goniony przez inspektora Callaghana nadziewa się śmiertelnie na róg jednorożca w wesołym miasteczku. Roku 1985 Scott poświęcił jednorożcowi cały film pt. **„Legenda”**: okrutny Władca Ciemności chce, by na Ziemi panował mrok, lecz dopóki żyje choć jeden jednorożec, słońce nie może zgasnąć. Tyran każe więc wybić ostatnie jednorożce, których broni dzielny Jack (Tom Cruise) przy pomocy duszka leśnego. Jack mówi

Raffaello Santi, „Dama z jednorożcem” (1506)

(i to jest puentą filmu): *„— Jak długo one są na Ziemi — zło nie może skrzywdzić istot czystego serca”*. Rekordowy filmowo był dla jednorożców rok 1998 (**„Jednorożec”** Paula Matthewsa, **„Jednorożec Nico”** Graeme'a Cambella, i pełnometrażowy film animowany **„Ostatni jednorożec”**).

Polacy chętnie odstrzeliliby jednorożca z putinowskiego filmu Władimira Chotinienki **„Rok 1612”** (2007), gdzie rolę *„złego Polaka”* gra renegacko Michał Żebrowski, a po pierwszych i drugich planach co i rusz biega wcielenie czystości i niewinności, symbol Świętej Rusi, śnieżnobiały jednorożec. Kacapska ohyda — pfuj!

* * * * *

Gdyby ktoś chciał jednak bronić istnienia realnych jednorożców (choćby dla ukontentowania dziewic) — zawsze może powołać się na wykopaliska paleontologów, zwłaszcza na dwa: syberyjskie (pierwsza dekada XX stulecia, odkopanie *„elasmotherium”*, czyli szkieletu zwierzęcia wielkości słonia, którego czoło zdobił duży pojedynczy róg) i francuskie (ostatnia dekada XX stulecia, odkopanie blisko miejscowości Condom szkieletu zwierzęcia sprzed 17 milionów lat, dalekiego przodka jelenia i żyrafy, dysponującego potężnym rogiem wyrastającym ze środka czoła). Dwa wyrazy są tu chyba kluczowe walentynkowo: *„czoło”* (do pukania) i *„condom”* (też do pukania). ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Whisky i ciumkanie

Wiele osób twierdzi, że mój syn jest do mnie bardzo podobny. Osobiście uważam, że takie porównanie jest dla niego krzywdzące. On jest ładny, świetnie zbudowany i wysportowany, a ja brzydki, gruby i sflaczały. Gdzie tu podobieństwo.

Jednak... Całkiem niedawno, pewnego piątkowego wieczoru, jednocześnie ruszyliśmy: ja z salonu, on ze swojego dziecięcego pokoju. Stanęliśmy naprzeciw siebie w przedpokoju i znowu ruszyliśmy. Po czym spotkaliśmy się w pół drogi i ja skręciłem w lewo, on w prawo. Znaleźliśmy się w kuchni, gdzie po paru krokach wespół skręciliśmy w prawo. I razem doszliśmy do półki, z której on wziął cukierek, a ja butelkę, z której nalałem sobie whisky.

W tym momencie faktycznie zobaczyłem siebie w nim, a jego w sobie. I choć alkoholowy (może lepiej powiedzieć: węglowodanowy) posmak tej przygody zostawia cierpki smak, to jest to niesamowita życiowa rozkosz, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że jakaś część jego będzie istniała w następnym pokoleniu.

Niestety, nie działa to w drugą stronę. Lubimy widzieć siebie w dzieciach, ale nie znosimy dostrzegać w sobie rodziców. Otóż moja mama ma zwyczaj wydawania czasem po posiłku pewnego odgłosu, który nie ma nazwy. Można by to nazwać mlaśnięciem, ale to nie jest mlaśnięcie. Można by to nazwać cmyknięciem, ale to nie jest cmyknięcie. Nie jest to też cmoknięcie, ciamknięcie, siorbnięcie. Jest to absolutnie niepowtarzalne. Powiedzmy, że jest to ciumknięcie.

To ciumknięcie od zawsze – a przynajmniej od czasu, gdy pierwszy raz wydobyło się z ust dziadka, bo historia jest wielopokoleniowa – mnie irytowało. Tak jak wszystko, co robią nasi nieszczęśni rodzice. I ostatnio siedzieliśmy sobie przy herbatce i ciasteczku, po którym nastąpiło ciumknięcie, a właściwie dwa, bo najpierw ciumknęła moja mama. A zaraz potem ja. Tak, ja! Zrobiłem to zupełnie machinalnie. Zamarłem, zagłębiłem się w siebie i doszedłem do dość oczywistego wniosku: ja ciumkam. Do tej pory tego nie słyszałem, tak jak człowiek nie słyszy, kiedy sam chrapie. Dopiero na tle innego ciumknięcia wyłapałem własne. Niestety! Fakty były niepodważalne. Spory kawał mojej rodzicielki, i to taki mocno irytujący, żył we mnie. Gen ciumkania został mi przekazany i nic nie mogłem na to poradzić.

Oczywiście historia z ciumkaniem ucieszyła mnie mniej niż ta z cukierkiem i alkoholem (symptomatyczne zresztą, że różne frukta przechowujemy w tym samym miejscu), bo trudno radować się objawami tetryczenia. Jednak postanowiłem to ciumkanie zaakceptować. Szkoda, że dopiero teraz, kiedy odkryłem je u siebie. Teraz przynajmniej już wiem: to jest element naszej – Zalewskiej – tożsamości, więc nie ma co się irytować. Ciumkamy i tyle. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Obrazki białego człowieka

Zaczęło się to wszystko w grotach Altamiry. A może jeszcze wcześniej, kiedy nasi przodkowie zaczęli uwieczniać swój świat (i siebie) na obrazach. Dodajmy, że na obrazach dążących do realizmu.

Realizmu tego nie dorobiły się Czarna Afryka, obie Ameryki, a Daleki Wschód – podobnie zresztą jak starożytny Egipt – porzucił go na rzecz konwencji.

Świat arabski okazał się jeszcze bardziej rygorystyczny. Wywiedziony z Biblii zakaz przedstawiania Boga rozciągnął na człowieka, a następnie cały świat żyjący. W znacznym stopniu uniemożliwiło to humanizację religii Mahometa, która nie przeżyła swego renesansu i pozostała niezmienna od ponad tysiąca lat.

Polichromie na ścianach gotyckich świątyń (prawdziwe edukacyjne komiksy swoich czasów) nadawały religii wymiar ludzki

To, że chrześcijaństwo w umiejętny sposób wykręciło się z drugiego przykazania („nie uczynisz sobie rytego obrazu ani żadnej podobizny tego, co jest w niebie na górze, ani z tych rzeczy, które są w wodach, pod ziemią…), stworzyło szczelinę, przez którą prześlizgnęła się plastyczna spuścizna Greków i Rzymian, tworząc podwaliny pod cywilizację Zachodu.

Fascynacja ludzkim ciałem legła u podstaw badań medycznych, poszukiwanie piękna wysublimowało europejski sposób pojmowania miłości, przyczyniło się do wyzwolenia kobiety, która przestała być „opakowaną w burkopodobne tkaniny rzeczą".

Polichromie na ścianach gotyckich świątyń (prawdziwe edukacyjne komiksy swoich czasów) ocierały się wprawdzie o bałwochwalstwo – toczono o to prawdziwe wojny z obrazoburcami – ale zarazem nadawały religii wymiar ludzki i prywatny, daleki od schematycznego rytuału. Naśladowanie Świętej Rodziny stało się pierwowzorem europejskiego stylu życia, a dążenie do maksymalnie wiernego przedstawienia i utrwalenia rzeczywistości doprowadziło do wynalazku fotografii, filmu i telewizji. A zachowane wizerunki władców i filozofów czyniły historię bliską oraz łatwiejszą do analizowania.

Jak tysiące lat temu oglądający własne odbicie w wodzie praczłowiek zdał sobie sprawę ze swego indywidualnego człowieczeństwa, tak obrazy czy rzeźby stały się na wiele wieków idealnymi wzorcami piękna, stylu, kultury. I mimo wszelkich eksperymentów oraz deformacji pozostają nim nadal. ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Z prof. dr. hab. Andrzejem Rychardem, socjologiem, dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN
rozmawia Marek Migalski

Nowoczesna popełniła wiele błędów

MAREK MIGALSKI: Jaki podział społeczno-polityczny zastąpił dawny podział postkomunistyczny lub późniejszy – na Polskę solidarną i liberalną?

PROF. ANDRZEJ RYCHARD: Nie zgadzam się z tym, że ten pierwszy podział jest już całkowicie nieaktualny. Odżywa czasami w zabawny sposób.

Kiedy?

Na przykład wówczas, gdy obie strony sporu politycznego oskarżają się o komunopodobność. Przy okazji rocznicy stanu wojennego okazało się, że niemal wszyscy byli w podziemiu. Nikt nie bronił PRL.

Dokładnie. Jednak czym jest ten główny podział? Może to jest najbardziej banalny podział: pisowskość kontra antypisowskość?

Pewnie tak. Ma pan chyba rację w tym, że przestajemy dostrzegać jakieś głębsze różnice. Wystarcza, że kogoś zidentyfikujmy jako pisowca czy jako antypisowca, i nikt już żadnych innych pytań nie zadaje. To trochę tak jak w starym dowcipie o tym, jak złapano w czasach sowieckich faceta, który rozrzucał puste, niezadrukowane ulotki. Na pytanie, dlaczego niczego na nich nie ma, odpowiedział: „A po co? Przecież i tak wszystko wiadomo". Sens tego dowcipu jest taki, że choć kartka pusta, to nie znaczy, iż nie ma zawartości. Jednak te dwie siły różnią się zasadniczo wizją państwa, co widać np. po decyzjach wprowadzanych przez PiS.

Czy dzisiaj tę najważniejszą siłą opozycyjną jest PO? Nie daje pan żadnych szans Nowoczesnej czy innym podmiotom?

Nie, w żadnym wypadku. Widzę w Nowoczesnej cechy korzystnie dystansujące ją od PO, choć uważam, że Platforma jest głównym na chwilę obecną aktorem w opozycji. Zwłaszcza że na przełomie roku Nowoczesna popełniła wiele błędów.

Jest pan poważnym naukowcem, więc nie będę pana wyciągał na plotki.

Jednak tu chodzi także o to, że lider Nowoczesnej kluczył i zmieniał wciąż zdanie na temat rozwiązania kryzysu sejmowego. I na tym tle Platforma wyglądała na bardziej jednolitą.

I poważną.

Tak. Pewna powolność PO okazała się paradoksalnie jej zaletą. Natomiast dostrzegam siłę także w Nowoczesnej.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

Jaką?

Ona z sukcesem przeistoczyła się z partii jednego wymiaru, wąsko ekonomicznie liberalnego, w ugrupowanie potrafiące zajmować stanowisko w sprawach par excellence politycznych.

Może dlatego, że jako formacja sejmowa musi to robić?

Nowoczesna poprzez bardzo dobrą jakość części swoich posłanek robi to jednak w dobrym stylu.

Nie uważa pan jednak, że taka liberalna (ekonomicznie i aksjologicznie) partia jest w Polsce skazana na pozostawanie pod progiem 10 proc.?

Może nie aż tak, ale rzeczywiście to jest jakiś problem. I nie zapisuję się do tego chóru, który w 2015 r. się dziwił, jak to możliwe, że PO przegrała wybory. Tę kwestię trzeba radykalnie przeformułować. Jak to było możliwe, że w kraju z obecną biedą oraz nierównościami formacja odwołująca się do pewnych haseł liberalnych przez osiem lat była u władzy?

Biorąc pod uwagę to, co pan mówi, to w ogóle dziwne, że przez ostatnie ćwierćwiecze rządził ktoś inny niż – na zmianę – Kaczyński z Millerem.

Tym, co odgrywało tu rolę, była obietnica awansu cywilizacyjnego. I przez wiele lat to działało.

I na tym jechała PO?

Tak.

A dlaczego się to załamało?

Platforma potknęła się na czynnikach przez siebie zawinionych i niezawinionych. Do tych pierwszych zaliczyłbym to, że PO, poprzez billboardy „Budujmy mosty, nie róbmy polityki", zdepolityzowała swój sukces. Zerwała w umysłach wyborców związek ich sukcesu życiowego z działaniami rządu. Gdy przyszły wybory, ludzie nie uznali za stosowne połączyć swoich sukcesów z gabinetem PO.

I wtedy wyborcy uznali, że mogą sobie wybrać PiS?

Tak. I przyszedł Kaczyński, i jednym ruchem przywrócił związek między polityką, a sytuacją indywidualną ludzi. Poprzez słynne już „500+".

A czynniki niezamierzone, które doprowadziły do klęski PO?

Przede wszystkim wyższe wykształcenie przestało się już opłacać tak, jak było to kiedyś. Jak pokazały badania Henryka Domańskiego, ta premia wykształcenia przestała działać i pojawiło się coraz więcej sfrustrowanych młodych ludzi. Oni dołączyli do obozu PiS. I to właśnie oni mogli rozstrzygnąć wybory na korzyść partii Kaczyńskiego. Byli, jak to kiedyś określił Jarosław Flis, pewnym naddatkiem. Na to nałożyły się procesy ogólnoświatowe, pewien kryzys demokracji. Sam pan przecież napisał książkę „Koniec demokracji".

Czy dzisiejsze notowania PiS, utrzymujące się w zasadzie w okolicach tego, co partia ta dostała w wyborach 2015 r., ocenia pan jako wysokie czy niskie?

To na pewno nie jest porażka PiS, że ma takie notowania. Raczej oceniłbym to jako umiarkowany sukces. Zwłaszcza że dzieje się to w okresie zwiększającego się poziomu niepewności zarówno generowanej przez otoczenie międzynarodowe, jak i niepewności wewnętrznej, spowodowanej polaryzacją oraz kryzysem politycznym polsko-polskim.

Jednak czy przy tych transferach socjalnych, których dokonał PiS (mam na myśli program „500+", obniżenie wieku emerytalnego, podwyższenie stawki minimalnej), jego notowania nie powinny przekraczać 50 proc.? Pomimo bycia świętym mikołajem partia Kaczyńskiego ma zaledwie tyle, ile miała w dniu wyborów.

Trzeba jednak pamiętać, że prezes PiS rozpętał trochę burz i konfliktów politycznych. A wiemy, że Polacy nie lubią tego typu działań.

Czyli ta socjalna poduszka powoduje, że nie ma spadku notowań, które by nastąpiły po konfliktowym sposobie prowadzenia polityki przez PiS? Jedno niejako znosi drugie?

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Po części tak właśnie jest – socjalne transfery podtrzymują notowania PiS, które byłyby niższe z powodu zarządzania rzeczywistością przez konflikt w wykonaniu partii rządzącej.

Sformułowałem kiedyś tezę, że w polityce, gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają. Nie wiem zatem, czy ta konfliktowość aby na pewno tak bardzo szkodzi PiS.

Na poziomie zagregowanych danych przypływy i odpływy elektoratu PiS się równoważą. Część ludzi odchodzi z obozu władzy, bo tworzy on tak poważne konflikty, jak ten o Trybunał Konstytucyjny czy media publiczne, a część do niego dołącza, bo ów obóz stworzył „500+" i obniżył wiek emerytalny. Jednak to nie są ci sami wyborcy. Zresztą myślę, że PiS nie docenił skali oporu społeczeństwa. Sądziliśmy, że w Polsce instytucje są silne, a społeczeństwo obywatelskie słabe, a okazało się, iż jest na odwrót.

To się może skończyć źle?

Zauważmy, że następuje kontrola instytucji społecznych. Niechęć do tradycyjnego modelu wzmacniania integracji europejskiej. Patrzenie z nadzieją na prezydenturę Trumpa. To zjawiska, które odnajdujemy nie tylko z Polsce, lecz także w pewnym wielkim kraju, z którym sąsiadujemy.

Musi pan tu postawić kropkę nad i. Chodzi panu o Rosję Putina?

Tak. Dlatego nie wykluczam, że w pewnym momencie może nie stanie się tak, że PiS odpali program „Putin+", ale – kto wie? – czy nie dokona się tutaj pewna reorientacja. A wiemy, że PiS jest partią bardzo pragmatyczną. To znalazłoby zrozumienie u wielu endekoidalnych środowisk w Polsce, a także spotkałoby się z życzliwym przyjęciem w elektoracie postpezetpeerowskim.

Do którego już wielokrotnie puszczał oko Kaczyński, choćby chwaląc Józefa Oleksego czy nazywając Edwarda Gierka polskim patriotą.

Tak jest. Ten elektorat wciąż żyje i jest aktywny wyborczo. To dzisiejsi 50-, 60-latkowie. Dlatego tego typu zwrot w polityce wewnętrznej i zagranicznej nie jest wykluczony w przyszłości.

W pełni się z tym zgadzam. Rok temu pisałem o tym w „Rzeczpospolitej" i też mi się wydaje, że to możliwe i że Kaczyński jest jedynym politykiem, który takiego zwrotu na Wschód mógłby dokonać. Zresztą obecna zmiana obozu rządzącego w sprawie Ukrainy to pokazuje – że zakwestionowanie „polityki jagiellońskiej" i jej zmiana na „politykę Dmowskiego" są możliwe.

Tutaj niby jest tylko jeden problem – Smoleńsk. Wystarczy jedynie zbudować interpretację, że to nie Putin jest wszystkiemu winien, lecz Tusk.

A na to zgodziłyby się obie umawiające się strony – i Kaczyński, i Rosjanie.

Jednak to snucie przypuszczeń opierające się na założeniu, że decyduje kalkulacja interesów. Na szczęście w polityce są jeszcze wartości – i one czynią taką reorientację mniej prawdopodobną. A poza tym jednak byłaby ona trudna do akceptacji dla poważnej części elektoratu i działaczy PiS.

Wracając na domowe podwórko – jak pan ocenia opozycję?

Wydaje się być słaba i podzielona. To skłania Kaczyńskiego do żartów, że to on może stanąć na jej czele – co zresztą przypomina słowa Wałęsy z początku lat 90., że chętnie by stanął na przedzie pochodu maszerującego na Belweder. Bardziej niebezpieczne dla PiS może być niezadowolone społeczeństwo. Niekoniecznie znajdujące swoją reprezentację w partiach opozycyjnych.

Jednak z KOD nie wyszło, prawda?

Zgoda, w jakimś stopniu to nie wyszło, co nie oznacza, że powody powstania KOD przestały istnieć. To niezadowolenie pozostało.

Pan widzi jakąś osobę czy środowisko, które mogłyby zastąpić KOD w tej roli?

Nie. Nie oznacza to jednak, że nie ma potencjału do tego, by ktoś lub coś takiego się pojawiło.

Fakt, że prof. Rychard czegoś nie widzi, nie oznacza, że to coś nie istnieje.

Możemy przyjąć takie założenie (śmiech).

Co będzie wyznaczać linię walki politycznej do wyborów 2019 r.?

Wbrew temu, co się mówi, że ekonomia już jest oddzielona od polityki, że wyborcy głosują nieekonomicznie, ale w oparciu o nastroje, sądzę, że sytuacja ekonomiczna będzie miała znaczenie. Prowadzone w naszym instytucie badania pod kierownictwem prof. Słomczyńskiego pokazują, że dramatycznie rośnie w Polsce grupa osób, które pracują na zasadach niestandardowych (nie tylko chodzi o śmieciówki). Przecież to będzie wpływać na ich zachowania wyborcze.

Czyli wynik konfrontacji w 2019 r. będzie zależeć od stanu polskiej gospodarki? Wcześniej to nie miało wielkiego znaczenia.

Dostajemy bardzo sprzeczne sygnały co do tego, jaki jest i jaki może być ów stan. Z jednej strony mamy wizję premiera Morawieckiego…

Bardziej wizję…

Niż realizowaną – tu zgoda. Mamy także sygnały, że wzrasta produkcja. Jednak z drugiej strony wzrost gospodarczy jest słabszy, niż zakładano. Bardzo dużo będzie zależeć od tego, co Polacy będą mieć w swoich portfelach. Przy czym sam portfel musi być jeszcze uzupełniony o poczucie pewności, o kwestie sprawiedliwości, zasady redystrybucji.

Czyli, trochę upraszczając, przyszłe wybory też będą się rozstrzygać o te „500+"? Czy PiS zdoła przekonać ludzi, że opozycja chce ludziom zabrać te pieniądze lub czy opozycja zdoła przekonać wyborców, iż chce im je zostawić, a nawet uzupełnić o inne świadczenia?

Oczywiście, że tak. Każdy, kto powie, że odbierze te „500+", przegra na starcie.

Co będzie głównym polem sporu politycznego w 2017 r.?

Po pierwsze, będzie to spór o sytuację zewnętrzną i spór o to, czy polska racja stanu leży w utrzymaniu silnej Europy w połączeniu ze strukturami euroatlantyckimi. Z tego też powodu z silnym zastrzeżeniem odczytuję list Donalda Tuska, który na jego początku postawił znak równości między Rosją, USA i Chinami. A drugie pole sporu to będzie jednak wymiar ekonomiczny. Bo w drugiej połowie roku będzie już mniej więcej wiadomo, w którą stronę zmierza polska gospodarka. I to w znacznej mierze rozstrzygnie o polskiej polityce. Oraz o tym, kto będzie w niej zwycięzcą, a kto pokonanym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. Andrzej Rychard *– socjolog, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Specjalizuje się w socjologii instytucjonalnej, socjologii organizacji, socjologii polityki i gospodarki.*

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Wymiar Tuska

Łukasz Warzecha

Donald Tusk nie zbudował sobie politycznego kapitału jako szef Rady Europejskiej

FOT. FRANCOIS LENOIR/REUTERS/FORUM

Ciężka decyzja, mówię, bardzo kusząca, bo to jednak idziesz w zupełnie inną orbitę, odseparowujesz się od tego wszystkiego, od tego syfu, k..., jesteś dużym misiem, odseparowujesz się od tego folkloru, od tego syfu" – te pamiętne słowa wypowiedział na początku 2014 r. Jacek Krawiec, ówczesny prezes PKN Orlen, w rozmowie z przybocznym Donalda Tuska – Pawłem Grasiem. Poznaliśmy je w ramach afery podsłuchowej. Rozmowa dotyczyła ówczesnego premiera. To on miał się wyrwać spomiędzy „dużych misiów" do Brukseli i starać o stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej.

W kręgach PO, a także wśród komentatorów panowała opinia, że Bruksela to świetne miejsce do zgromadzenia kapitału politycznego, który w przyszłości, kiedy Tusk powróci, pozwoli mu bez większego wysiłku wygrać wybory – najpewniej prezydenckie w roku 2020. Na wspomnianych nagraniach Krawiec

eprasa.pl 2ca7fd0c41

z Grasiem rozważali nawet, czy aby na pewno brukselski awans oznaczałby konieczność rezygnacji z kierowania partią.

DOBRY, BO SŁABY

Urząd, który Tusk miał objąć, nie miał długiej tradycji – Polak został drugim przewodniczącym Rady Europejskiej w historii, ponieważ stanowisko to wprowadził dopiero traktat lizboński. Pierwszym był Herman Van Rompuy, wcześniej premier Belgii. Przed wejściem w życie traktatu lizbońskiego przewodnictwo Rady Europejskiej obejmowały rotacyjnie, co pół roku, kolejne państwa członkowskie.

Obsada stanowisk w UE wynika z drobiazgowej układanki wzajemnych interesów i obejmuje cztery kluczowe posady: przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, szefa Komisji Europejskiej, wysokiego przedstawiciela do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa oraz właśnie przewodniczącego Rady Europejskiej. W zależności od politycznego zapotrzebowania dodaje się do tego schematu jeszcze piąte stanowisko: szefa Eurogrupy (nieformalnego zgromadzenia państw strefy euro). Chodzi o to, aby żadna polityczna frakcja czy kraj nie zdobyły przewagi nad innymi i aby wpływy wzajemnie się równoważyły. Stanowiska nie mają oczywiście jednakowej wagi. Formalnie największe kompetencje sprawcze ma przewodniczący PE, choć – jak pokazała kadencja Jerzego Buzka – polityk słaby także w tej roli nie zdobędzie wielkiego wpływu. Zaraz za nim sytuuje się szef Komisji Europejskiej.

Kompetencje dwóch względnie nowych stanowisk – przewodniczącego RE i wysokiego przedstawiciela – zostały w traktacie nakreślone na tyle ogólnie (zahaczając zresztą nawzajem o swoje obszary odpowiedzialności), że jasne było, iż treścią wypełnią je dopiero osoby obsadzone w tych rolach. Skromny katolicki intelektualista piszący haiku, Herman Van Rompuy, sprawował przewodnictwo RE przez dopuszczalne dwie kadencje głównie jako polityk wyćwiczony w poszukiwaniu kompromisu. Nie rozpychał się szczególnie na urzędzie. Dla każdego, kto rozumiał, jak działa RE, czyli miejsce, gdzie swój głos wyrażają poszczególne rządy, było jasne, że tak właśnie skrojone jest to stanowisko. Nie stoi za nim siła organu z wyboru bezpośredniego, tak jak w przypadku szefa Parlamentu Europejskiego, ani potężnej biurokracji, tak jak w przypadku szefa KE.

Traktat lizboński następująco określa tę rolę: przewodniczy Radzie Europejskiej i prowadzi jej prace, zapewnia przygotowanie i ciągłość prac Rady Europejskiej, we współpracy z przewodniczącym Komisji i na podstawie prac Rady do spraw Ogólnych wspomaga osiąganie spójności i konsensusu w Radzie Europejskiej, przedstawia Parlamentowi Europejskiemu sprawozdanie z każdego posiedzenia Rady Europejskiej. Ponadto „zapewnia na swoim poziomie oraz w zakresie swojej właściwości reprezentację Unii na zewnątrz w sprawach dotyczących wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, bez uszczerbku dla uprawnień wysokiego przedstawiciela unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa".

Ramy zakreślone są szeroko, ale zarazem mało precyzyjnie. W roku 2014 był kandydat, który miał potencjał, aby wznieść urząd przewodniczącego rady na poziom „prezydenta UE". Chodziło o brytyjskiego premiera Tony'ego Blaira. Ostatecznie za sprawą niemieckich wpływów i reszty układanki (szefem PE został socjalista Martin Schulz, a zatem na czele Rady Europejskiej nie mógł już raczej stanąć przedstawiciel lewicy) stanowisko otrzymał jednak Donald Tusk. Powierzono mu tę rolę właśnie dlatego, że nie był Blairem. Szef RE miał być kimś nawet mniej samodzielnym niż Van Rompuy.

w Europie. Pozostali europejscy liderzy polityczni poparli kandydaturę Tuska, bo chcą nowego, energicznego przywództwa w Radzie Europejskiej.

Tusk udowodnił, że jest sprawnym negocjatorem i że umie tworzyć dobre kompromisy. Nie jest ani skrajnym federalistą, ani eurosceptykiem. Ma doskonałe wyczucie społeczne (udowodnił to, gdy wygrał wybory w czasie, gdy inni europejscy premierzy przegrywali). Jako były opozycjonista – a Kaszuba z pochodzenia – umie wsłuchać się w głosy mniejszości, uszanować pozytywne partykularyzmy, których w Europie jest legion.

Zarazem Tusk jest Europejczykiem w pełni tego słowa znaczenia: jako historyk wie, jak powstawała europejska tożsamość, co było punktem startu dla europejskiej wspólnoty, czym są fundamentalne europejskie wartości. I czego trzeba dziś, żeby dzieło Roberta Schumana, Jeana Monneta, Alcide'a De Gasperiego, Konrada Adenauera i Paula-Henri Spaaka dalej trwało".

Żadna pochwała nie wydawała się na wyrost dla platformerskiej propagandy. Tusk miał się jawić jak nowy ojciec Europy. Rzeczywistość szybko jednak zweryfikowała te opowieści. Owszem, początkowo polskie media – przychylne ówczesnej władzy – próbowały pokazywać Tuska jako wybitnego unijnego męża stanu, ale wychodziło średnio.

Donaldowi Tuskowi nie udało się – bo nie mogło się udać – wykorzystać stanowiska do gruntownego odświeżenia swojego wizerunku jako wybitnego polityka. I to mimo tego, że bieg zdarzeń dostarczał okazji. Za przewodnictwa Tuska trwał unijny kryzys ekonomiczny, zaczął się imigracyjny, nastąpił Brexit

A mimo to w drugiej połowie 2014 r. byliśmy świadkami groteskowego wręcz pompowania Tuska jako właśnie „prezydenta Europy". Tę PR-ową kampanię można porównać jedynie z równie absurdalnym przedstawianiem polskiej prezydencji w UE w 2011 r. jako wiekopomnego sukcesu polskiej dyplomacji. Tę tromtadrację doskonale ilustruje tekst Konrada Niklewicza, wówczas w Instytucie Obywatelskim (partyjny think tank PO) z końca sierpnia 2014 r.:

„[…] Nominacja Donalda Tuska jest odzwierciedleniem pozycji Polski

Między innymi dlatego, że nowy przewodniczący RE początkowo słabo radził sobie z angielskim, więc jego pierwsze publiczne wystąpienia nie należały do najbardziej błyskotliwych. Zresztą rychło uwagę mediów przyciągnęły mniej wygodne wizerunkowo aspekty nowej posady: wynagrodzenie sięgające – z premiami – dobrze ponad 100 tys. zł miesięcznie, rozliczne przywileje i dodatki czy dwupiętrowe mieszkanie w luksusowej kamienicy w Brukseli, wynajmowane za kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie na koszt europejskiego podatnika.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Przede wszystkim jednak, patrząc strategicznie, Tuskowi nie udało się – bo nie mogło się udać – wykorzystać stanowiska do gruntownego odświeżenia swojego wizerunku jako wybitnego polityka. I to mimo tego, że bieg zdarzeń dostarczał okazji. Za przewodnictwa Tuska trwał unijny kryzys ekonomiczny, zaczął się brzemienny w skutki kryzys imigracyjny, doszło do referendum w sprawie Brexitu, na koniec zaś wybory w USA wygrał Donald Trump. Szef RE nie odznaczył się jednak w żadnym momencie wystąpieniem, analizą, myślą, która stanowiłaby autentyczne nowe otwarcie lub dawałaby choćby ciekawe pole do dyskusji.

MIAŁKOŚĆ

Jeśli Tusk zabiera głos w sprawie strategicznych problemów Europy i świata, to robi to w sposób miałki i nieinspirujący. Taki też jest niedawny list przewodniczącego RE, wystosowany do przywódców państw Unii przed nieformalnym szczytem na Malcie. W Polsce narobił sporo szumu za sprawą zawartej w nim krytyki administracji Trumpa. W istocie epistoła nie była warta uwagi.

Najpierw Tusk określa zagrożenia, przed jakimi stoi dzisiejszy świat, nie uciekając zresztą od sztampowego języka („eurosceptycyzm", „narodowy egoizm" itd.), a następnie przedstawia swoją „receptę":

„W świecie pełnym napięć i konfrontacji potrzebne są odwaga, determinacja i polityczna solidarność Europejczyków. Bez nich nie przetrwamy. Jeśli sami nie będziemy wierzyć w siebie, w głębszy sens integracji, to dlaczego mieliby wierzyć inni? […] W dzisiejszym świecie państw-kontynentów liczących setki milionów mieszkańców kraje Europy z osobna mają małą wagę. UE tymczasem dysponuje potencjałem demograficznym i gospodarczym, dzięki któremu jest równym partnerem dla największych potęg. Dlatego najważniejszym sygnałem, który powinien wybrzmieć w Rzymie, jest sygnał gotowości dwudziestkisiódemki do jedności. Sygnał, że nie tylko musimy, lecz także chcemy być zjednoczeni.

Pokażmy naszą europejską dumę. Jeśli udamy, że nie słyszymy słów i nie dostrzegamy decyzji skierowanych przeciw UE i naszej przyszłości, to ludzie przestaną traktować Europę jaką swoją większą ojczyznę. I – co równie niebezpieczne – przestaną nas szanować globalni partnerzy. Obiektywnie rzecz biorąc, nie ma powodu, by Europa i jej przywódcy ulegali zewnętrznym potęgom i ich władcom. Wiem, że w polityce nie można nadużywać argumentu godności, gdyż zbyt często prowadzi to do konfliktów i negatywnych emocji. Dzisiaj musimy jednak bardzo zdecydowanie stanąć w obronie naszej godności, godności zjednoczonej Europy – bez względu na to, czy rozmawiamy z Rosją, Chinami, USA czy Turcją. Miejmy więc odwagę być dumni z naszych osiągnięć, które uczyniły nasz kontynent najlepszym miejscem na ziemi. Miejmy odwagę sprzeciwić się retoryce demagogów, którzy twierdzą, że na integracji europejskiej korzystają wyłącznie elity, że zwykli ludzie w jej wyniku jedynie cierpią i że kraje poradzą sobie lepiej w pojedynkę niż razem".

Kolejne akapity utrzymane są w podobnym tonie. Tusk nie jest w stanie wyjść poza ograny repertuar brukselskich zaklęć i rytualną krytykę „populizmu", a jedynym celem, jaki przyświecał autorowi tekstu, była zapewne gra na swoją drugą kadencję. Zastosowany przez Tuska język jest jednak całkowicie nierelewantny wobec faktycznych wyzwań, co nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem.

Po pierwsze – jako się rzekło – były premier nie został zatrudniony w Brukseli dzięki mocnemu poparciu Angeli Merkel jako samodzielny podmiot, ale jako nienarzucający się organizator prac Rady. Po drugie – przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie można mieć wobec postaci takich jak Valéry Giscard d'Estaing, były prezydent Francji i architekt niedoszłej unijnej konstytucji (poprzednika traktatu lizbońskiego), Jean-Claude Juncker, obecny szef Komisji Europejskiej, czy socjalista i federalista Jacques Delors, czterokrotny przewodniczący tego ciała (przez 10 lat, od 1985 do 1995 r.) – ich zdolność strategicznego patrzenia na kwestie europejskie przewyższała zdolność Donalda Tuska, który do europejskiej polityki trafił z poziomu zdolnego i sprawnego, ale jednak tylko partyjnego machera w jednym z nowych krajów członkowskich.

Wydaje się niemal pewne, że rząd PiS nie udzieli Tuskowi poparcia na drugą kadencję w roli przewodniczącego Rady Europejskiej, choć przy okazji wizyty Angeli Merkel w Warszawie Beata Szydło pytana o tę sprawę odrzekła: „Jeszcze za wcześnie, żeby przedstawiać ostatecznie jakieś stanowisko". Polskie poparcie nie jest jednak konieczne. Wybór odbywa się bowiem kwalifikowaną większością głosów członków Rady, a Tusk ma mocne wsparcie Merkel – nie tylko dlatego, że jest dla niej wygodnym partnerem, lecz także dlatego, że w obecnej sytuacji Berlin ma na głowie znacznie ważniejsze kwestie niż otwieranie nowego przetargu na szefa Rady Europejskiej.

Z obecnej układanki politycznej wynika, że Tusk może na stanowisku pozostać. Wprawdzie nowym przewodniczącym PE został członek EPL Włoch Antonio Tajani (czyli z tego samego rozdania co Tusk), ale wysokim przedstawicielem pozostaje reprezentująca lewicę Federica Mogherini, a do kombinacji zaliczany jest także szef Eurogrupy, którym jest również przedstawiciel lewicy, Holender Jeroen Dijsselbloem. Poza tym, gdyby europejska lewica upierała się przy odzyskaniu dla siebie stanowiska zajmowanego obecnie przez Tuska, stałaby się funkcjonalnym sojusznikiem polskiego rządu, którego przecież wspierać nie chce.

ZBĘDNA KONFRONTACJA

I tu pojawia się pytanie, jaki sens ma prezentowane w tej sprawie przez Jarosława Kaczyńskiego, a ostatnio także ministra spraw zagranicznych Witolda Waszczykowskiego, konfrontacyjne stanowisko. Zracjonalizować je można jedynie grą na potrzeby twardego elektoratu w kraju. Tymczasem dobra zasada dyplomacji, szczególnie w UE, mówi, żeby nie zaczynać starć, których wygrać nie można. Tę zasadę Polska właśnie łamie. W zamian za nasze ustępstwo niczego nie zyskamy, skoro nie jest ono konieczne, aby Tusk utrzymał stołek.

A jest jeszcze pytanie o alternatywę: Skoro zwalczamy Tuska, to kogo wolelibyśmy na jego miejscu? Owszem, Tusk Polsce specjalnie nie pomagał. Faktem jest jednak, że w niektórych sprawach – np. przy okazji pomysłu na przymusową dystrybucję uchodźców – zajmował stanowisko bliższe Warszawie niż Berlinowi. Czy – realistycznie rzecz biorąc – z naszego punktu widzenia lepiej mieć na stanowisku szefa Rady Europejskiej Donalda Tuska, nawet jeśli jego relacje z obecnymi władzami w Warszawie będą chłodne, czy wymienić go na pochodzącego z Europy Zachodniej socjalistę?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Tomasz P. Terlikowski

Efekt Franciszka, o którym tyle się mówi w mediach, widać głównie w kwestiach papieskiego PR. Nic nie wskazuje na to, by przekładał się on na masowe nawrócenia czy powroty do Kościoła

FOT. POOL/AP/EAST NEWS

Niechciany efekt Franciszka

O „efekcie Franciszka" media trąbią od dawna. Nowy, bardziej otwarty, „miłosierny" (jak się go określa) styl papieża ma przyciągać do Kościoła wiernych, którzy z niego odeszli, a także tych, którzy nigdy w nim nie byli. Rozwodnicy w nowych związkach powinni drzwiami i oknami walić do świątyń oraz kaplic, a młodzi nawróceni przez posługiwanie papieża – do seminariów. Kłopot polega tylko na tym, że tych zjawisk nie widać. Wiernych nie tylko nie przybywa, lecz także – nawet w krajach latynoskich, o Niemczech czy Austrii nie wspominając – w zastraszającym tempie ubywa. Statystyki powołaniowe na Zachodzie ani drgną, a w Polsce spadają na łeb na szyję. Seminaria i nowicjaty (głównie dotyczy to żeńskich, ale i męskie nie narzekają na nadmiar kandydatów) świecą pustkami. A to powoli przekłada się na liczbę święconych kapłanów. Jeśli porównać rok 2016 z rokiem 2013 (początek pontyfikatu Franciszka), to okaże się, że liczba nowo święconych księży diecezjalnych spadła o 17 proc. Jeszcze gorzej jest z księżmi zakonnymi, a w wielu nowicjatach żeńskich od lat nie przyjęto żadnej nowicjuszki. Na świecie jest podobnie. Wzrost liczby kandydatów do kapłaństwa zanotowano tylko w Belgii (o 7,5 proc.) i we Włoszech (o 0,3 proc.), ale w Czechach, Wielkiej Brytanii, Austrii i Niemczech liczba osób przyjmowanych do seminariów spadła o ponad 10 proc. (i nadal spada).

DOBRY PAPIEŻ, ZŁY KOŚCIÓŁ

Jeszcze groźniejszy, i to odnotowany już w latach 2015–2016, czyli po rzekomym zaistnieniu „efektu Franciszka", jest proces masowych już niemal wystąpień z zakonów. Jak podawał sekretarz Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego abp José Rodríguez Carballo, w ciągu jednego tylko roku odchodzi średnio 2,3 tys. osób, w zdecydowanej większości między 30. a 50. rokiem życia. I nikt nie ma pomysłu, jak tę falę zatrzymać.

Trudno oczywiście za wszystkie te zjawiska winić papieża Franciszka. Kryzys powołaniowy widać w Kościele na Zachodzie (bo w Indiach trudno o nim mówić) od dziesięcioleci. „Efekt Jana Pawła II", który zapełnił seminaria w Polsce i sprawił, że wciąż możemy być spokojni o liczbę księży, zakonników oraz sióstr zakonnych, nie dotknął w takim stopniu krajów zachodnich (choć i tam, głównie w Stanach Zjednoczonych, mówi się o pokoleniu „papa boysów", czyli kapłanów, którzy wstąpili do zakonów czy seminariów pod wpływem przykładu życia i posługiwania papieża z Polski), a szeregi księży przerzedziły także postępujący kryzys formacji (w Irlandii likwidowano i likwiduje się seminaria z powodu ich zainfekowania „kulturą gejowską", a w USA nadal funkcjonują całe wspólnoty seminaryjne, w których homoseksualizm jest powodem do chluby, a nie wstydu) i skandale seksualne. Efekt jest dramatyczny. W wielu krajach zachodnich nie ma już jak obsadzić parafii i łączy się je w większe struktury, z przerażeniem obserwując, jak kolejni kapłani przechodzą na emerytury czy umierają.

Franciszek jednak, z nowym dynamizmem, otwarciem i mocno wspierany

eprasa.pl 2ca7fd0c41

przez media, także te liberalne, miał ten trend zatrzymać. Miał, ale nie zatrzymał, a zdaniem wielu nawet przyspieszył. Dlaczego? Odpowiedzi trzeba szukać w specyfice papieskiego PR, który promowany jest i wspierany przez służby prasowe Watykanu. W największym skrócie można powiedzieć, że opiera się on na przekazie o absolutnej wyjątkowości Franciszka, który ma mieć całkowicie nowy styl, nowy przekaz i nowy sposób komunikacji. To budowane przez PR-owców (bardzo sprawnych) wrażenie wzmacnia jeszcze kaznodziejski styl samego papieża, który często i ostro krytykuje kapłanów, biskupów, pracowników kurii rzymskiej, wytykając im „faryzeizm", „przywiązanie do prawa", przesadną surowość itp. itd. Wszystko to buduje obraz, podsycany jeszcze przez niechętne Kościołowi media liberalne, papieża przeciwstawionego Kościołowi. W efekcie rosną sympatia i szacunek, a także zaufanie dla papieża, ale nie przekłada się to na bezpośrednie wsparcie dla Kościoła takiego, jakim on jest.

Doskonale widać to na przykładzie badań. Jak wynika z grudniowych analiz, aż 85 proc. Włochów ma zaufanie do Franciszka, a ogólnoświatowe badanie instytutu WIN/Gallup International pokazuje, że papież jest najpopularniejszym przywódcą na świecie. Dobre zdanie o papieżu ma 54 proc. ludności świata. Franciszek jest najbardziej uwielbiany w Portugalii (94 proc.). Dalsze miejsca zajmują Filipiny (93 proc.), w jego ojczyźnie poziom tej sympatii wynosi 89 proc., a we Włoszech – 86 proc. Dalsze miejsca zajmują: Kolumbia (84 proc.), Hiszpania (80 proc.), Peru (79 proc.) i Polska (78 proc.). Te niesamowite dane nie przekładają się niestety na uwielbienie dla Kościoła. A dokładniej przekładają się, ale w zaskakujący sposób. Wzrasta bowiem liczba osób, które bardziej cenią Kościół, ponieważ mają nadzieję na zmianę jego nauczania w kwestii seksualności, homoseksualności czy celibatu. Gdy zaś zmiany te nie następują, to uznają to za efekt… sprzeciwu złych hierarchów wobec dobrego papieża.

LIKWIDACJA PRZYCZÓŁKÓW

Tak budowany (nie tylko przez media, lecz także choćby przez kard. Waltera Kaspera, a również grupę najbliższych współpracowników) przekaz wcale nie wzmacnia tendencji powołaniowych. Nie wydaje się także, by wspierały je ostre i bardzo krytyczne wypowiedzi samego papieża o młodych oraz starszych księżach.

Do tych „miękkich", w znaczącym stopniu PR-owskich „zarzutów" wobec strategii papieskiej komunikacji można dodać zarzuty nieco twardsze. Trudno nie dostrzec, że przynajmniej część z decyzji papieża i jego najbliższego otoczenia uderza w środowiska oraz wspólnoty, które cieszyły się ogromną liczbą powołań. Najlepszym chyba przykładem są franciszkanie i franciszkanki Niepokalanej, do których wstępowała masa młodych mężczyzn i kobiet, ale których rozwój został zatrzymany przez wprowadzenie zarządu komisarycznego oraz zamknięcie seminarium i nowicjatu. Powód? Nigdy go nie podano, ale wiele wskazuje na to, że problemem był zbyt mocny nacisk na liturgię trydencką wewnątrz zakonu. I choć dochodzenie ma zostać zamknięte w tym roku, to już wiadomo, że nowe konstytucje dla wzorujących się na św. Maksymilianie Kolbem zakonników będą pisane przez zwolenników o wiele liberalniejszej wersji życia zakonnego, a do tego niezwiązanych z franciszkanizmem. Ciekawe, że niedawno ze stanowiska został odwołany biskup z Filipin, który zdecydował się inkardynować do swojej diecezji rozproszonych kleryków od franciszkanów Niepokalanej.

Dobre zdanie o papieżu ma 54 proc. ludności świata. Franciszek jest najbardziej uwielbiany w Portugalii

Z bardzo podobną akcją ograniczania działalności wspólnot, które generują powołania, mieliśmy do czynienia zaledwie kilka miesięcy temu, gdy wspierany przez Franciszka abp Josef De Kesel, zdecydował się na zamknięcie otwartego przez jego poprzednika na stanowisku arcybiskupa Brukseli Bractwa św. Apostołów. Wspólnota ta, oparta na zasadzie wierności tradycji i nauczania Kościoła, w ciągu kilku lat doczekała się 21 seminarzystów. To jednak nie przeszkadzało nowemu arcybiskupowi, który zamknął ją, sugerując, że odbiera ona powołania Francuzom… Trudno znaleźć w tym jakąś sensowną logikę.

KULTURA TYMCZASOWOŚCI

Nie brak także – o tym też trzeba pamiętać – czynników obiektywnych, które sprawiają, że liczba powołań spada. Mówi o nich często i mocno także papież Franciszek, wskazując na postępującą „kulturę tymczasowości", która powoduje, że wielu młodych ludzi nie potrafi zdecydować się na zaangażowanie na całe życie.

PSYCHOLOGIA PRZETRWANIA

Niezależna od Ojca Świętego jest także głęboka zmiana, która dotyka, szczególnie na Zachodzie, życie zakonne i kapłańskie. Dotychczasowe modele społeczne kapłaństwa odchodzą do lamusa (a w wielu krajach już odeszły) i konieczne jest wypracowanie nowych. A to wymaga, o czym często i mocno mówi Franciszek, odwagi wchodzenia na zupełnie nowe drogi. „Postawa przetrwania sprawia, że stajemy się reakcyjnymi, lękliwymi, zamyka nas powoli i po cichu w naszych domach i w naszych schematach. Przenosi nas z powrotem ku chwalebnym czynom – ale minionym – które zamiast wzbudzić proroczą kreatywność, zrodzoną z marzeń naszych założycieli, poszukują skrótów, aby uciec od wyzwań pukających dziś do naszych drzwi. Psychologia przetrwania odbiera moc naszym charyzmatom, ponieważ prowadzi nas do „oswojenia się z nimi", aby uczynić je „w zasięgu ręki", ale pozbawiając ich tej siły twórczej, którą zapoczątkowują. Sprawia, że wolimy chronić przestrzenie, budynki lub struktury bardziej, niż umożliwić nowe procesy. Pokusa przetrwania sprawia, że zapominamy o łasce, przemienia nas w zawodowców od sacrum, ale nie w ojców, matki i braci nadziei, do której prorokowania zostaliśmy powołani. Ten klimat przetrwania wysusza serce naszych staruszków, pozbawiając ich zdolności do marzeń i tym samym pozbawia płodności proroctwo, do którego głoszenia i realizowania powołani są najmłodsi. Mówiąc najprościej, pokusa przetrwania zamienia w niebezpieczeństwo, zagrożenie, tragedię to, co Pan nam przedstawia, jako sposobność do misji" – mówił Ojciec Święty podczas mszy św., którą odprawił w bazylice św. Piotra w Watykanie w Światowym Dniu Życia Konsekrowanego.

Tych słów i diagnoz liberalne media już jednak nie przekazują, a do tego zakony, przynajmniej część z nich, które próbują je wcielać w życie, mają poważne problemy z najbliższymi współpracownikami papieża, którym nie odpowiadają ich przesadny radykalizm i zaangażowanie. I dlatego, nie tylko z przyczyn obiektywnych, trudno się spodziewać, przynajmniej w kwestii powołaniowej, jakiegoś szczególnego przełomu związanego z papieżem Franciszkiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Jak piłsudczyk z piłsudczykiem

Powojenną korespondencję Pobóg-Malinowskiego i Wacława Jędrzejewicza czyta się z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony jest to pasjonująca lektura, kopalnia wiedzy o działalności obozu piłsudczykowskiego. Panowie wspominają „stare dobre czasy", opisują wiele wydarzeń i postaci, które odegrały kluczową rolę w historii II RP.

Jednakże ciężko się to czyta! Mam tu na myśli te fragmenty, które dotyczą emigracyjnej niedoli obu wybitnych Polaków. Pobóg-Malinowski opisuje problemy finansowe, z jakimi borykał się we Francji – pisząc wprost, że często wręcz przymierał głodem. A Jędrzejewicz wspominał, jak po przybyciu do Ameryki harował na nocną zmianę w fabryce.

A mówimy przecież o ludziach naprawdę dużego formatu. Jednym z najlepszych polskich historyków i byłym ministrze, członku najściślejszej elity władzy przedwojennej Polski. Zdecydowanie historia w XX w. nie rozpieszczała Polski ani Polaków…

Malinowski i Jędrzejewicz w swoich listach sporo miejsca poświęcają oczywiście II wojnie światowej. Jędrzejewicz ujawnia m.in. kulisy tragicznej, samobójczej śmierci gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. I jasno wskazuje winnych: Władysława Sikorskiego, Stanisława Kota i ich otoczenie.

W listach czytelnik znajdzie również wiele trafnych ocen polityki prowadzonej przez polskie rządy podczas II wojny. Polityki – dodajmy – wręcz katastrofalnej. Prowadzonej w sposób dyletancki, naiwny i często sprzeczny z interesami Rzeczypospolitej.

„Emigracja? – pisał Malinowski. – Największa ilościowo w dziejach jest równocześnie najmniejsza moralnie i politycznie. W ogóle już od śmierci Komendanta nie mamy ludzi na wielką miarę. Cóż za ubóstwo w porównaniu z okresem poprzedniej wojny. Tam Piłsudski – i przepraszam za takie zestawienie – Dmowski, Daszyński – i jeszcze raz przepraszam – ale Witos! Teraz – Sikorski, Bielecki, Mikołajczyk, Ciołkosz, Stańczyk! Pożal się Boże! Cóż za upadek!".

Rzeczywiście, trudno nie zgodzić się z tą opinią. Był to upadek. ©℗

★★★★★★

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI, WACŁAW JĘDRZEJEWICZ „LISTY 1945–1962"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Królowa i barbarzyńca

Zamysł małżeństwa Jadwigi Andegaweńskiej z Jagiełłą był jedną z najważniejszych decyzji w dziejach Polski. Oznaczał bliski związek obu państw, chrystianizację Litwy i sojusz przeciwko zakonowi krzyżackiemu. Jednak zawarte 18 lutego 1386 r. małżeństwo okazało się wyjątkowo nieudane.

Królową posądzano o potajemne spotkania z jej wcześniejszym narzeczonym, Wilhelmem Habsburgiem. Austriacki książę pojawił się bowiem w przebraniu kupca na uroczystościach ślubnych i podobno nie skończyło się wyłącznie na obserwacji wesela i koronacji. To nie wszystko, uparty Habsburg trzy lata później spotkał się z Jadwigą w Krakowie pod nieobecność Jagiełły. Opowiadał o tym Gniewosz z Dalewic i z tego powodu został formalnie oskarżony o kłamstwo. Jadwiga w katedrze wawelskiej przysięgła na Ewangelię, że dochowała mężowi wierności, natomiast Gniewosza wezwało na „Sąd Boży" 12 rycerzy z otoczenia królowej. Nie wiadomo, czy zamierzali walczyć wszyscy razem przeciwko oszczercy, czy miał on się z nimi pojedynkować po kolei. Ostatecznie skończyło się na procesie sądowym i oskarżyciela skazano na wyjątkowo upokarzającą karę. W obecności świadków musiał wejść pod ławę i oświadczyć, że „to, co mówił, jest łgarstwem" i że „zełgał jak pies", dlatego teraz „szczeka jak pies". I faktycznie zaszczekał…

Królowa przez całe lata nie dopuszczała męża do swojego łoża

Trzeba jednak przyznać, że Jagiełło od samego początku nie ułatwiał sytuacji młodszej o ponad 20 lat partnerce. Litewski książę pochodził z zupełnie innego świata, nie mówił po polsku, nie znał również łaciny ani niemieckiego. Do tego zaczynał już łysieć i był znacznie niższy od żony. Przez całe życie zachował też pogańskie przesądy, co bardzo irytowało jego królewską małżonkę. Obracał się trzy razy przed wyjściem z budynku, rzucał za ramiona patyczki, a włosy wyrwane z brody starannie mył, aby następnie wkładać pomiędzy palce.

Królowa przez całe lata nie dopuszczała męża do swojego łoża, nosiła na twarzy czarną zasłonkę, a gdy zbliżał się do niej, odwracała się z gniewem. Przyszła święta zwymyślała nawet spowiednika, który nakazywał jej uległość wobec męża, i demonstracyjnie odeszła od konfesjonału.

Czas jednak leczy rany i od 1396 r. małżonków coraz częściej widywano razem. Wreszcie ogłoszono, że Jadwiga spodziewa się dziecka, co oznaczało, że związek wreszcie zaczął funkcjonować. Nie na długo jednak, latem 1399 r. na świat przyszła córka, poród odbył się jednak z dużymi problemami, w efekcie królowa i dziecko zmarły kilka tygodni później… ©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

TYLKO U NAS!
SZOKUJĄCE ZBRODNIE KAPO W NIEMIECKICH OBOZACH

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA DO RZECZY

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Tomasz Stańczyk – Gan-Ganowicz, pogromca komuny / Dave Barr – Byłem najemnikiem w Angoli / Tymoteusz Pawłowski – Polscy mudżahedini / Sławomir Cenckiewicz – Rozkazy likwidacyjne LWP / Nikołaj Iwanow – Stalin i homoseksualizm / Piotr Włoczyk – Wywiad z weteranem bitwy pod Kockiem / Rafał A. Ziemkiewicz – KGB i wirus HIV / Sławomir Koper – Jak polska księżna zastrzeliła kochanka

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Teresa Stylińska

Wybory prezydenckie w USA, Brexit, próba puczu w Turcji podzieliły społeczeństwa i rodziny. Świat wszedł w erę radykalizacji poglądów

Wojna

FOT. MATTHEW CHATTLE/REX/EAST NEWS

Frank Sinatra nie żyje od blisko 20 lat, ale jego córka, piosenkarka Nancy, wie doskonale, co jej sławny ojciec myślałby o dzisiejszej Ameryce. Ani przez moment nie wątpi, że nie mógłby opowiedzieć się po stronie Donalda Trumpa. „Mój ojciec – napisała na Twitterze – nigdy nie popierałby bigota". Jeżeli ma rację, to Sinatra znalazłby się w licznym gronie ludzi show-biznesu, którzy odmówili występu w dniu inauguracji prezydentury Trumpa.

„Od referendum stale kłócę się z rodzicami, bo rezultat głosowania mnie załamał. Oboje głosowali za Brexitem, chociaż błagałam ich, by tego nie robili przez wzgląd na przyszłość moją i moich dzieci. Prawie nie mogę na nich patrzeć" – mówi dziennikowi „Guardiana" pewna młoda Angielka.

Ojciec tureckiego koszykarza Enesa Kantera publicznie się go wyrzeka. „Wstydzę się, że mam takiego syna, i przepraszam prezydenta i naród turecki" – pisze na łamach prorządowego dziennika „Sabah". Enes, grający w amerykańskiej lidze NBA, popiera bowiem Fethullaha Gülena, islamskiego duchownego, który jest w Turcji wrogiem publicznym numer jeden. „Dzisiaj straciłem tych, których przez 24 lata nazywałem rodziną" – odpowiada Enes. I zerwał z nimi kontakty.

Wybory w USA, referendum w sprawie Brexitu, zamach stanu w Turcji – trzy wydarzenia minionego roku jedno łączy: wszystkie pokazują, jak głęboko mogą sięgać podziały w społeczeństwie, i to nie tylko tam, gdzie są obecne od dawna (to przypadek Turcji), lecz także w krajach, które cieszą się zasłużoną opinią ostoi zgody i dobrych obyczajów. Pokazują, jak łatwo rodzą się podziały i jak przenikają one wszystko – od sfery publicznej do rodziny.

Nic dziwnego, że zjawiskiem waśni iście plemiennych, jak się je określa, zainteresowali się naukowcy. Konkluzje ich badań nie napawają optymizmem. Radykalizacja postaw jest, jak się okazuje, zjawiskiem powszechnym, w dodatku łatwo się ona utrwala i – o dziwo, bo przeczy to rozpowszechnionym odczuciom – postępuje wraz ze wzrostem wykształcenia. Bardziej wykształceni, ufni w swą wiedzę i znajomość rzeczy, są bardziej skłonni do zamykania się w gronie podobnie myślących i lekceważenia opinii innych, którzy ich zdaniem są po prostu głupi.

„KŁAMCA" TO KOMPLEMENT

Oczekiwanie, by przeciwnicy nowo wybranego szefa państwa czy zwycięskiej partii z dnia na dzień przeobrazili się w zwolenników, jest oczywiście nierealne. Problem sprowadza się więc do dwóch kwestii. Po pierwsze, w jakiej formie manifestować się będą rozczarowanie, niechęć i krytyka. Po drugie, jak głęboko sięgają: czy ograniczają się do sfery zachowań publicznych, czy – co doskonale przecież znamy z własnego podwórka – rzutują na więzy rodzinne i kontakty towarzyskie.

Fala zażartych protestów, jakie przetaczają się przez Amerykę od zwycięstwa Donalda Trumpa, nie ma właściwie precedensu. Żadnego elekta ani urzędującego prezydenta nie odsądzano tak zawzięcie od czci i wiary, nawet George W. Bush, również mocno kontestowany, nie wywoływał tak zdecydowanego oporu. Bush, owszem, budził niechęć, innego jednak, lżejszego kalibru. Przez luminarzy postępu był wyśmiewany i lekceważony, ale nie

eprasa.pl 2ca7fd0c41

światów

nienawidzony tak jak Trump. Tymczasem od listopada ubiegłego roku jest jasne, że na prezydenta Amerykanie wybrali sobie rasistę, faszystę, homofoba, zwolennika Ku Klux Klanu, świnię, bufona, kłamcę, oszusta, a nawet – tak nazwał go David Plouffe, eksdoradca Obamy – psychopatę. Co razem wzięte przekłada się na jedno: to nie nasz prezydent.

Wszystko to wiadomo z haseł przyświecających manifestacjom ulicznym, obelg rzucanych przez zacietrzewionych celebrytów, a także z mediów. Czasami nie wprost. „Nie nazywajcie Trumpa kłamcą" – prosił ostatnio „Newsweek" już w tytule tekstu na swym portalu internetowym. Czyżby wrogi Trumpowi tygodnik chciał wziąć prezydenta w obronę? Skądże znowu! Kłamca, wyjaśnia „Newsweek", to ktoś, kto chce ukryć prawdziwy obraz rzeczywistości. A oszołomowi takiemu jak Trump w ogóle na tym nie zależy, bo prawda nic go nie obchodzi.

Niechęć artystów, show-biznesu i znacznej części mediów właściwie nie powinna dziwić. Aktorzy i piosenkarze od dawna hołubią przywódców postępowych, a gdy idolem jest Obama, trudno, by był nim Trump. Dziwi raczej, gdy histeria udziela się tym, którzy dotąd wydawali się na nią odporni – np. sportowcom. Tymczasem po wyborach koszykarze kilku drużyn z NBA poinformowali, że przestaną korzystać z hoteli należących do Trumpa, bo nie chcą, by ich z nim kojarzono. To namacalny dowód szaleństwa, w jakie popadła część Amerykanów.

Nawet Barack Obama zapomniał o dobrych obyczajach politycznych, przestrzegając Trumpa, że nie będzie milczeć, jeśli poczynania nowego prezydenta „będą zagrażać fundamentalnym wartościom Ameryki". Ustępujący prezydent nie powinien pouczać następcy i Obama ma tego świadomość, ale – jak mówi – „może nie mieć wyjścia".

A gromkie deklaracje emigrantów in spe? Robert De Niro zapowiada, że przeniesie się na Sycylię, skąd dawno temu przyjechali jego przodkowie, inni myślą o zamieszkaniu w Kanadzie. Chociaż jak dotąd poprzestają na słowach.

ZDRADA OJCÓW

Amerykańskie podziały są bardzo widoczne. Jednak jak głęboko sięgają? Czy jest tak, że w zwykłej amerykańskiej rodzinie skaczą sobie do oczu zwolennicy Trumpa i jego zagorzali wrogowie? To możliwe, choć dotychczas Amerykanie dają swym uczuciom wyraz raczej na forum publicznym. Rodzinne pęknięcie jednak się zdarza, czego dowodem jest znana aktorska rodzina Baldwinów. Stephen Baldwin jeszcze przed wyborami wyraził na Twitterze opinię, że jego ojciec, gdyby żył, byłby przerażony, widząc uprzedzenia i manipulacje liberalnych mediów. Na co, również na Twitterze, otrzymał odpowiedź od swego brata Williama: „Gdyby nasz ojciec żył, palnąłby cię po głowie za popieranie Trumpa".

Tymczasem w Wielkiej Brytanii czerwcowe referendum w sprawie Brexitu najgłębsze rany pozostawiło właśnie w sferze stosunków rodzinnych. Brexit wywołuje oczywiste emocje, w parlamencie i partiach toczą się na ten temat dyskusje, ale – choć temat jest gorący – Brytyjczycy potrafili i potrafią utrzymać debatę w cywilizowanych granicach. Zwolenników Brexitu, takich jak Boris Johnson czy Michael Gove, druga strona nie chwali, ale też nie odsądza od czci i wiary. Nawet David Cameron, dla prawie połowy Brytyjczyków sprawca nieszczęścia, spokojnie odszedł na boczny tor.

W życiu publicznym nie ma więc histerii, za to głosowanie głęboko przeorało wiele angielskich rodzin (angielskich, bo mieszkańcy Szkocji i Irlandii Północnej zgodnie poparli pozostanie w UE). W tych ostrych rodzinnych konfliktach brzmi ton, jaki sami znamy aż za dobrze.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Obraz podziałów jest w sumie przejrzysty: to konflikt pokoleń, w którym po jednej, młodszej stronie mamy pragmatyzm, a po drugiej, starszej – wizję niezależności własnego państwa. Ci młodzi Brytyjczycy, którzy odrzucają Brexit, mają na podorędziu właściwie jeden tylko, koronny argument: przynależność do Unii stanowiła gwarancję dobrej przyszłości, bo wynika to z możliwości, jakie daje swoboda pracy, zamieszkania i kontaktów w 27 innych państwach. Przyszłość widzą więc w kategoriach osobistych, a nie dobra wspólnego. W poczuciu, że rodzice i dziadkowie odebrali im wielkie szanse, młodzi zarzucają więc starszym samolubstwo, nie dostrzegając, że sami na pierwszym miejscu stawiają własny interes.

Czują się zdradzeni przez pokolenie rodziców, a to nie może pozostać bez kary. Ktoś zapowiada, że „już nigdy nie ustąpi starszym miejsca w pociągu". Inni rozważają ograniczenie czy nawet zerwanie kontaktów rodzinnych. „Mój wuj – pisze młoda kobieta – głosował za wyjściem z Unii. Jestem na niego tak wściekła, że chyba nie zaproszę go na swój ślub. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego". „Ujrzałam rodziców w całkiem nowym świetle – mówi inna. – Spostrzegłam, że nie chcą słuchać innych i nie liczą się ze zdaniem tych, którzy, tak jak ja, mają powody, by bać się Brexitu".

UZNANZ A WROGÓW

W Wielkiej Brytanii i USA eksplozja emocji oraz wynikłe na tym tle podziały to zjawisko nowe. Turcja to zupełnie co innego. Turcy są podzieleni od dawna, a w dodatku różnice nie sprowadzają się do jednej kwestii, jednego wydarzenia czy jednego polityka – choć akurat prezydent Recep Tayyip Erdoğan to typ przywódcy, który nie stroni od mocnych słów i nie bez przyjemności zaognia spory. Właśnie dojście do władzy jego ugrupowania – Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) – zapoczątkowało pęknięcie, które po 14 latach jej rządów nie tylko nie zostało zaleczone, lecz także ciągle rodzi nowe.

Islamiści kontra kemaliści, czyli obrońcy laickiej, zorientowanej na Zachód Turcji atatürkowskiej, to główna linia podziału. Nieprzekraczalna, bo żadna ze stron nie jest w stanie zaakceptować racji przeciwników, tak w kwestiach fundamentalnych, jak błahych i ubocznych, poczynając od oceny Mustafy Kemala Atatürka. Kemaliści otaczają go szacunkiem i czcią graniczącą z uwielbieniem. Dla islamistów Kemal jest „pijakiem, który stworzył republikę" (choć na takie słowa pozwolili sobie nie od razu). Punktem odniesienia są dla kemalistów Europa i Zachód. AKP woli, mniej lub bardziej wyraźnie, odwoływać się do wartości ważnych w świecie muzułmańskim, a także do dawnej osmańskiej Turcji. Dlatego kemaliści zabronili noszenia hidżabów w instytucjach publicznych, AKP zaś zakaz uchyliła. I coraz bardziej otwarcie wspomina, że świątynia Hagia Sophia, która za Atatürka przestała być meczetem, znowu powinna nim być.

Najlepiej czujemy się w towarzystwie tych, którzy myślą podobnie jak my. To samonapędzający się mechanizm

To tylko drobna próbka zadawnionych podziałów, które – co ciekawe – są jasne i klarowne. Istnieją na gruncie publicznym, ale nie prywatnym, nie przenikają kręgów rodzinnych ani towarzyskich. Są spójne. Zawsze np. było oczywiste, że żony oficerów, sędziów czy dziennikarzy nie zakrywają włosów, ich dzieci nie chodzą do szkół religijnych, a kemalizm jest jak wspólne wyznanie wiary w państwo. U islamistów jest wprost przeciwnie.

Na ten dawny, pierwotny podział w ostatnich latach nałożył się nowy, mniej czytelny, za to bardziej dotkliwy. Konflikt w obozie islamskim, między ludźmi Erdoğana i ruchem skupionym wokół Fethullaha Gülena, wybuchł już parę lat temu, ale po lipcowym zamachu stanu stał się wszechobecny. Dawniej nie zdarzało się, by – o czym była mowa na wstępie – ojciec publicznie potępiał syna, dziennikarze złorzeczyli inaczej myślącym kolegom, a naukowcy, poddani dotkliwym represjom, uważali na każde słowo. „Turkom narzucany jest wybór: tak lub nie – pisze Murat Yetkin, szef anglojęzycznego dziennika »Hürriyet Daily News«. – Ludzie są zmuszani do popierania władz, bo inaczej zostają uznani za wrogów. W każdej kwestii należy się określić i poprzeć którąś ze stron". Czy może się to zmienić? Nic na to nie wskazuje.

WIARA WE WŁASNE POGLĄDY

Liberałowie kontra konserwatyści, lewica i prawica, euroentuzjaści oraz eurosceptycy – linie podziałów mają charakter powszechny, wykraczają poza konflikty w poszczególnych krajach. To niby nic nowego, ale – jak zauważa BBC – rok 2016 przyniósł wyjątkowe ich nasilenie. Podziały pogłębiają się, a polityka jak nigdy dotąd nabrała prawdziwie plemiennego charakteru.

Czy rzeczywiście? Z badań przeprowadzonych przez amerykańskie Pew Research Center wynika, że podziały istotnie nasilają się oraz utrwalają, i to bardzo wyraźnie. Okazuje się, że ludzie o poglądach innych niż nasze są a priori oceniani krytycznie. Zwolennicy drugiej z dwóch głównych amerykańskich partii – tej, której sami nie popieramy – to ludzie o ciasnych horyzontach (tak uważa ponad połowa badanych), a przy tym leniwi, niemoralni i nieuczciwi (to ocena 40 proc.). W latach 1992–2014 liczba Amerykanów negatywnie oceniających tych, którzy mają odmienne poglądy, wzrosła dwukrotnie. Radykalizacja jest więc faktem.

Jessica Keating, psycholog z uniwersytetu stanu Kolorado, badając zjawisko polaryzacji postaw, zleciła studentom przedyskutowanie, kto był lepszym prezydentem: Obama czy Bush. Zaledwie 15 min dyskusji utwierdziło ich tylko w ocenach, jakie mieli wcześniej. „Jeśli zebrać w pokoju grupę ludzi podobnie myślących – konkluduje autorka badań – ich postawy szybko staną się bardzo skrajne. Dzieje się tak dlatego, że w rozmowie poznajemy nowe argumenty, które przekonują nas do naszych własnych poglądów".

Okazuje się, że w kontaktach z innymi wcale nie szukamy argumentów, które pozwoliłyby nam zobaczyć sprawy w nowym świetle i być może zmienić zdanie, lecz potwierdzenia tego, że mamy rację. A że – jak wynika z innych badań – najlepiej czujemy się w towarzystwie tych, którzy myślą podobnie jak my, zaczyna to działać jak samonapędzający się mechanizm, trudny do zatrzymania.

Nie bez znaczenia jest tu nuta poczucia wyższości. Po co konfrontować własne opinie ze zdaniem innych, skoro i tak wiemy lepiej? Według Lee Rossa, profesora psychologii społecznej na Uniwersytecie Stanforda, mniemanie, że my sami widzimy sprawy rzetelnie i obiektywnie, podczas gdy myślenie innych skażone jest uprzedzeniami oraz niewiedzą, jest powszechne. Stąd już tylko krok do równie powszechnego przeświadczenia, że ci, którzy nie podzielają naszych poglądów, są najzwyczajniej głupi. Tak jak wyborcy Trumpa. I nie tylko oni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

NIEPOPRAWNE SŁOWO „MATKA"

Wydawałoby się, że ze współczesnego słownictwa wyrugowano już prawie wszystkie wyrazy, które ze względu na polityczną poprawność uznano za niesłuszne. Niepoprawnie jest np. mówić Cygan, choć sami Cyganie wolą to określenie od lansowanego w mediach słowa „Rom". Językowa wojna idzie jednak dalej i usuwa kolejne słowa oraz zwroty. Brytyjskie Stowarzyszenie Medyczne przygotowało dla pracowników medycznych dokument dotyczący komunikowania się w miejscu pracy. Już sam wstęp przewodnika – w którym zaznaczono, że ma on promować dobre praktyki poprzez użycie słownictwa okazującego poszanowanie i wrażliwość dla każdego oraz że dobór słów ma istotne znaczenie w uznawaniu różnorodności – zapowiadał, iż będzie ciekawie. No i jest. Przewodnik sugeruje bowiem, by w odniesieniu do pacjentek w ciąży nie używać sformułowania „przyszłe matki". Ponieważ – jak przyznają twórcy poradnika – wprawdzie większość osób, które były w ciąży lub rodziły dzieci, to kobiety, lecz wśród nich mogą trafiać się osoby transpłciowe lub interseksualne. Dlatego zamiast stygmatyzującego i bezwzględnie płciowego słowa „matka" eksperci od poprawności zalecają personelowi medycznemu używanie określenia „osoba ciężarna". Poradnik piętnuje również używanie określeń „urodzony jako kobieta" czy „urodzony jako mężczyzna" w odniesieniu do osób transpłciowych, ponieważ to zwroty „redukcyjne" i „nadmiernie upraszczające skomplikowany temat". Czy w brytyjskim stowarzyszeniu medycznym ktoś czasem ukradkiem nie tłumaczy felietonów Młodych Wykształconych i z Wielkich Ośrodków, pomijając w przekładzie ironię?

FOT. FOTOLIA

KOŁYSANIE PO PORODZIE

Japończycy na razie nie mają problemu ze słowem „matka" i z tym, że osoby płci pięknej rodzą dzieci. Wymyślają za to niezwykłe sposoby, które mają pomagać kobietom po porodzie. Położna z Kioto opracowała właśnie Otomaki – rodzaj opakowania. Kobietę w pozycji kucania zawija się w tkaninę od stóp do głowy i potem kołysze na boki. Część ekspertów jest sceptyczna i w przypadku bólu zaleca raczej wizytę u lekarza.

DOBRY JAK BECKHAM

Znany piłkarz i celebryta przyzwyczajony jest do stadionowych reflektorów oraz błysków fleszy, ale na światło, w którym stawiają go ujawnione właśnie prywatne e-maile, zapewne nie był przygotowany. David Beckham traci w nim bowiem trochę swojego uroku. Hakerzy Football Leaks ujawnili wiadomości, które mogą postawić pod znakiem zapytania charytatywną działalność futbolowego gwiazdora. Okazało się, że David Beckham m.in. od jednej z organizacji miał żądać tysięcy funtów za opłacenie mu przelotu, choć to sponsor zapewnił mu transport prywatnym odrzutowcem. Miał być też wściekły, gdy zasugerowano mu, by przeznaczył milion dolarów na dobroczynną zbiórkę UNICEF. „Te pier... pieniądze są moje" – miał napisać w konwersacji na ten temat. Po ujawnieniu e-maili rzecznik piłkarza wydał oświadczenie, w którym zapewnia, że wyrwane z kontekstu wypowiedzi celebryty nie oddają całej prawdy, a David Beckham od dawna jest zaangażowany w pomaganie innym.

EREWAŃ W USA

Agencja Associated Press podała niedawno nieoficjalną informację, z której wynika, że doradcy nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych mieli sprawdzać, czy Polska w jakiś sposób „interweniuje" na Białorusi. W informacji o tym użyto słowa „incursion", które można odczytać również jako „wtargnięcie". Agencja zastrzegła przy tym, że nie ma żadnych twardych dowodów na takie działania doradców Donalda Trumpa. Minister w Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy – Krzysztof Szczerski – który wrócił z wizyty w Stanach Zjednoczonych, dementował doniesienia AP w Polskim Radiu. Stwierdził, że amerykańscy urzędnicy zapewniali go, iż nikt z otoczenia Trumpa takiej akcji nie podejmował. ©℗

STONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Jacek Przybylski

Luksusowe

Wojna atomowa, pandemie lub naturalne kataklizmy mogą doprowadzić do zagłady ludzkości. Na świecie powstają więc drogie apartamenty, które mają zapewnić przetrwanie garstce wybranych

Lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja. Te słowa jak mantrę powtarzają agenci nieruchomości, przekonując, że najlepsze apartamenty są położone w pobliżu centrum miast lub w pięknej, malowniczej okolicy. Ta zasada absolutnie nie obowiązuje jednak w przypadku piekielnie drogich apartamentów, których zadaniem jest ochrona najbogatszych przed wszelkiego rodzaju kataklizmami.

PRZECIWATOMOWY PIĘCIOGWIAZDKOWY

Największym na świecie prywatnym schronem dla milionerów jest Vivos Europa One. Kompleks, którego wartość szacowana jest na 1,1 mld dol., mieści się w niemieckim Rothenstein w gruntownie zmodernizowanym bunkrze, zbudowanym przez Sowietów podczas zimnej wojny.

Zgodnie z zapewnieniami amerykańskiego inwestora Roberta Vicino nowoczesny obiekt jest w stanie zapewnić mieszkańcom ochronę przed atakiem z użyciem bomby elektromagnetycznej, broni chemicznej, biologicznej lub jądrowej, a także przed naturalnymi kataklizmami – od potężnych trzęsień ziemi do globalnych tsunami. Nie chodzi jednak tylko o zwykłe przetrwanie. Mieszkańcy schronu mogą przeżyć najtrudniejsze chwile w dziejach ludzkości w warunkach bardziej przypominających pięciogwiazdkowy hotel niż surowy wojskowy schron. Do ich dyspozycji są luksusowo wykończone apartamenty, kina, baseny, siłownie, restauracje i bary.

Dla każdego mieszkańca przygotowano roczny zapas żywności, woda przechowywana jest w podziemnych zbiornikach, a energię zapewniają generatory prądu. O bezpieczeństwo lokatorów zadbają specjalnie przeszkoleni ochroniarze, a o stan zdrowia – specjalistyczny personel medyczny, który pod ziemią ma do dyspozycji nawet sale operacyjne. Bezpieczne pomieszczenia w kompleksie zajmują ponad 21 tys. mkw. Może się w nich schronić ok. 6 tys. osób. Dodatkowo w skład kompleksu wchodzą obiekty znajdujące się na ziemi o łącznej powierzchni ponad 4 tys. mkw.

W razie zagrożenia mieszkańcy mogą przybyć do luksusowego schronu na pokładzie prywatnych samolotów – na terenie pobliskich lotnisk mają wówczas czekać należące do Vivos śmigłowce, które błyskawicznie zabiorą ludzi na ogrodzony i strzeżony teren kompleksu. Cena apartamentów w Vivos Europe One waha się ponoć od kilku do kilkudziesięciu milionów dolarów. Nie można jednak ot tak kupić sobie miejsca w schronie – najpierw trzeba wystąpić o członkostwo i czekać na zaproszenie do grona potencjalnych nabywców.

PODZIEMNY PARK DLA PSÓW

Za apartamenty w podobnym obiekcie – mieszczącym się w dawnym amerykańskim silosie na pociski Atlas „F", zwanym Survival Condo – trzeba zapłacić od

eprasa.pl 2ca7fd0c41

arki Noego

Kompleks Vivos Europa One w niemieckim Rothenstein mieści się w gruntownie zmodernizowanym bunkrze, zbudowanym przez Sowietów

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

1,5 mln (za lokum zajmujące pół podziemnej kondygnacji) do 4,5 mln dol. (za dwupoziomowy podziemny penthouse), czyli przeliczając na złotówki: od 6 do 18 mln zł. Taką kwotę trzeba mieć od razu dostępną na koncie. Sam deweloper ostrzega bowiem, że większość banków odmawia kredytowania tego typu nieruchomości. Nietypowy budynek – zaprojektowany tak, by mógł przetrwać uderzenie bomby atomowej – ma w sumie ponad 50 m głębokości i ściany w niektórych miejscach grube nawet na trzy metry.

Apartamenty mieszczą się na 14 podziemnych kondygnacjach. Można je wyposażyć m.in. w wirtualne okna, czyli ustawione w pionie ekrany ciekłokrystaliczne o przekątnej 55 cali, które co jakiś czas wyświetlają inny krajobraz. Aby w sytuacji śmiertelnego zagrożenia nikt nie ukradł nam klucza do bezpiecznego apartamentu, projektanci zastosowali zamki biometryczne. Na terenie dawnego silosu może mieszkać 75 osób.

Pod ziemią znalazło się też miejsce na bar, siłownię, strzelnicę, ściankę wspinaczkową, salę kinową, wewnętrzny basen, niewielki park dla psów, bibliotekę, a także szkolną klasę. Dzięki temu dzieci wybrańców będą mogły się uczyć nawet wtedy, gdy na powierzchni większa część ludzkości będzie już dogorywać. Inwestor zapewnia również, że zgromadził zapasy żywności dla każdego mieszkańca na co najmniej pięć lat, a także ponad 280 tys. litrów wody. Dodatkowo jest zbiornik wodny, w którym można hodować np. ryby, co pozwoli mieszkańcom przeżyć w zamknięciu nawet dłużej niż pięć lat. Konstruktorzy podziemnego apartamentowca nie zapomnieli też o specjalnych wizjerach, które umożliwią obserwację tego, co dzieje się na powierzchni ziemi. Schron zasilany jest m.in. za pomocą paneli słonecznych oraz energii wiatrowej.

SCHRONY DLA BIEDNIEJSZYCH

Przedsiębiorcy z tej nietypowej branży zarabiają jednak nie tylko na strachu milionerów, lecz także na lękach mniej zamożnych klientów. Położony na terenie Dakoty Południowej kompleks xPoint Survival Community składa się z 575 bunkrów na amunicję zbudowanych w 1942 r. Każdy ma 8 m szerokości i 24 m długości i może pomieścić od 10 do 20 osób. Cena wynajmu „domku" na czas apokalipsy wynosi zaś 25 tys. dol. (równowartość 100 tys. zł) na 99 lat (niestety, płatne z góry) plus 1 tys. dol. (4 tys. zł) rocznie za wynajem gruntu. Po wniesieniu tych opłat tymczasowi właściciele schronu mogą bez żadnych dodatkowych opłat zapraszać tylu gości, ilu tylko się w nim pomieści. Od właścicieli i zasobności ich portfeli zależy też, jak luksusowo będzie urządzony dany bunkier. Po przejęciu w 2016 r. schronów przez firmę Vivos mogą one być dowolnie modernizowane. Na przykład koszt wyposażenia ich w specjalistyczne systemy do filtrowania powietrza, kanalizację, generator prądu, odporne na wybuchy drzwi etc. to ok. 50 tys. zł. Bardziej luksusowe wykończenie wnętrz, budowa ścian wewnętrznych, położenie podłóg etc. pochłonie już kolejne 80 tys. zł. W schronie można też umieścić np. stół bilardowy wraz z olbrzymim telewizorem, a na ścianach zamontować ciekłokrystaliczne ekrany wyświetlające optymistyczny obraz pięknego, błękitnego nieba. Można też zamówić panele słoneczne oraz ogrzewanie geotermalne. W sumie schron może więc kosztować nawet milion złotych.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Oczywiście można też wynająć kilka bunkrów, np. jeden dla siebie, drugi na kosztowności, a trzeci np. na kolekcję książkowych białych kruków. Cały kompleks – nazywany „największą społecznością prepersów na świecie" – jest ogrodzony i dozorowany przez strażników z wojskowym doświadczeniem. Na odludnych terenach, położonych ponad 150 km od najbliższych ogólnie znanych baz wojskowych, umieszczono też klinikę, klasy dla uczniów, podziemne pojemniki na wodę i prywatne lądowisko, zbudowano także sklep, restaurację, bar, spa, stajnię i strzelnicę.

ZDĄŻYĆ PRZED ZAGŁADĄ

Nawet do najbezpieczniejszego schronu trzeba jednak jakoś dotrzeć, a w razie wojny latanie może nie być najbezpieczniejsze. Na strachu najbogatszych nieźle zarabiają też np. producenci samochodów.

Chevrolet Silverado Black Ops to zestaw survivalowy na czterech kołach. Opancerzone auto napędzane jest silnikiem o pojemności 5,3 l o mocy 355 KM. Jazdę w trudnych warunkach ułatwia napęd na obie osie, potężne terenowe opony na 18-calowych felgach, a także wyciągarka. Na pace nabywca tego modelu znajdzie m.in. generator prądu, panele słoneczne, maski przeciwgazowe, dodatkowe kanistry z paliwem, skrzynie na żywność, zbiornik na wodę oraz wojskową apteczkę pierwszej pomocy.

Wyjątkowo odporny i luksusowo wyposażony model Knight XV oferuje też najbogatszym kanadyjska firma Conquest Vehicles. Mierzący ponad 6 m SUV ma opancerzone nadwozie i szyby wykonane z pancernego szkła o grubości niemal 6,5 cm. Pokonywanie trudnego terenu ułatwia prześwit wynoszący ponad 35 cm, potężne 20-calowe koła z odpornymi na przestrzelenie oponami, a także 6,8-litrowy silnik o mocy 400 KM i napęd na obie osie. Auto jest też wyposażone w szperacz na dachu, a także cztery kamery z noktowizorami.

A jeśli ktoś uważa, że w kryzysowych czasach dwie osie to za mało, to może się zdecydować na kupno monstrualnego Mercedesa G63 AMG 6 x 6, cywilnego auta stworzonego na podobieństwo wozu wyprodukowanego na potrzeby australijskiej armii. Pojazd ma aż 46 cm prześwitu, a także 5,5-litrowy silnik o mocy 540 KM.

Apartamentowiec Survival Condo FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ci z grona najbardziej zamożnych, którzy w razie kataklizmów nie chcą być dosłownie i w przenośni uziemieni, mogą też zainwestować w łódź podwodną. A jeśli nie chcą rezygnować z luksusów, to mogą się zdecydować na austriacki projekt supernowoczesnego podwodnego jachtu Migaloo. Dwupoziomowa jednostka o długości 115 m spełnia standardy bezpieczeństwa amerykańskiej marynarki wojennej. Wyposażona jest m.in. w lądowisko dla helikopterów, kino, basen, siłownię oraz osiem apartamentów. Największą zaletą Migaloo jest jednak możliwość zejścia pod wodę na głębokość do 240 m. Niestety, to zabawka dla naprawdę bogatych, kosztuje ok. 2,3 mld dol. (9,2 mld zł). W sumie na pokładzie – oprócz kapitana – może się zmieścić 18 członków załogi i 36 gości. Jeśli ktoś ma większe potrzeby, to może zamówić u Austriaków podwodny jacht o długości nawet 283 m.

Mimo wysokich cen popyt na schrony dla najbogatszych prepersów świata jest ogromny. Trudno się dziwić. Wystarczy przecież rzut oka na słynny Zegar Zagłady – stworzony w 1947 r. przez naukowców Uniwersytetu Chicagowskiego, którzy co roku analizują aktualną sytuację na świecie, by oszacować, jak blisko końca cywilizacji znajduje się ludzkość. Kilka tygodni temu wskazówki przesunięto o 30 sekund w stronę północy. Dokładna godzina to więc obecnie 23.57.30. Tak źle nie było od 1953 r., gdy po serii testów nuklearnych przeprowadzonych przez Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki wskazówka znajdowała się jeszcze bliżej północy (dokładnie na 23.58). Mało kto pamięta więc już optymistyczną atmosferę panującą po zakończeniu zimnej wojny w 1991 r., gdy Zegar Zagłady wskazywał 23:43.

W ostatnim czasie w wielu regionach świata sytuacja stała się tak napięta, że grozi wybuchem otwartego konfliktu zbrojnego. Według najnowszego raportu Verisk Maplecroft najbardziej prawdopodobny jest w tym roku wybuch wojny między Stanami Zjednoczonymi a Iranem, między Turcją a Rosją, a także między Indiami a Pakistanem. Ryzyko we wszystkich tych przypadkach analitycy z Verisk Maplecroft oszacowali na 90 proc. Niewiele niższe, bo wynoszące od 80 do 90 proc. prawdopodobieństwo wybuchu wojny na pełną skalę dotyczy m.in. konfliktu między Rosją a Chinami, a także między Stanami Zjednoczonymi a Rosją oraz między USA a Turcją, krajem, który był niegdyś filarem NATO, a który po nieudanej próbie puczu i masowych czystkach w armii jest przez wielu ekspertów uważany za coraz większe zagrożenie dla stabilności sojuszu. Na 70–80 proc. analitycy Verisk Maplecroft oceniają zaś np. ryzyko wybuchu wojny na pełną skalę między Rosją a Ukrainą.

Pozostaje mieć jednak nadzieję, że skoro ludzkość przeżyła już setki zapowiadanych „końców świata", to i nam dane będzie uniknąć końca cywilizacji. Mądrzy przedsiębiorcy od wieków zarabiają zaś na strachu. I z pewnością nadal będą na nim zarabiać krocie, bo ostatnie wydarzenia na świecie tylko nakręcają popyt.

Knight XV FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

DŁUGO OCZEKIWANA, NOWA POWIEŚĆ AUTORA *PANA LODOWEGO OGRODU*

JAROSŁAW GRZĘDOWICZ

Wyobraź sobie, że jest pierwiastek, który stanowi niewyczerpane źródło energii.
Dwa tiry tego surowca starczą, by zapewnić energię elektryczną dla USA na cały rok.
Jest tylko jeden problem... Złoża znajdują się na Księżycu.
Świat, gdzie koncerny i rządy podzieliły się władzą w hodowaniu miliardów bezrefleksyjnych konsumentów, staje na krawędzi konfliktu.

patronat medialny
DO RZECZY
muzo.fm
wprost
Polskie Radio Lublin
KAWERNA
FANBOOK
poradnik
BOOKLIPS.PL
niestatystyczny.pl
PC Format
IGN
granice.pl
GILDIA.PL
FAHRENHEIT
POLTERGEIST
duzeka.pl
katedra
SZORTAL
DEMOTYWATORY.PL
eprasa.pl 2ca7fd0c41

Z Cezarym Stypułkowskim, prezesem mBanku
rozmawia Edyta Hołdyńska

Potrzeba zachęt do

EDYTA HOŁDYŃSKA: Geopolityka mocno odciska się na gospodarce. Obserwujemy ostatnio przejmowanie rządów przez konserwatystów. W USA mamy Donalda Trumpa, na Węgrzech Viktora Orbána, w kraju Jarosława Kaczyńskiego. Zauważa pan zmianę w samym podejściu do sektora bankowego?

CEZARY STYPUŁKOWSKI: Niewątpliwie mamy do czynienia z kontestowaniem paradygmatów funkcjonowania liberalnego modelu demokracji i gospodarki rynkowej. Dotyczy to nie tylko Polski oraz bankowości. Od pewnego czasu w odwrocie jest myślenie, które co najmniej przez ostatnich 30 lat organizowało rynki finansowe. Wynika to częściowo ze zmienionej narracji politycznej, częściowo zaś z pokryzysowych regulacji prawnych. W efekcie wiele uznawanych dotychczas dogmatów, np. konsensus waszyngtoński, jest dziś kwestionowanych. W kontrze do myślenia liberalnego znajduje się też narracja eksponująca negatywne skutki nierówności majątkowych i postulująca głębszą redystrybucję dochodów.

Nie do przecenienia są również głębokie zmiany technologiczne, gwałtownie wpływające na przyszłość wielu zajęć oraz strukturę pracy na świecie, również w bankowości. Myślę, że nie potrafimy jeszcze w pełni zrozumieć konsekwencji tych zmian.

Jakie zmiany są przed nami? I jak rewolucja technologiczna dotknie banki?

Niektórzy pracownicy zostaną dość szybko zastąpieni ro-

botami. Będzie zanikać popyt na proste czynności analityczne, rozliczeniowe i operacyjne. W bankowości rewolucja technologiczna już trwa. Mam wrażenie, że mBank jako instytucja finansowa jest jedną z najbardziej zaawansowanych technologicznie w swoim sektorze. I to nie tylko w wymiarze krajowym. Sposób funkcjonowania naszego banku jest w dużym stopniu oparty na aplikacji mobilnej i bankowości on-line. Nowy sposób funkcjonowania banków wymaga nowych kwalifikacji pracowników. Banki, które mają tradycyjną formułę oddziałową, są zagrożone.

A jakie zagrożenia płyną z zagranicy? Czy gospodarka jest odporna na szoki zewnętrzne?

Polskiemu sektorowi nic takiego nie zagraża, bo nie jest aż tak mocno powiązany ze światem zewnętrznym. Poza kredytami walutowymi. W niektórych bankach stanowią one znaczny odsetek aktywów. Jednak złoty jest słaby i nie ma dzisiaj rynkowych przesłanek jego dalszego osłabiania się. Poza tym kredyty w walutach są statystycznie dobrze spłacane, a przeciętna zdolność do obsługi tych kredytów przez klientów systematycznie rośnie. Jednocześnie poza PKO BP i mBankiem żaden inny bank nie jest uczestnikiem międzynarodowego rynku długu. Banki zabezpieczające ryzyko walutowe tych kredytów instrumentami rynkowymi mają duże depozyty. Dlatego szok zewnętrzny nie powinien stanowić zagrożenia dla krajowych banków.

Jednak Komitet Stabilności Finansowej i Komisja Nadzoru Finansowego cały czas alarmują, że kredyty frankowe są istotnym zagrożeniem dla stabilności sektora.

Wydaje mi się, że następuje stopniowy proces racjonalizacji podejścia do tego problemu. Poza dyskusją pozostaje to, że kredyty walutowe stanowią większe ryzyko dla banków. Dlatego od dawna muszą one odkładać więcej kapitałów własnych w celu zabezpieczenia tych kredytów.

Nie jest tak, że import kapitału w postaci franka szwajcarskiego był z gruntu zły. Rozwiązał znaczną część problemów mieszkaniowych Polaków w czasie, kiedy w Polsce nie było pieniędzy na sfinansowanie tych mieszkań. Jednak od czasu światowego kryzysu złoty przestał się umacniać, wręcz nastąpiło jego osłabienie i zmniejszenie stabilności. Miało to i nadal ma negatywne skutki dla kredytobiorców. Proszę jednak pamiętać, że stopy procentowe dla franka zostały jednak obniżone do historycznie niskich poziomów. Nawet jeżeli kredytobiorca widzi dzisiaj wyższą kwotę kapitału do spłaty po przeliczeniu na złote, to część odsetkowa jego raty jest istotnie niższa, niż mógł przewidywać. Można zakładać, że ostatecznie spłaci tyle, ile kredytobiorca złotowy. Dyskomfortem pozostaje większa niepewność wynikająca z ruchów kursowych i zmienności stóp procentowych.

Większość kredytobiorców była i jest w dobrej kondycji finansowej. W indywidualnych przypadkach mogą występować problemy ze sprawną obsługą kredytu. Takich przypadków nie jest jednak dużo, a ci nieliczni mogą liczyć na pomoc ze strony banków i Funduszu Wsparcia Kredytobiorców.

Ich ustawowe przewalutowanie to już raczej nierealne rozwiązanie, ale dość mocno zachwiałoby rynkiem. Czy mBank się tego obawia?

Na skutek trwającego od dwóch lat zgiełku towarzyszącego sprawie kredytów frankowych i pojawienia się licznych pomysłów ich przewalutowania na koszt banków (które KSF nazwał inwazyjnymi rozwiązaniami prawnymi) banki zajęły pozycję wyczekującą. Dzisiaj jakakolwiek inicjatywa ze strony sektora, stojąca na gruncie nienaruszalności zawartych umów, mogłaby zostać odrzucona w sytuacji oczekiwania na ekstremalne rozwiązania ustawowe. Dla nas najgorsza jest niepewność. Pomysłów było po drodze kilka, niektóre stanowiły zagrożenie dla banków, a w konsekwencji dla pieniędzy deponentów. Ostatnie decyzje KSF stabilizują myślenie na ten temat i stwarzają nadzieję na bardziej zdyscyplinowaną dyskusję. O problemach z kredytami we frankach często, choć nie wyłącznie, mówią ludzie, którzy zawładnęli wyobraźnią opinii publicznej dla obrony swoich interesów. Myślę szczególnie o tych, którzy spekulacyjnie zadłużyli się we frankach, kupując mieszkania na wynajem. Liczyli oni na korzystny splot zdarzeń makroekonomicznych, który się nie sprawdził. Inną aktywną grupą są prawnicy, których biznesem stało się tworzenie pozwów przeciwko bankom. Kredyty frankowe należą do pierwszych w Polsce, które mają tak długą perspektywę. Trzeba być ostrożnym, by nie zdemolować myślenia Polaków o długoterminowych zobowiązaniach. Trwający od kilku lat chaos wokół funduszy emerytalnych – innej postaci długoterminowych umów – też temu nie sprzyja.

A wicepremier Morawiecki mówi o odbudowie polskiego kapitału i szeroko kreśli plany na rozwój oszczędności. To się uda?

Pewne procesy z dzisiejszej perspektywy są nieodwracalne, dlatego muszą przebiegać inaczej. Otwarte fundusze emerytalne są w tej chwili w rozpadzie i to mi się nie podoba.

Pańskim zdaniem OFE można było uratować?

Brak dostatecznej determinacji w przeszłości do zbudowania powszechności III filaru postrzegam jako istotę porażki reformy emerytalnej i nieskuteczność w budowaniu krajowego kapitału. W pozytywnym scenariuszu na emeryturę składałyby się część „państwowa" z ZUS, pieniądze „wymuszone" w OFE oraz składki gromadzone w ramach solidarnościowego porozumienia przez pracownika i pracodawcę. Zarówno w Banku Handlowym, jak i w PZU stworzyliśmy takie fundusze – wiele osób jest dzisiaj ich beneficjentami.

W Polsce niezbędne jest zbudowanie lepszej infrastruktury emerytalnej i wypromowanie kultury oszczędzania. Pomysły premiera zmierzające w tym kierunku idą w dobrą stronę.

oszczędzania

FOT. MBANK

Ludzie jednak przestają wierzyć w ZUS.

Rodzące się dzisiaj pokolenia w rozwiniętych krajach będą żyć ok. 100 lat. To oznacza, że niedługo ludzie będą pracować do 70.–80. roku życia. Przy 100-letniej długości życia będziemy musieli odkładać na przyszłą emeryturę kilkanaście procent dochodu rocznie, by w ostatnich latach życia otrzymywać chociaż 50 proc. ostatniej wypłaty. Musi być do tego celu stworzona infrastruktura prawna i podatkowa. Prawdopodobnie nie ma wyboru i muszą to być oszczędności jakoś wymuszone. Inaczej czeka nas krach systemów emerytalnych z dramatycznymi skutkami.

Gdzie teraz warto odkładać pieniądze i jak naprawić polski system emerytalny?

Polacy nie mają naturalnej skłonności do oszczędzania. Mamy postpeerelowskie doświadczenie, gdy system emerytalny funkcjonował biednie, ale stosunkowo dobrze. Ludzie żyli znacznie krócej, było o wiele mniej świadczeniobiorców, mieliśmy ciągły napływ nowych pokoleń aktywnych zawodowo zdolnych sfinansować rosnące zobowiązania. Dzisiaj mamy rosnący problem – coraz mniej młodych aktywnych zawodowo będzie pracować na coraz większą populację emerytów.

Wobec osiągnięcia, jakim jest wydłużenie długości życia, niezbędne są zmiany w sferze systemowo-ekonomicznej. Inny musi być też sposób zorganizowania ludzi, którzy będą żyli na emeryturze znacznie dłużej niż ich rodzice. Przekracza to nasze dotychczasowe doświadczenia. Dlatego nie ma innej drogi, należałoby pomyśleć o silnych zachętach do oszczędzania na emeryturę.

Trzeba stworzyć jeszcze jeden filar?

Tak. Najrozsądniejsze rozwiązanie to nacisk na pracodawców, by stworzyli taki filar. Udział pracownika i pracodawcy byłby w tym rozwiązaniu powiązany. Kiedy pracowałem w Londynie, w JP Morgan działał system, w którym pracodawca wpłacał 10 proc. mojego wynagrodzenia na specjalny fundusz pracowniczy. Jeśli dopłaciłem ze swoich pieniędzy jeszcze 5 proc., to oni dopłacali kolejne 5 proc. Dzięki temu 20 proc. mojego bazowego wynagrodzenia trafiało do funduszu emerytalnego.

Jak sprawić, żeby Polacy uwierzyli, że te pieniądze będą na nich czekały, kiedy przejdą na emeryturę?

Poziom nieufności do wspomnianych już długoterminowych rozwiązań jest w Polsce duży i niestety rośnie. W banku widzimy to po preferencjach klientów w sprawie długości depozytów. Od lat przeważają krótkie. Częściowo są to kwestie kulturowe, które trzeba zmienić. Wyrastamy z doświadczeń inflacyjnych, nie mieliśmy też zachęt podatkowych skłaniających do oszczędzania. Jest też obawa przed tym, co przymusowe. A bieżące potrzeby sprawiają, że rezygnujemy z rozwiązań, które wymagają cierpliwości.

Tutaj pojawia się problem zbyt niskich wynagrodzeń Polaków. Jak go rozwiązać?

Nigdy nie jest tak, że wynagrodzenia są zbyt niskie, żeby oszczędzać. Spójrzmy na Azję, tam przy niższych dochodach stopa oszczędności jest nieporównywalnie wyższa niż w Europie. Czynnikami, z powodu których ludzie nie oszczędzają, są konsumpcjonizm i moda na życie „tu i teraz". Także optyka polityków jest stosunkowo krótka i ogranicza się do cyklu wyborczego. Myślenie Morawieckiego o dłuższej perspektywie jest zasadne. Pierwszy raz od czasów Hausnera ktoś się tym przejął.

Mamy sektor sprawny i silny. Wyrazem tego są znacznie wyższe wyceny polskich banków w porównaniu z tymi zachodnimi

A czy polski sektor bankowy jest silniejszy na tle światowym?

Mamy sektor sprawny i silny. Wyrazem tego są znacznie wyższe wyceny rynkowe polskich banków w porównaniu z tymi zachodnimi. Dobrym przykładem jest nasz bank, z dużym portfelem kredytów frankowych, który na wycenie odbija się przecież negatywnie. Mimo to nadal inwestorzy gotowi są płacić za nasze akcje 1,2 wartości księgowej, a więc więcej, niż wynikałoby ze składników bilansu banku. Tymczasem duże banki zachodnie mają wyceny na poziomie 0,4–0,6.

Nasz sektor jest dobrze skalibrowany jak na skalę polskiej gospodarki. I przyzwoicie zróżnicowany między aktywnością korporacyjną a detaliczną. Do tego banki w Polsce, w tym mBank jako lider rynku nowoczesnej bankowości, są dziś punktem referencyjnym dla świata w zakresie innowacji technologicznych. Mamy prawo być dumni.

A jak ocenia pan repolonizację Banku Pekao SA?

Jestem byłym aktywistą sprawy narodowej z drugiej połowy lat 90. Upominałem się w kontekście prywatyzacji tego właśnie banku o to, by przebudowę gospodarki w większym stopniu opierać na kapitale krajowym. W tamtym czasie zabiegałem o stworzenie na bazie Banku Handlowego i Pekao SA „flagowej instytucji o narodowej tożsamości". Sympatyzuję więc z nurtem myślenia prezentowanym w tej chwili przez wicepremiera. Oczywiście trzeba pamiętać, że minęło 20 lat i kontekst oraz okoliczności są inne.

Uważam, że udomowienie banków jest uzasadnione. Boję się jednak ich upaństwowienia. Władza państwa nad bankami rozumiana nie regulacyjnie, ale własnościowo, niesie zagrożenia, głównie w postaci udzielania kredytów na życzenie polityków. Może być im łatwiej użyć naszych oszczędności do rozwiązania bieżących problemów, zamiast sięgać po pieniądze budżetowe lub podwyższać podatki. Długoterminowo chodzi o to, żeby banki miały kompetentne i wolne od wpływów politycznych struktury zarządcze w Polsce. I to się w jakimś stopniu dzieje. Jako obywatel uważam, że casus Pekao SA to gwiazdka z nieba dla polskiej gospodarki.

A jak widzi pan konkurencję na polskim rynku? Czy będzie ostrzejsza?

Polski sektor jest bardzo konkurencyjny. Dość dobrze znam rynki w krajach naszego regionu. To rozproszenie, wielość banków, przynosi korzyści polskim klientom. Jest źródłem samoistnego procesu poszukiwania konkurencyjności i innowacyjności. Idealnie byłoby, gdyby obecny kształt polskiego sektora się utrzymał, ale nie sądzę, że będzie to prosta kontynuacja obecności dzisiejszych uczestników tego rynku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2ca7fd0c41

PAŁAC NA WODZIE

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu

Zarabiaj już dziś

7% stopa zwrotu

10 lat umowa najmu

14 dni pobyt właścicielski

Baseny termalne

Thermal SPA

Restauracja

Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy

22 299 11 44 apartamenty@palacnawodzie.pl apartamenty.palacnawodzie.pl

wprost

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.
Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Odyseja Morawieckiego

Stefan Sękowski

Niecały rok po ogłoszeniu planu Morawieckiego rząd wciąż nie przyjął Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju i jednocześnie realizuje sprzeczne z nią projekty. Czy pisanie tego dokumentu nie jest przypadkiem sztuką dla sztuki?

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Nie przyjęliśmy wczoraj tego dokumentu ze względu na to, że pewne poprawki jeszcze będą naniesione. On wymagał jeszcze doprecyzowania. Ja również zgłosiłam kilka zastrzeżeń – mówiła premier Beata Szydło 1 lutego podczas konferencji prasowej o Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju Mateusza Morawieckiego, dodając, że „nie spełniła do końca jej oczekiwań". W ten sposób szefowa rządu odłożyła czasowo na półkę dokument mający stanowić konstytucję polskiej polityki gospodarczej. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Jej autor, nieco poirytowany, stwierdził, że tak naprawdę chodzi o parę poprawek językowych, nad którymi pracują obecnie poloniści. Wcześniej, 17 stycznia, zdążył go przyjąć Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów, kierowany przez… samego Morawieckiego.

PLAN ANTY-BALCEROWICZA

Rzeczywiście pod względem stylistycznym strategię, którą można znaleźć na stronie Ministerstwa Rozwoju, czyta się ciężko. Jednak tydzień później okazało się, że nie tylko poloniści nad nią pracują. Jak powiedziała Beata Szydło, zmiany dotyczą m.in. energii atomowej, o którą spierają się ministrowie. Z jednej strony mamy ministra Morawieckiego, który jest jej wielkim zwolennikiem, z drugiej zaś ministra środowiska Jana Szyszkę, który woli stawiać np. na geotermię. Trzecią stroną sporu jest minister energii Krzysztof Tchórzewski (to w jego kompetencjach leży w końcu energetyka), który z jednej strony nie ma nic przeciwko budowie elektrowni jądrowej w Polsce, z drugiej – pod koniec stycznia ogłosił zawieszenie programu atomowego, ponieważ nie zgadza się z jego dotychczasowym modelem finansowania, a ponadto chce nadal stawiać

eprasa.pl

na rozbudowę elektrowni węglowych. Osoby zbliżone do Ministerstwa Rozwoju twierdzą, że za odwleczeniem w czasie przyjęcia strategii stoją ministrowie tych resortów, których uwagi nie zostały dostatecznie wzięte pod uwagę – i to nie tylko Szyszko czy Tchórzewski, lecz także np. minister obrony Antoni Macierewicz czy minister infrastruktury i budownictwa Andrzej Adamczyk. Czas jednak nagli, bo 16 lutego mija rok od ogłoszenia planu Morawieckiego, którego strategia ma być rozwinięciem. Jeśli SOR pozostanie do tego czasu jedynie projektem, to nie będzie to co prawda katastrofa, ale na pewno wizerunkowa porażka.

Mateusz Morawiecki jest swoistym anty-Balcerowiczem obecnej ekipy rządowej, a jego plan (i później strategia) miały być nową jakością, zrywającą z dotychczasowym modelem rozwoju. W tym tonie 16 lutego 2016 r. minister i wicepremier z wielką pompą przedstawił zbiór slajdów prezentujących jego wizję gospodarki oraz cel, jakim jest wyjście z pułapek, w które wpadliśmy, i „uwolnienie własnego potencjału dla odpowiedzialnego rozwoju Polski i podniesienia jakości życia Polaków". Pod koniec lipca z 66 slajdów zrobiły się 223 strony strategii, podanej jako projekt do konsultacji społecznych.

Myli się ten, kto twierdzi, że w ten sposób rząd Prawa i Sprawiedliwości odkrył Amerykę. Z formalnego punktu widzenia SOR to raptem aktualizacja średniookresowej strategii rozwoju kraju, której obowiązującą do tej pory wersję pod nazwą „Strategia Rozwoju Kraju 2020" rząd Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego przyjął w 2012 r. Tę trzeba było uchwalić, ponieważ wymaga tego ustawa o zasadach prowadzenia polityki rozwoju z 2006 r. Ten dokument nie był szczególnie promowany – dziś zresztą strategię Morawieckiego częściej przyrównuje się do raportu „Polska 2030. Wyzwania rozwojowe", jaki powstał w 2009 r. pod kierunkiem późniejszego ministra administracji i cyfryzacji Michała Boniego.

DOKUMENT CIĄGLE SIĘ ZMIENIA

Ten obiecywał w nim oparcie naszego rozwoju na modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnym, czyli takim, w którym gospodarkę państwa ciągną duże metropolie, z których dobrobyt (a przede wszystkim możliwości jego osiągnięcia) „skapuje" na mniejsze ośrodki. To z tym podejściem chce walczyć Mateusz Morawiecki, który stawia na rozwój bardziej rozproszony i „zrównoważony".

Gdy wczytamy się jednak w dokument, można dojść do wniosku, że jest to raczej strategia kontynuacji niż nowego startu w polityce gospodarczej. Czytelnik przyzwyczajony do druzgocącej krytyki ostatnich dwudziestu kilku lat, jaką serwują nam politycy Prawa i Sprawiedliwości, mógłby się zdziwić, że „przez ostatnie 10 lat polska gospodarka rozwijała się w relatywnie szybkim tempie, zwłaszcza na tle innych państw Unii Europejskiej", a także zdaniem o niskim bezrobociu czy wysokim udziale produkcji przemysłowej w PKB. Strategia rozjeżdża się z przekazem partii rządzącej nie tylko na poziomie diagnozy, lecz także recepty. Jest bardziej zachowawcza, krytykuje nadmierne wydatki publiczne, utrzymywanie kopalń ze względów de facto socjalnych, a także sugeruje przeprowadzenie „analizy przywilejów emerytalno-rentowo-kompensacyjnych". Z drugiej strony jednak widać duży nacisk na to, co w swym programie partia Jarosława Kaczyńskiego zawsze podkreślała: dążenie do wskazywania kierunków rozwoju gospodarczego prywatnym przedsiębiorstwom.

Nie ma jednak sensu rozwodzenie się nad projektem Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, gdyż ledwo człowiek zajął się jego czytaniem, już w obroty wzięli go pracownicy Ministerstwa Rozwoju, innych ministerstw, a także zespół zewnętrznych ekspertów związanych m.in. z Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego i Centrum Rozwoju Społeczno-Gospodarczego, przygotowujący jego „ewaluację ex ante" (czyli „przed wdrożeniem"), zamówioną przez sam resort. SOR była w rzeczywistości przez kolejne miesiące dokumentem, by pozostać przy łacinie, in statu nascendi, wielokrotnie zmienianym pod wpływem uwag doradców i życzeń poszczególnych ministrów. Największe zmiany zaszły we fragmentach dotyczących energetyki i spójności społecznej. Do tego stopnia, że w tym momencie właściwie nie wiadomo, jakie jest jej ostateczne brzmienie. Na prośbę o udostępnienie jej (m.in. z „atomowymi" korektami) usłyszeliśmy w Ministerstwie Rozwoju, że w tej chwili nie ma takiej możliwości i należy poczekać do jej przyjęcia przez radę ministrów. Warto jednak zauważyć, że – sądząc po pliku zamieszczonym na stronach MR – rozrósł się on do 294 stron.

Autorzy „ewaluacji ex ante" odnieśli się do obu dokumentów. Warto podkreślić, że oceniali w niej to, na ile narzędzia, jakimi chce się posłużyć Ministerstwo Rozwoju, odpowiadają celom, jakie chce osiągnąć – nie była więc to ocena samych celów czy idei przyświecającej ministrowi Morawieckiemu. Autorzy chwalą rozmach samej strategii, podkreślają, że proponowane w niej interwencje „trafnie odpowiadają na zdiagnozowane wyzwania i cele rozwojowe kraju", a całość jest spójna z polityką unijną (takie są wymogi). Jednocześnie czytamy, że co prawda strategia „jest dobrze przygotowanym dokumentem", jednak „za najsłabszy element strategii można uznać system jej realizacji". „Po likwidacji Rządowego Centrum Studiów Strategicznych nie ma w Polsce profesjonalnej instytucji wspierającej rząd w planowaniu i prowadzeniu działań strategicznych oraz taktycznych, niezbędnej w sytuacji przejmowania przez konkurentów zagranicznych ważnych ogniw łańcuchów wartości. W dużej mierze przedsiębiorcy są w tej kwestii pozostawieni samym sobie" – piszą autorzy raportu. Fundamentalny zarzut znajdziemy we „Wnioskach końcowych". „Na podstawie dostępnych przesłanek trudno jednoznacznie określić, jaką rolę przyznaje temu dokumentowi samo kierownictwo Ministerstwa Rozwoju z wicepremierem Mateuszem Morawieckim na czele" – czytamy.

CZYM JEST TA STRATEGIA?

Czym więc właściwie jest SOR? Na pewno nie tylko biurokratycznym dokumentem wymaganym przez ustawę, bo przeczy temu rozmach, z jakim jest promowana, nie jest też jednocześnie swoistą konstytucją polityki gospodarczej, bo ta powinna być uchwalona na samym początku rządzenia. Tym bardziej że praktyka pokazuje, iż Mateusz Morawiecki sobie, a Beata Szydło – sobie. Chociaż SOR wyraźnie przestrzega przed obniżaniem wieku emerytalnego, rozdętymi wydatkami socjalnymi czy dotowaniem nierentownych kopalń, to rząd działa w dokładnie odwrotnym kierunku. Z drugiej strony część zapisów (zaprezentowanie Konstytucji Biznesu, uchwalenie ustawy o innowacyjności) jest już realizowana, i to bez zatwierdzenia strategii. Zapewne w końcu strategia zostanie przyjęta. Jednak czy w związku z tym cała ta pompa była potrzebna?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Druga wojna

Łukasz Zboralski

Polska wyrosła na europejskiego giganta przewozów drogowych. Rosja od dawna walczy z naszymi firmami, a teraz nóż w plecy wbijają nam kraje UE

Położenie między Niemcami a Rosją w przeszłości było dla nas wyłącznie przyczyną problemów. W jednym przypadku potrafiliśmy to przekuć na korzyść. I to olbrzymią. Polska branża transportowa – łącząca Wschód z Unią Europejską – rozwijała się tak dynamicznie, że zdominowaliśmy europejski rynek.

Od wejścia do UE w 2004 r. przez dekadę przybywało polskich ciężarówek i wydłużały się ich europejskie trasy. Do 2014 r. całkowita praca przewozowa wykonywana przez polskie firmy wzrosła o 69 proc., a udział w przewozach między Polską a innymi krajami oraz na trasach zagranicznych powiększył się z 24,5 proc. do 41,6 proc.

Z gracza średniej wielkości w ciągu 10 lat staliśmy się w Unii Europejskiej transportowym potentatem. I wciąż rośniemy w siłę. Wśród samochodów przewożących towary między różnymi państwami UE co trzecia ciężarówka jest dziś polska. Udział w tym segmencie rynku z poziomu 8,8 proc. w 2004 r. wzrósł aż do 34,1 proc. w roku 2015. Do polskich firm należy też jedna trzecia rynku przewozów kabotażowych, czyli przewozów wewnątrz jednego kraju wykonywanych przez firmę z innego państwa. Gdy dołączaliśmy do Unii, polskie firmy miały w rękach 4,1 proc. tego rynku. Po 11 latach do nas należy aż 36 proc. kabotażu.

Silna pozycja Polski musiała być solą w oku dla innych. Na pewno dla Rosji – to oczywiste. Okazało się jednak, że i dla naszych kolegów z UE. Nic bardziej nie obnażyło pustki stwierdzeń o wspólnych unijnych wartościach i wspólnym rynku niż sprawa przewoźników. Gdy chodzi o wielki interes, liczą się tylko pieniądze i spryt. Unijni „przyjaciele" grają wtedy kartami, których Polska od początku nie nauczyła się rozdawać – regulacjami. Wielcy gracze od dawna branżowymi przepisami, homologacjami i technicznymi wymogami zabezpieczają swoje interesy. W wielu krajach, choćby w Niemczech, rynek jest tylko pozornie wolny. Obcym jest bardzo trudno na niego wkroczyć. Nad Wisłą takie myślenie do dziś prawie nie istnieje.

PIERWSZE STARCIE

Część polskich firm transportowych wyspecjalizowała się w obsłudze przewozów na Wschód. Kierowcy z Europy Zachodniej właściwie tam nie jeżdżą. W przewozach do Rosji lub dalej – do Azji – konkurujemy z rosyjskimi przewoźnikami.

Moskwa bezwzględnie walczy o swoich przedsiębiorców i stosuje różne chwyty. Jednym z nich było wprowadzenie regulacji uderzających w polskie firmy – Rosjanie zaczęli inaczej interpretować tzw. przewóz z krajów trzecich, na który wymagane są oddzielne zezwolenia. Ich zdaniem jeśli towar został wyprodukowany przez zagraniczną firmę w Polsce, to przewóz nie odbywa się z Polski, tylko z kraju macierzystego tej firmy.

Na początku ubiegłego roku Rosja licytowała mocniej. Wygasły roczne limity zezwoleń dla polskich i rosyjskich przewoźników, a z podpisaniem nowego porozumienia zaczął być problem. Przez pewien okres Polacy nie mogli wjechać tam z towarami, a będący w trasie zaczynali mieć niewiele czasu na konieczny powrót. Ostatecznie porozumienie podpisano i przydzielono nowe limity przewozowe. Rosja swoich przepisów zdecydowanie jednak nie wycofała i w każdej chwili może rozpętać kolejny spór o tzw. przewóz z krajów trzecich.

W tym samym czasie polscy przewoźnicy walczyli już na drugim froncie – z krajami UE, które postanowiły ograniczyć konkurencję na swoich rynkach. Niemcy pod szczytnymi hasłami ochrony socjalnej uznały, że płaca minimalna w ich sektorze transportowym powinna też obowiązywać kierowców z zagranicznych firm w czasie, gdy przejeżdżają przez ich kraj. Ustawa MiLoG, która weszła w życie od stycznia 2015 r., nagle zobowiązała też polskie firmy transportowe do płacenia kierowcom za godzinę pracy na terytorium Niemiec 8,5 euro brutto (od stycznia tego roku stawka wzrosła do 8,84 euro).

eprasa.pl 2ca7fd0c41

transportowa

Nie trwało długo, gdy takie samo działo prawne, głównie przeciw polskim transportowcom, wytoczyli Francuzi. Ich regulacja zakłada, że od 1 lipca 2016 r. kierowca z zagranicznej firmy jadący przez Francję powinien dostawać za godzinę 9,67 euro.

Kolejny cios nadszedł z Austrii. Oficjalnie wszystko znów odbyło się w trosce o pracowników i przeciw dumpingowi płacowemu. Od stycznia tego roku kierowca wykonujący pracę na terenie Austrii ma dostawać minimalnie za godzinę 8,49–10,50 euro. Za nieprzestrzeganie tych przepisów pracodawcy może grozić kara sięgająca 50 tys. euro.

OTWARTY KONFLIKT

Polacy próbują walczyć z tym ograniczaniem wolnego rynku na forum europejskim. – Problem w tym, że brakuje współpracy między rządem a naszymi przedstawicielami w ciałach europejskich – ocenia Maciej Wroński, prawnik, prezes organizacji Transport i Logistyka Polska. – I to rzutuje na efekty działań. O ile bowiem różni europosłowie podejmują w tej sprawie inicjatywy, o tyle o tym, by zrobili to razem, już nie ma mowy. Tak samo oddzielnie działa rząd i oddzielnie komisarz ds. rynku wewnętrznego oraz usług – Elżbieta Bieńkowska. Mnie to martwi, bo chciałbym, żeby to było pełne współdziałanie ponad interesem politycznym.

Na razie rozstrzygnięcia nie ma. Komisja Europejska wszczęła wprawdzie procedury naruszeniowe wobec Niemiec i Francji, bo uznała, że ich regulacje naruszają wolność świadczenia usług i przepływu dóbr w UE. Do tej pory trwa jednak wymiana informacji między unijnymi urzędnikami a zainteresowanymi krajami. Korespondencja nie jest jawna. Trudno spodziewać się jednak korzystnych rozstrzygnięć, bo na koniec stycznia osiem unijnych krajów i Norwegia już otwarcie wystąpiły przeciw konkurencyjnym przewoźnikom z innych krajów – a biorąc pod uwagę udział polskich firm w tej branży, wystąpiły przeciw Polsce.

Francja, Niemcy, Austria, Belgia, Dania, Włochy, Luksemburg, Szwecja i Norwegia podpisały porozumienie nazwane Sojuszem Drogowym. Oficjalnie znów chodzi o dobro pracowników zatrudnionych w transporcie. A nieoficjalnie – o wypchnięcie polskich firm z rynku. To bowiem polscy kierowcy jeżdżą w najdłuższe trasy. W innych krajach związki zawodowe wynegocjowały zakazy i np. francuski szofer może jechać z ładunkiem zaledwie 300–400 km. Tymczasem jedno z założeń Sojuszu Drogowego zakłada wprowadzenie zakazu odpoczywania w weekend w kabinie samochodów na parkingach w ramach obowiązkowej 45-godzinnej przerwy po tygodniu pracy. Na odpoczynek kierowcy mieliby wracać do swoich krajów.

– Traktuję to porozumienie jako zdarcie pewnej zasłony, bo działania tych ministrów transportu z dziewięciu krajów obserwujemy przecież od dwóch lat i mogliśmy podejrzewać, że istnieje jakieś porozumienie – komentuje Maciej Wroński z TLP. – Teraz te kraje odsłoniły przyłbice i zapowiedziały, że będą wprowadzały własne porządki. To jest rzecz groźna i niespotykana, podważająca sposób wypracowywania decyzji w UE. To jest wstrząs – dodaje.

Zdaniem Wrońskiego porozumienie dziewięciu ministrów transportu to tani populizm, korzystny dla zachodnich polityków przed zbliżającymi się wyborami we Francji i w Niemczech. – Od tego odwrotu nie będzie i tak jak z Brexitem nikt się potem z tych decyzji nie będzie mógł wycofać – przewiduje. – Oznacza to, że czeka nas szaleństwo, które spowoduje demontaż podstaw gospodarczych Unii Europejskiej i wymiany towarowej. To się odbije na wzroście gospodarczym i konkurencyjności europejskiej gospodarki. A zapłacą za to ludzie, konsumenci, czyli ci, o których pod hasłami socjalnymi politycy z tych krajów UE niby się troszczą – kończy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z raportu „Rynek pracy kierowców w Polsce", PwC, TLP 2016.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

PIOTABYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Oto prawdziwa afera

Polska jest jedynym państwem w Europie Środkowej, w którym do tej pory nie przeprowadzono systemowej reprywatyzacji, czyli nie uchwalono ustawy o zwrocie majątku zagrabionego w PRL ani jej nie wykonano.

Tymczasem po wybuchu ostatniej afery reprywatyzacyjnej – której to już z rzędu? – niemało, a nawet bardzo dużo dzieje się wokół reprywatyzacji, ale znowu niewiele, by nie napisać: zgoła nic, wokół ustawy reprywatyzacyjnej.

No bo tak: Centralne Biuro Antykorupcyjne prowadzi – i bardzo dobrze, że prowadzi – szeroko zakrojone śledztwo, gromadzi materiały, przesłuchuje świadków, są już pierwsze aresztowania podejrzewanych o reprywatyzacyjne przekręty, a minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro obiecuje ostateczne położenie kresu działaniom prawniczo-urzędniczej mafii żerującej na reprywatyzacji. To z jednej strony. A z drugiej – trwają skomplikowane prace nad powołaniem reprywatyzacyjnej komisji weryfikacyjnej o rzadko spotykanych w ramach jednej instytucji kompetencjach. Komisja ta ma mieć bowiem władzę na poły administracyjną, na poły prokuratorską, a na poły niemal sądowniczą, tak czy owak – ogromną, ale też, jak rozumiem, skierowaną w przeszłość, bo ma się zajmować wyłącznie tym, co już zreprywatyzowano lub „zreprywatyzowano", oddzielając właściwe decyzje od niewłaściwych – przestępczych, „dzikich" – i starając się unieważnić te drugie.

No i wszystko ładnie, pięknie. Jednak co z dokończeniem w Polsce procesu reprywatyzacji? Co ze zwrotem zagrabionych w PRL nieruchomości – tych, których do dziś nie oddano prawowitym właścicielom lub ich spadkobiercom i których jeszcze nie zdążyła przechwycić mafia prawniczo-urzędnicza? Co z odszkodowaniami dla tych, którym z takich czy innych powodów nie uda się zwrócić nieruchomości?

Czy poszkodowani byli właściciele i ich spadkobiercy – dochodząc sprawiedliwości – nadal będą musieli przedzierać się przez polską urzędniczą dżunglę i toczyć niekończące się sądowe potyczki? Czy też obecne władze Rzeczypospolitej – rząd PiS i prezydent Duda – wreszcie doprowadzą do tego, czego nie potrafiły uczynić wszystkie poprzednie, i przyjmą ustawę reprywatyzacyjną, która raz na zawsze rozwiąże ten wiszący nad Polską, potężny problem i zarazem skandal?

Albowiem, prawdę mówiąc, przy gigantycznej aferze reprywatyzacyjnej, jaką jest nieprzyjęcie przez ponad ćwierć wieku i niezrealizowanie ustawy reprywatyzacyjnej, wszystkie inne obserwowane przez nas afery reprywatyzacyjne, włącznie z tą ostatnią – ogromną warszawską – są w istocie jedynie aferkami. I nie byłoby żadnej z nich, gdyby u progu III RP właścicielom oddano to, co im w PRL bezprawnie zabrano. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Rządy algorytmów

Algorytm komputerowy pokonał mistrza Europy w grę „Go" 5:0. Komputer Watson wygrał turniej, w którym odpowiada się na skomplikowane pytania z różnych dziedzin. Samochody prowadzone przez uczące się komputery niedługo będą jeździły lepiej i bezpieczniej niż ludzie. Najciekawsze jest to, że coraz częściej algorytmy uczą się bez udziału człowieka i osiągają umiejętności dla niego niedostępne. Na przykład samouczący się algorytm w grze „Go" po pewnym czasie wymyślał ruchy, które były olbrzymim zaskoczeniem dla największych ekspertów tej gry.

Coraz częściej algorytmy uczą się bez udziału człowieka i osiągają umiejętności dla niego niedostępne

Jesteśmy na początku postępu naukowego, w którego wyniku algorytmy staną się o wiele sprawniejsze od ludzi w podejmowaniu decyzji, które będą znacznie „lepsze" niż decyzje ludzi, w tym największych ekspertów. To prowadzi do poważnych pytań. Co oznacza „lepszy"? Może oznaczać lepszą diagnozę choroby, dzięki czemu algorytmy będą leczyć ludzi skuteczniej niż najlepsi lekarze. Słowo to może także oznaczać lepsze techniki produkcji, dzięki czemu konsumenci otrzymają lepsze i tańsze towary.

Same algorytmy też mogą określać kryteria „lepszości". Skoro uczą się bez udziału człowieka, to proces ten może przebiegać według kryteriów określonych przez same algorytmy, kierujące zachowaniami komputerów, urządzeń podłączonych do Internetu czy samochodów bez kierowcy. Na przykład gdy autonomiczny samochód „dostrzeże" przechodnia na drodze i nie będzie w stanie zahamować, może mieć do wyboru: przejechać przechodnia lub gwałtownie skręcić, uderzyć w ścianę i uśmiercić kierowcę. Jaką decyzję podejmie? Czy na podstawie wieku (ocalić młodszego), jego stanu majątkowego (uśmierci biedniejszego, po szybkim sprawdzeniu podatkowej bazy danych), czy na podstawie liczby punktów lojalnościowych zebranych w programie prowadzonym przez twórcę algorytmu? A może podejmie decyzję, która maksymalizuje zyski firmy?

Jak daleka jest droga od rekomendacji, które dla nas przygotowuje algorytm (kupiłeś dany produkt, zobacz, czy nie chciałbyś kupić innego), do zmuszenia człowieka do pewnych zachowań. Na przykład zła dieta może prowadzić do odmowy zawarcia ubezpieczenia na życie. Drzwi do firmy nie otworzą się zaś, jeżeli przyszedłeś po mocno zakrapianej imprezie. Nie wiem, czy świat, w którym decyzje podejmują algorytmy, będzie lepszy dla zwykłych, wolnych ludzi. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Jaki program informacyjny oglądasz o 19:00?

Włącz TV Republika. Zobacz rzetelne informacje.

republika

Główne Wydanie informacji również w Internecie ZA DARMO.

www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 2ca7fd0c41

TEST „DO RZECZY": DELL INSPIRON 7559

Minimalistyczny, nierzucający się w oczy design laptopa może być mylący. Wystarczy jednak nieco dokładniej przyjrzeć się czarnej obudowie z tworzywa sztucznego z dyskretnymi czerwonymi wstawkami i wyraźnym grillem wentylatorów, aby domyśleć się, że nie jest to typowy model biznesowy, lecz zabawka, która może posłużyć do czegoś więcej niż tylko sprawne pisanie nudnych notatek czy obsługa arkuszy kalkulacyjnych.

Chociaż Inspiron 7559 nie jest typowym komputerem gamingowym – czyli wielkim, ciężkim i głośnym komputerem ze zdobieniami krzyczącymi niczym nastolatki na koncercie Justina Biebera – to szybki procesor Intel Core i7 szóstej generacji (6700HQ), wydajna karta graficzna GeForce GTX 960M oraz 8 GB pamięci RAM sprawiają, że dobrze radzi sobie jako laptop multimedialny. Może więc posłużyć do amatorskiej obróbki foto lub wideo. Na tym modelu uruchomimy też takie gry jak „Wiedźmin" i „Grand Theft Auto V". Przyzwoite głośniczki stereo z subwooferem pozwalają zaś na przyjemne oglądanie filmów i słuchanie ścieżek dźwiękowych w grach, nawet gdy wentylatory zaczynają udawać wirnik helikoptera.

Zaletą tego modelu jest też łatwość, z jaką można zajrzeć „pod maskę", aby np. wymienić niektóre podzespoły lub po prostu wyjąć baterię, której dni dobiegły już końca.

Inspiron 7559 jest smukły jak na laptop gamingowy (jego wymiary to 25,3 mm x 383 mm x 265 mm) i choć nie jest – rzecz jasna – tak poręczny jak ultrabooki, to bez trudu zmieścimy go do torby. Waga 2,60 kg również do piórkowych nie należy, ale biorąc pod uwagę, że typowy model dla graczy Alienware 15 waży 4,8 kg, to i tak nie ma co narzekać. Bateria przy normalnym użytkowaniu powinna wystarczyć na pięć–sześć godzin.

Testowany egzemplarz miał matową, niedotykową matrycę IPS o przekątnej 15,6 cala i rozdzielczości Full HD (1920 x 1080). Kontrast jest przyzwoity. Gama kolorów jest zupełnie wystarczająca dla graczy, ale może się okazać zbyt mała dla osób, które na poważnie zajmują się obróbką grafiki czy edycją filmów. Wadą tego wyświetlacza jest również zbyt mała maksymalna jasność ekranu.

Podświetlana klawiatura sprawuje się dobrze, chociaż jej środkowa i górna część uginają się pod większym naciskiem. Co prawda szczególnie nie przeszkadza to w pracy, ale może irytować. Szkoda również, że nie można regulować intensywności podświetlenia. Pracę biurową ułatwia wydzielona klawiatura numeryczna. Chropowaty gładzik działa przyzwoicie, ale zintegrowane z nim przyciski znów potrafią irytować.

Laptop jest wyposażony m.in. w złącze HDMI, slot na karty SD oraz w trzy porty USB 3.0. Brakuje niestety wejścia USB-C czy Thunderbolt 3. Mimo kilku minusów Inspiron 7559 to ciekawa propozycja dla osób, które szukają dobrego multimedialnego laptopa, ale nie chcą wydawać na niego dwóch średnich krajowych. Cena tego modelu zależy od konfiguracji. Model z dyskiem magnetycznym o pojemności 1 TB, 8 GB pamięci RAM i ekranem Full HD kosztuje ok. 3,9 tys. zł. Jeśli wybierzemy droższy dysk SSD, 16 GB RAM i dotykowy ekran o rozdzielczości 4K, to cena wzrośnie do ok. 5,4 tys. zł.

Jacek Przybylski

ODROBINA AUTONOMII

W państwie rządzonym przez PiS (gdzie – jeśliby oczywiście uwierzyć dziennikarzom z Czerskiej – bojówki ONR-owców uzbrojone w sfinansowany przez Kościół ciężki sprzęt w postaci kropideł czają się za każdym rogiem, dybiąc na niewinne lewicowe owieczki) marzy się wam odrobina ziemi i autonomiczność? Chociaż tyciutka? Na początek można zacząć od kawałka ziemi w autonomicznej doniczce. Tak, wiem, rozumiem, nie o to z autonomią chodziło, ale nie od razu przecież Kraków zbudowano. Zbudowana za to przez konstruktorów GrowBot, czyli autonomiczna doniczka, to bardzo przydatne urządzenie dla każdego, kto w miejskiej dżungli chce mieć kawałek zieleni. GrowBot to samodzielnie funkcjonujący zaawansowany system dozoru i pielęgnacji rośliny, monitoruje zawartość gleby, stężenie minerałów, wilgotność i – jeśli zajdzie taka potrzeba – samodzielnie podleje krzaczek. Do tego oczywiście dochodzi specjalna aplikacja na smartfon, pozwalająca na monitorowanie funkcjonowania systemu, analizę zebranych danych, wprowadzenie niezbędnej korekty itd. Doniczki GrowBot przygotowano w różnych rozmiarach, pod różnego rodzaju uprawy – od roślinek (medyczna marihuana odpada) do minidrzewek. Na rynek trafią w kwietniu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZAPISANI

Kto wie, czy gdyby TW „Bolek" miał taki długopis, może do dziś nikt nie zidentyfikowałby jego podpisu... À propos, ktoś jeszcze poza tymi, którzy muszą podpisywać dokumenty czy zeznania podatkowe, pisze jeszcze „ręcznie"? Jeśli tak, to tego długopisu z pewnością nie wyrzuci, co pewnie wielu robi, gdy wyczerpie się wkład. Refyne P1 to bowiem pierwszy na świecie długopis modularny wykonany ze stopów tytanu. Waży 48 gramów, a jego wymiary to 118 x 14 mm. Uzbrojony jest we wkład kulkowy Lamy M22 i wodoodporną latarkę o długości 49,5 mm ważącą 22 gramy i połączoną z obudową specjalnym magnesem. Producenci przekonują, że Refyne P1 to niemal niezniszczalny długopis, dlatego jego cena będzie wysoka – ponad 400 zł.

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 2ca7fd0c41

Daj się obedrzeć ze skóry (cz. II)

Mówiąc o peelingach, warto wymienić niektóre z nich.

Najczęściej używane do zabiegów (peelingów) powierzchownych są: kwas glikolowy, mlekowy, migdałowy, niższe stężenia TCA i inne. Ich działanie jest delikatne (chociaż mogą być przykre niespodzianki). Zabiegi takie zwykle bywają powtarzane co jakiś czas. Końcowy efekt jest kumulacją powtarzanych zabiegów.

Najbardziej stosowanymi peelingami średnio głębokimi są kwas TCA (trójchlorooctowy) w stężeniu powyżej 20 proc oraz liczne jego mieszanki z innymi kwasami. W tym przypadku łuszczenie skóry jest bardziej zaznaczone, trwa zwykle kilka dni, stąd istotne jest właściwe postępowanie pozabiegowe.

Peelingi głębokie oparte są głównie na fenolu. Mogą one z jednej strony dawać spektakularne efekty odmłodzenia, a w niedoświadczonych rękach powikłania. Są używane dosyć rzadko. Głównymi wskazaniami do chemicznego złuszczania jest poprawa jakości skóry (poszarzała, mniej elastyczna), jej odświeżenie, pojawiające się małe zmarszczki, różnego rodzaju przebarwienia (im głębiej położone, tym mocniejszy musi być peeling), niektóre postacie trądziku.

Przed peelingiem konieczne jest przeprowadzenie wywiadu z pacjentem, wykonanie check-up skóry (poznanie jej cech, takich jak: stopień zestarzenia, nawilżenie, fototyp, elastyczność etc.), określenie, z jakimi defektami estetycznymi mamy do czynienia.

Nierzadko konieczne jest specyficzne przygotowanie skóry do zabiegu zarówno w gabinecie, jak i w domu.

Po każdym peelingu trzeba ściśle przestrzegać zaleceń lekarskich. Należą do nich m.in: intensywne nawilżanie skóry, unikanie promieniowania słonecznego i lamp UV, nie korzystanie z saun unikanie dużych mrozów i absolutny zakaz „pomocy" w usuwaniu skóry lub tworzących się czasami strupów. Bezpośrednio przed zabiegiem nie powinno się opalać, czy narażać skóry na działanie innych czynników, takich jak laser, IPL, dermabrazje etc. Mogą one spowodować niekontrolowane działanie nawet niewinnej substancji.

Przeciwwskazaniem do zabiegu są aktywne zmiany na skórze (np. bakteryjne lub wirusowe-herpes), ciąża, niektóre choroby oraz przyjmowanie pewnych leków (spytać lekarza).

Peelingi są wartościowym zabiegiem w medycynie estetycznej. Ich zastosowanie w racjonalny , poprzedzony właściwą diagnostyką sposób, daje dobre przewidywalne efekty, a stosunkowo rzadko pojawiające się objawy uboczne (zaczerwienienie, przebarwienia, alergie etc.) mijają przy prawidłowym postępowaniu.

Istotną zaletą peelingów jest ich umiarkowana cena. A więc dajmy się od czasu do czasu obedrzeć ze skóry.

dr Andrzej Ignaciuk
– prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej i Anti-Aging PTL
www.drignaciuk.pl

NOWOŚĆ
AntiAging
DR.CYJ HAIR FILLER
Hair cell and scalp revitalization
Pierwsza na świecie peptydowa terapia włosów
Spektakularne efekty już po 2 miesiącach! Tylko 4 sesje co 2 tygodnie!
Rekomendowany dla kobiet i mężczyzn
Rewolucyjna formuła siedmiu peptydów i kwasu hialuronowego
• Powstrzymuje wypadanie włosów
• Skuteczny w walce z alopecją
• Przyspiesza odrost włosów
• Pogrubia i zagęszcza włosy
• Pobudza krążenie i poprawia ukrwienie skóry głowy
• Rewitalizuje mieszki włosowe
• Pielęgnuje skórę głowy
• Wzmacnia włosy przed i po przeszczepie
pogrubianie
pielęgnacja
odbudowa
wzrost
blask
zagęszczanie
rewitalizacja
DR.CYJ
Hair Filler
Technologia przedłużonego uwalniania i wnikania substancji aktywnych - działa jeszcze 14 dni po aplikacji
Dekapeptyd-10; Oktapeptyd-11; Oktapeptyd-2
• Pobudzenie angiogenezy w obrębie mieszków włosowych
• Zahamowanie apoptozy
• Stymulacja wzrostu włosa
Dekapeptyd-18; Dekapeptyd-28
• Aktywacja wzrostu włosa poprzez białka Wnt
• Pobudzenie komórek macierzystych
• Namnażanie keratynocytów
Oligopeptyd-54; Oligopeptyd-71
• Zablokowanie wpływu DHT powodującego łysienie
• Zatrzymanie wypadania włosów
• Przywrócenie pigmentacji włosów
Generalny Importer na Polskę:
AntiAging Institute Sp. z o.o.
ul. Królowej Marysieńki 9 lok. 14
02-954 Warszawa, tel./fax: 22 842 06 94
www.AntiAging.com.pl
AntiAging

eprasa.pl 2ca7fd0c41

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Jadło słowiańskiego drwala

Wycinkę najlepiej robić w środku zimy; drzewa mają wtedy mało soków, więc łatwiej je suszyć i sezonować. To ciężka praca, a we wczesnym średniowieczu bywała mordercza – zwłaszcza ten jej etap, który obecnie nazywa się zrywką drewna, czyli ściąganie powalonych kłód z lasu na drogę. Nawet dziś w niedostępnych miejscach i górach wykonują to czasem konie.

Tysiąc lat temu drwal musiał dobrze się najeść, na szczęście kuchnia dawnych Słowian bywała zarówno mięsna, jak i pożywna. Wiemy o tym dzięki archeologicznym odkryciom – dawnym paleniskom, pozostałościom chat i kości zwierząt. Jak podaje Małgorzata Krasna-Korycińska, archeolog i muzealnik, nasi przodkowie często jadali świnie tuczone przez dwa lata. Ich szynki bywały cenione; zdarzało się, że oddawano je jako daninę albo używano ich jako towar zamienny. Najcenniejszą częścią zwierzęcia była oczywiście słonina – można ją było długo przechowywać. Wołowinę spotykano dużo rzadziej – krowy hodowano na mleko, natomiast powszechnie jadano: kury, gęsi, kaczki i gołębie. Prawie nie jedzono za to koniny – wierzchowce były zbyt drogie, nawet jako zwierzęta do pracy w polu. Mało jadano też baraniny i koźliny.

Źródła historyczne przekazują wiadomości o samej kulturze jedzenia. Przed obiadem stoły nakrywano chustami, a do jedzenia mięsa używano szpili, które dziś znajduje się w wielu stanowiskach archeologicznych – najprawdopodobniej nadziewano na nie kawałki mięsa i odkrajano je od reszty. Jadło kładziono na podpłomykach pełniących funkcję talerzy albo spożywano je wprost ze szpikulców.

Społeczeństwo Królestwa Polskiego za czasów pierwszych Piastów składało się m.in. z warstwy konnych wojowników – wczesnośredniowiecznych rycerzy – i tzw. wolnych, stanowiących większość społeczeństwa. Należy sądzić, że mimo obowiązujących danin jako posiadacze gospodarstw jadali sporo mięsa. Mięsne jadło słowiańskiego drwala obejmowało przede wszystkim polewki z wieprzowiną, wołowiną, kaszą jęczmienną, z dodatkiem jajek, cebuli i marchwi. Mięso krajano drobno, obtaczano w mące, podsmażano w glinianym garnku, chyba że ktoś dysponował luksusową płytką patelnią znaną ze Śląska (o ile oczywiście to była patelnia, a nie środek płatniczy), dolewano wody i dorzucano resztę składników.

Słowianie znali mięsa i drób pieczone w glinianych garnkach, które wstawiali w ognisko albo do pieca. Pokrojoną wołowinę lub świninę wkładano do garnka wyłożonego liśćmi chrzanu i słoniną na dnie. Dorzucano warzywa i masło. Garnek zakrywano i wstawiano do pieca albo po prostu w ognisko.

Drób często pieczono w glinie – oblepiano nią wypatroszonego ptaka, dorzucając do środka nieco masła, cebuli albo słoniny, najpierw suszono taką „bułę" przy ogniu, a kiedy glina stwardniała, wrzucano na węgle lub w płomienie. Kiedy zmieniła się w skorupę – wyciągano ją i tłuczono. ©℗

FOT. FOTOLIA

Boczek w liściach mięty

Jest to potrawa odtworzona przez archeologów eksperymentalnych: Hannę i Pawła Lisów w „Kuchni Słowian". Najpierw kroimy boczek na kawałki ważące każdy blisko pół kilograma, obieramy główkę czosnku i tniemy w słupki. W moździerzu lub garnku ucieramy po szczypcie kolendry, kminku i jałowca. Boczek nacinamy nożem i szpikujemy jałowcem oraz czosnkiem. Nacieramy mięso ziołami zmieszanymi z solą, obkładamy gałązkami mięty, obwiązujemy sznurkiem. Wieszamy nad ogniem lub układamy na grillu, aby piekło się pomału, co jakiś czas obracamy. Możemy też upiec w piekarniku (przez godzinę w temperaturze 180 st. C).

Bób z mięsem

Gliniany garnek wykładamy liśćmi chrzanu, a na dół wrzucamy plasterki słoniny. Obieramy 1 kg bobu, siekamy drobno pół kilograma wieprzowiny, kroimy w kostkę trochę boczku, który osobno podsmażamy wraz z kilkoma ząbkami czosnku. Potem mieszamy wszystko, wkładamy do garnka i przykrywamy plastrami słoniny oraz liśćmi chrzanu. Pieczemy albo w piecu ziemnym, albo ok. godziny w piekarniku w temperaturze 180–200 st. C.

eprasa.pl 2ca7fd0c41

MocArty
RMF CLASSIC
2016

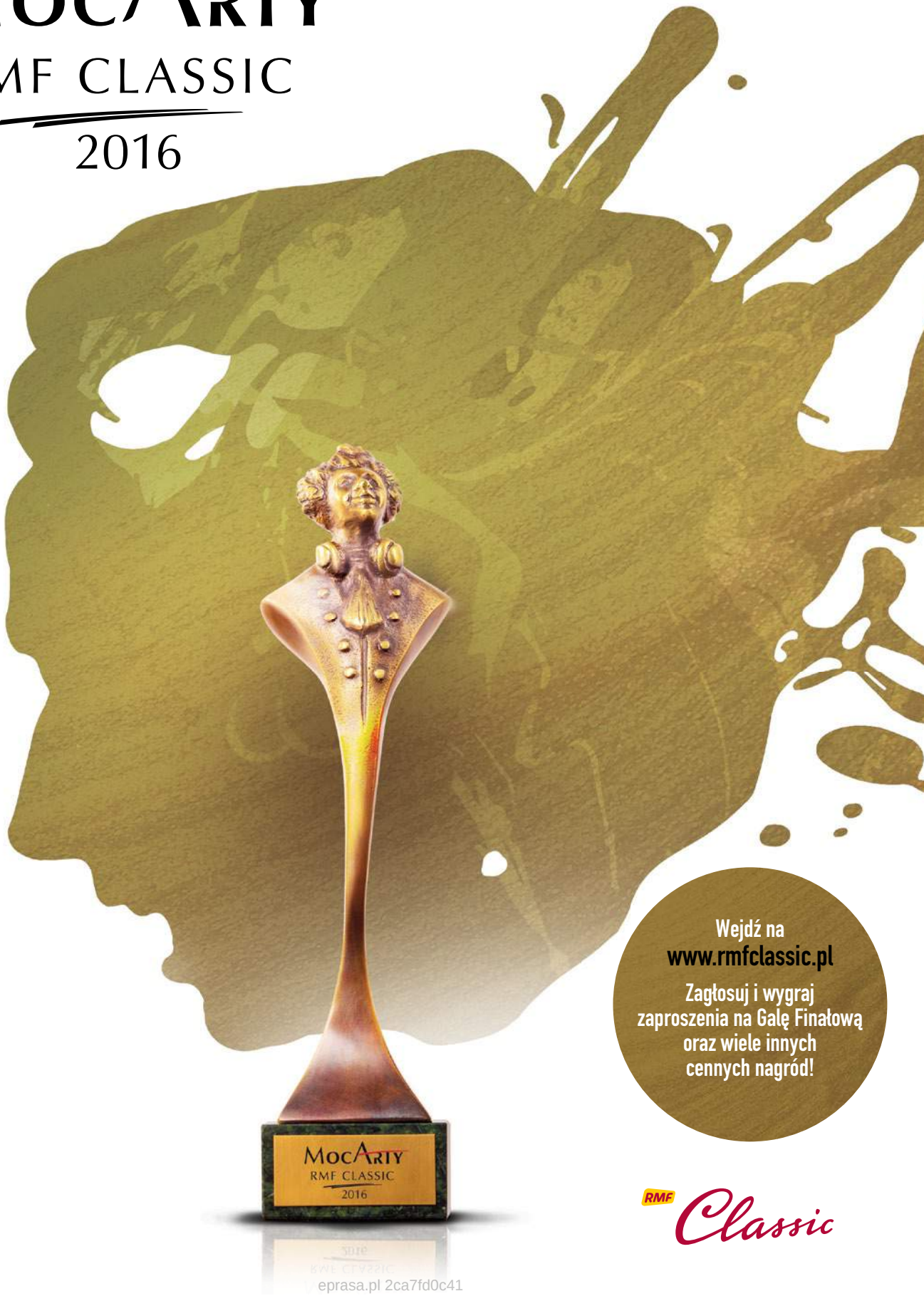

Wejdź na
www.rmfclassic.pl

Zagłosuj i wygraj zaproszenia na Galę Finałową oraz wiele innych cennych nagród!

RMF Classic

eprasa.pl 2ca7fd0c41

JANA PIETRZAKA
PODRÓŻE PO SMAKACH

Moje pierwsze istotne smaki z dzieciństwa to zupa z pokrzyw i komosy. Jestem dzieckiem wojny, panowały wtedy głód i nędza, więc chodziłem w Warszawie nad Wisłę, by zbierać zielsko i jeśli znalazły się do tego ze dwa kartofle u sąsiadów, to już cieszyliśmy się z dobrego posiłku.

Wiosną 1945 r., po zakończeniu wojny, mama zawiozła mnie do dalekiego kuzynostwa na wieś pod Grójec. Kwitły tam sady, ciocia przyrządzała rosół z wiejskiej kury, naturalne masło w osełkach przechowywane było w chłodzie głębokiej studni. Był to dla mnie zupełnie niebywały czas po latach wojny w gruzach Warszawy, w głodzie i nędzy, bez ojca, który zginął w 1942 r. Od tamtej pory takie smaki jak jabłka papierówki, masło w osełce, rosół z koguta są niezwykle pozytywnymi wspomnieniami mojego powojennego dzieciństwa.

Później „ciocia Unrra z Ameryki", jak się o niej mówiło, przywoziła nam do Polski różne wiktuały [UNRRA – organizacja utworzona w celu udzielania pomocy obszarom wyzwolonym po II wojnie światowej w Europie i Azji – przyp. red.]. Najbardziej utkwił mi w pamięci smak marchewki z groszkiem z puszki. Kiedy w 1971 r. pierwszy raz pojechałem do Stanów Zjednoczonych, przez całą podróż w trasie artystycznej na wszystkich postojach w przydrożnych barach próbowałem marchewki z groszkiem, by przypomnieć sobie ten smak.

Rzadko się zdarza, żebym zostawał w domu sam i musiał gotować, ale w takich awaryjnych sytuacjach wykorzystuję zwyczaj, który pojawił się w moim życiu po pobycie na posterunku radiolokacyjnym koło Zgorzelca. Używam wtedy wszystkiego, co zostało w garnkach – jakichś resztek po obiedzie, wczorajszej kaszy, przedwczorajszych ziemniaków, jakichś rzeczy ze słoików, np. oliwek, do tego stałe punkty – takie jak śmietana czy pokrojona wędlina. Ogarniam to do jednego garnka, później przykrywam to ostrymi przyprawami, takimi jak papryka i pieprz, żeby dało się zjeść. Czasami wychodzi mi z tego zupa, czasami „ogólnowojskowe drugie danie", smak jest nieznany, nikt nie wie, jak to nazwać, ale wszyscy się zajadają. Jest to jednak wyjście awaryjne, bo moja żona wspaniale gotuje, a ja rzadko zostaję w domu sam.

(not. raw) ©℗

FOT. MIECZYSŁAW WŁODARSKI/REPORTER

Jan Pietrzak jest satyrykiem i aktorem, twórcą kabaretu Hybrydy oraz Kabaretu pod Egidą, autorem i wykonawcą piosenek, felietonistą.

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zupkultura

JOANNA BOJAŃCZYK

Kulturę zup mamy w Polsce wysoko rozwiniętą. Możemy się poszczycić takimi osiągnięciami jak ogórkowa, żurek, kapuśniak, o flaczkach lub barszczyku nie wspominając (barszczyk to nie zupa, to barszczyk – jak mawia moja przyjaciółka). Tożsamość pomidorowej jest niepewna, wolimy uznać ją za twór kosmopolityczny.

Na Zachodzie ten fragment cywilizacji kulinarnej długo pozostawał niedoceniony. I tam jednak dotarła wszechmocna nauka – dietetyka.

Właściwości odżywcze, taniość i niskokaloryczność zup zostały docenione. Odciążają wątrobę, odbudowują florę jelitową, dostarczają soli mineralnych i witamin. W Paryżu, Londynie powstało wiele miejsc, gdzie zgłodniały turysta nie musi zasiadać do trzydaniowego obiadu, bo może posilić się zupą i zagryzłszy ją grzanką, pędzić dalej.

Dopiero gdy tamci docenili, my daliśmy się przekonać. Zupy wróciły na afisz modnych potraw. Dyniowa została ogłoszona królową jesieni i zimy, gazpacho – królem lata. W supermarketach mamy wysyp jednorazówek w kubeczkach, nie najgorszych – nie o chińskich tu mowa. Na tej fali powstała książka „Zupy odchudzające. Sezonowy detoks" Magdaleny Makarowskiej. Nie jest to publikacja tylko o zupach, ale o wszystkim, co odchudza, bo przecież wiadomo, że odchudza się cała ludzkość. Sałatki, śniadania, kasze, warzywa i smoothies składają się na sezonowy detoks zalecany przez autorkę.

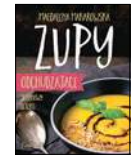

MAGDALENA MAKAROWSKA „ZUPY ODCHUDZAJĄCE. SEZONOWY DETOKS" FEERIA

Na kapuśniak na żeberkach nie liczmy. Na kapuśniak Aleksandra Kwaśniewskiego także nie. Magdalena Makarowska proponuje trzecią drogę – makrobiotykę, co niestety pociąga za sobą konieczność rezygnacji z wielu sympatycznych produktów, takich jak mleko, sery, pierogi, a nawet wędzone ryby. Jeśli jednak chcemy zadbać o jelita…

Osobiście wolałabym zadbać o podniebienie i tu przyda się parę rozwiązań autorki. Podoba mi się zupa szparagowa, ale z rezerwą podchodzę do koktajlu z łupinami babki płesznik, cokolwiek to jest. Nie jestem pewna, czy wiele osób przed pójściem do pracy zdobędzie się na przygotowanie sałatki szpinakowej z musem z mango. Sałatka z kaszy gryczanej i orzechów brzmi zachęcająco. Jednak co to takiego ostropest?

Zatem: nie jedzmy glutaminianu sodu ani zupek chińskich. Jedzmy zupy, pomni przestrogi zawartej w pewnym wierszyku dla dzieci z czasów (niestety) minionych:

Kto nie je zupy,en umrzeć musi.
Tak też z Michasiem – był zdrów i tłusty,
Pięć dni grymasił, umarł na szósty.

©℗

eprasa.pl 2ca7fd0c41

TYGODNIK POLSKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA KATARZYNY PINKOSZ
„WYBUDZENIA. Powrót do życia - polskie historie."

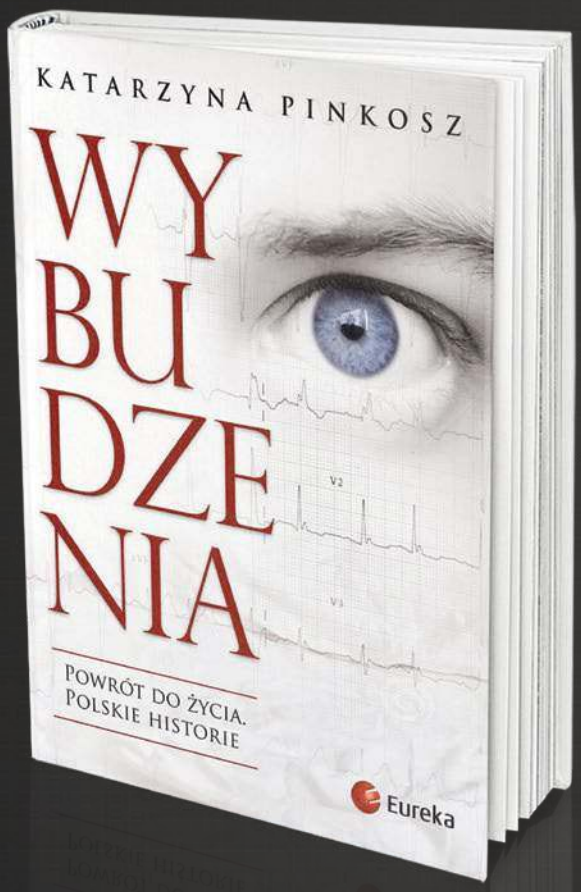

O życiu decydują sekundy. Wypadek, udar, zakrztuszenie: co roku kilkanaście tysięcy osób w Polsce zapada w śpiączkę. Co powoduje, że niektórzy się z niej budzą, choć lekarze nie dawali im szans?

Rodzicom Agnieszki Terleckiej sugerowano, że jej serce czy nerka może komuś uratować życie. Agnieszka wybudziła się i skończyła studia.

Reżyser Mariusz Kobzdej po ośmiu miesiącach w głębokiej śpiączce wrócił do życia.

Żużlowca Piotra Winiarza wybudził warkot motoru.

Trzynastoletniego Dawida – gol strzelony przez Cristiano Ronaldo.

„Wybudzenia" to poruszające historie osób, które wyszły ze śpiączki i tych, którzy nadal o to walczą, tak jak Ola - córka Ewy Błaszczyk. Połowa osób nazywanych czasem „roślinami" czuje, widzi, słyszy. Gdzie są, kiedy wydaje się, że „tu" ich nie ma?

„Wybudzenia" to też niezwykłe rozmowy z ludźmi, którzy przeciągają śpiących na „naszą" stronę, to pytania o sens życia, jego wartość i o to, kiedy rzeczywiście jest jego koniec.

135 zł

oszczędność 84 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2ca7fd0c41

NASZ TEST: HONDA HR-V

Japończycy należą do pierwszych, którzy wymyślili crossovery. Klienci nie byli wówczas jeszcze na nie gotowi. Gdy okazało się, że nadeszła już moda na miejskie terenówki, Honda wypuściła model HR-V. Niewielki crossover przyciąga uwagę. Z przodu wygląda muskularnie, z boku robi zaś wrażenie dynamicznego, zwinnego SUV-a z genami sportowego coupé. Całość wygląda po prostu ładnie. Honda HR-V jest więc ciekawą propozycją samochodu dla chcących mieć auto z terenowym charakterem, którym jeździliby jednak głównie po równym jak stół asfalcie.

W KABINIE

Jak na crossovera o tak niewielkich wymiarach (4,29 m długości, 1,77 m szerokości i 1,6 m wysokości) wnętrze jest nadspodziewanie przestronne. Fotele są duże i wygodne, a na tylnej kanapie wygodnie może podróżować trzech dorosłych pasażerów. Miejsca jest sporo i na nogi, i nad głową.

Kabina wygląda elegancko. Dobre wrażenie robią zwłaszcza 7-calowy kolorowy wyświetlacz, dotykowe przyciski do obsługi klimatyzacji i podgrzewania foteli, a także – w testowanym egzemplarzu – panoramiczny, otwierany szklany dach.

Kufer ma aż 470 l pojemności, czyli więcej niż Mitsubishi ASX (419 l), Nissan Qashqai (401 l) oraz Opel Mokka X (356 l). Do dyspozycji kierowcy i pasażerów jest też duża liczba praktycznych schowków. Japończykom udało się też bardzo dobrze zagospodarować środkowy tunel, w którym znalazło się miejsce na uchwyty na napoje, dodatkowy schowek w podłokietniku, a także sporą półkę, np. na smartfony. Szkoda tylko, że japońscy projektanci ukryli w środkowym tunelu wejścia USB i teraz korzystanie z nich jest niewygodne.

JAZDA

Zaledwie 130 KM generowanych przez benzynowy silnik o pojemności 1,5 l nie budzi może zbyt wielkich emocji. O szalonych przyspieszeniach nie ma co marzyć (auto od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w 11 s), ale przy łagodnym prowadzeniu Hondą HR-V jeździ się przyjemnie.

Na pochwałę zasługuje zwłaszcza fantastyczna ręczna skrzynia biegów. Zawieszenie mogłoby być lepiej zestrojone. Pozwala ono co prawda na szybkie pokonywanie zakrętów bez strachu o zbytnie przechyły. Gorzej jest z tłumieniem nierówności podczas przejażdżek dziurawymi podmiejskimi drogami.

Podczas podróży po mieście nie będzie doskwierał hałas w kabinie. Przy nagłym dociśnięciu gazu lub przy wyższych prędkościach autostradowych w środku za bardzo słychać nieprzyjemne wycie silnika. Honda HR-V jest za to dość oszczędna. Podczas testu średnie spalanie na trasie wyniosło 6,1 l/100 km, a podczas jazdy po mieście – 8,9 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Model HR-V w testach zderzeniowych Euro NCAP otrzymał najwyższą ocenę pięciu gwiazdek.

W crossoverze Hondy zainstalowano także wiele systemów wspomagających kierowcę, m.in. asystenta pasa ruchu, asystenta wspomagającego wyjazd z parkingu, system rozpoznawania znaków drogowych, a także system ostrzegający przed kolizją połączony z systemem, który w razie wykrycia ryzyka kolizji samodzielnie uruchamia hamulce.

Nocną podróż w trasie ułatwia zaś system świateł, które autonomicznie przełączają się z mijania na „długie" po wyjeździe z miasta, a następnie same przełączają się też z drogowych na mijania po wykryciu samochodów jadących z naprzeciwka, świateł pojazdów poprzedzających lub po powrocie na teren zabudowany.

CENA

Honda HR-V w wersji Comfort z manualną skrzynią biegów kosztuje 76,5 tys. zł. Za auto w testowanej przez nas najwyższej wersji wyposażenia (Executive) z manualną skrzynią trzeba zapłacić 96,2 tys. zł, a z automatem – 101,2 tys. zł.

Do wyboru jest jeden silnik benzynowy o pojemności 1,5 l i mocy 130 KM albo silnik Diesla o pojemności 1,6 l i mocy 120 KM (w najtańszej wersji wyposażenia za auto z tym silnikiem trzeba zapłacić 89,2 tys. zł). Niestety, niezależnie od wersji w przypadku Hondy HR-V nie ma możliwości wyboru napędu na cztery koła.

KONKURENCI:

Fiat 500X, Ford Kuga, Hyundai Tucson, Mazda CX-3, Mitsubishi ASX, Nissan Juke, Nissan Qashqai, Opel Mokka, Peugeot 2008, Renault Captur, Seat Ateca. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 2ca7fd0c41

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Nie ma ucieczki od polityki

MARCIN MAKOWSKI: Oglądałeś finał 51. Super Bowl? Czy też nie interesujesz się niczym, co nie ma związku z polityką?

MATTHEW TYRMAND: A kto powiedział, że futbol amerykański nie ma związku z polityką? Oglądaliśmy spotkanie razem z Anną Marią Anders. Nie było spięć, razem kibicowaliśmy New England Patriots, ale naprawdę nie trzeba się było wysilać, żeby zobaczyć, jak lewica dwoi się i troi, żeby przedstawić widowisko w kategoriach starcia dobra ze złem. Zresztą stopień politycznych analogii jest niemal poetycki.

Donald Trump jr podał tweet, w którym dawano 90 proc. na zwycięstwo Atlanta Falcons. Dodał: „Skąd ja znam takie wyniki?".

Tymczasem Falcons przegrali w dogrywce. Pierwszej w historii Super Bowl – nikt wcześniej nie zaprzepaścił równie wysokiego prowadzenia. I to przegrali z zespołem, który ucieleśniał protrumpowskie siły ciemności. Trener Patriots, Bill Belichick, popiera Trumpa. Najsłynniejszy gracz zespołu, Tom Brady, nie ukrywa dobrych relacji z prezydentem. Już na początku wyścigu do Białego Domu dał się sfilmować w szatni w czapce z napisem: „Make America Great Again". Również właściciel Patriotów, Robert Kraft, od lat przyjaźnił się z Trumpem. Dodatkowo wszyscy biali i bogaci, z historyczne uprzywilejowanej i arystokratycznej Nowej Anglii. Studenci na kampusach, liberalni intelektualiści, media głównego nurtu, aktywiści w mediach społecznościowych, po prostu nie mogli się doczekać klęski Patriotów, wzywając do bojkotu drużyny. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby widzieć w obrocie wypadków metaforę obecnej sytuacji w Ameryce.

Z drugiej strony zespół Jastrzębi z progresywnej Atlanty.

Dokładnie. Z dystryktu słynnego czarnoskórego aktywisty Johna Lewisa, który nazwał Trumpa „nielegalnym prezydentem", i miasta, w którym właściwie narodził się ruch zmierzający do równouprawnienia czarnoskórych Amerykanów. Czyli masz w tej historii jeszcze komponent rasowy. Dodatkowo podkreślony przez odmowę dwóch, również czarnoskórych zawodników New England Patriots zwyczajowej wizyty w Białym Domu po finale Super Bowl. Sam bojkot nie jest niczym nowym, ale tym razem w mediach urasta do rozmiaru rewolucji.

W waszyngtońskiej polityce również pachnie rewolucją. Kiedy rozmawiamy, demokraci dokonują obstrukcji w senacie, przeciągając przesłuchanie i wyznaczenie Betsy DeVos na sekretarz edukacji.

Nawet jeśli pachnie rewolucją, to możesz mi wierzyć, że to gra pozorów. Swego czasu Harry Reid, były lider Partii Demokratycznej, w senacie tak naginał prawo do błyskawicznego wprowadzania reformy Obamy, że zostawił furtkę do wykorzystywania zwykłej większości nawet w najważniejszych kwestiach politycznych. Dlatego republikanie nie mogli blokować szkodliwych ich zdaniem projektów, bo byli za każdym razem przegłosowywani. Tym razem sytuacja w senacie się odwróciła, już wcześniej ostrzegano Reida, że to, co zrobił, może działać w dwie strony. Dlatego w skrócie: choć demokraci protestują na wszystkich polach i będą to robić, to nie mają formalnych instrumentów do blokowania obecnego kierunku polityki USA.

Co czułeś, słysząc z ust Trumpa, że Putin jest odpowiedzialny za zbrodnie na Ukrainie, ale USA też nie jest krajem świętych?

Nie do końca zgadzam się z wydźwiękiem tych słów, ale Trump zdążył nas już przyzwyczaić do tego, że jedno mówi, a drugie robi. A pod względem czynów polityka USA jest obecnie jednoznacznie konfrontacyjna w stosunku do Rosji, gen. Mattis i gen. Flynn nieustannie podkreślają wagę oraz znaczenie NATO. Ameryka nie zmieniła zdania pod względem Krymu i Donbasu, które muszą wrócić do Ukrainy. Donald Trump spotkał się przecież niedawno z Julią Tymoszenko, którą zapewniał o swoim wsparciu. Dlaczego prawie nikt o tym nie informował? Nie będzie zatem błyskawicznego resetu Waszyngton – Moskwa. To tylko albo aż słowa. Nie po nich ocenia się polityka. ©℗

RYSUJE: ANJ KR AU

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

eprasa.pl 2ca7fd0c41

OKIEM BLOGERKI

Rechot „etyczki”

KATARYNA

MAG ALENA ŚRODA: Bardzo, ale to bardzo nie podoba mi się atak na wielką przyjaźń, by nie powiedzieć szlachetne i głębokie uczucie między ministrem Macierewiczem a jego pupilem panem Misiewiczem. Dawno nie widzieliśmy w sferze publicznej takiego przywiązania, takiego bezkompromisowego oddania, takiej wierności. Chciałoby się powiedzieć, jeden nie może bez drugiego. Tyle narzekamy na polityczny cynizm, na konformizm, brak lojalności, interesowność, a tu proszę! – relacja, głęboko bezinteresowna, czysta jak łza, i to w takim złym świecie. Naprawdę imponuje mi to. Piękne! Platońskie uczucie, rzadkie.... Ludzie nie czepiajcie się!

Pani „etyczka”, która kiedyś wyznała, że na swoją sekretarkę automatyczną mówi „maszyna domowa”, bo „nazwa sekretarka jest seksistowska”, uprzejma była rozpętać na swoim facebookowym profilu całkiem udaną nagonkę na Misiewicza i Macierewicza, sugerując, że są w homoseksualnym związku. I wiecie co, licznie zgromadzone na profilu Środy jej postępowe fanostwo ochoczo przystąpiło do internetowego linczu na obu panach. Pojawiły się co prawda głosy, że „główni zainteresowani nie zareagują, bo trzeba mieć wykształcenie, by zrozumieć takie subtelności... ech... perły przed wieprze”, ale fani Środy nie bawili się w subtelności i nie pozostawili najmniejszych wątpliwości, że chodzi o „bekę z pedałów”.

Kilka cytatów:

Ależ już starożytni wiedzieli, że młodzi chłopcy są do pieszczoty, a starzy do roboty...

Może i w jakimś dalekim sensie platońskie, ale skąd założenie, że takie znowu bezinteresowne? Zresztą w sektorze publicznym (i nie tylko) niejeden kierownik/-czka zawdzięcza swoją pozycję czyjejś „uczuciowości” i „oddaniu”.

To czasem u starszych panów (Antoni) taka ostatnia miłość życia... Tak bywa... I będzie bronił swojego Miśka do ostatniej kropli... krwi.

Ziobro też ma takiego adoniska przytulaska?

Misiewicz współpracuje z Macierewiczem od 13 lat, czyli miał lat 13. I zapewne był ministrantem. Nasuwa się tylko jedno.

Sodomię jeszcze zniesiemy, ale gomorii to już nie damy rady.

Braciszków ciepłych dwóch.

Zamiłowanie Antka do młodych chłopców jest zastanawiające.

Niech wyjdą z szafy! Dobrze to zrobi wszystkim! Połowa PiS siedzi w szafie. Dobre wietrzenie nie jest złe.

To, co zorganizowała Środa na swoim profilu, w każdym innym przypadku nazwalibyśmy „gay shaming”, ale ponieważ zdarzyło się w środowisku postępowym, zostanie uznane za doskonały żart. W najgorszym wypadku – za pewną „niezręczność”, nad którą trzeba litościwie spuścić zasłonę milczenia. Warto sobie zapamiętać na przyszłość, gdy Środa wróci do pouczania o etyce, że mimo profesorskiego tytułu i funkcji dyżurnej etyczki jest taką samą prostaczką jak ci, których tak chętnie krytykuje. Tylko bardziej zakłamaną. ©℗

PODSŁUCHANE

O pisaniu listów

Ale jak to, Rysiu?! Nie zaprosiła cię?!
Oj Aśka, nie, nie zaprosiła. Miałem przecieki z Berlina, że mam być, podobno nawet miało być spotkanie ze mną w cztery oczy, a tu dupa. Czyli ten, jak to się mówi, arsz.

Skąd te przecieki?
Kuzynka sąsiada, tego, który ma firmę na parterze w domu u nas, który gumy do majtek robi, ma byłego chłopaka i ten chłopak mieszka teraz w Berlinie, bo tam na budowie pracuje, a na tej samej klatce mieszka wujek jednego portiera z kanclerzantu... kanclerbantu... No, z biura kanclerza. I on mu właśnie mówił.

No patrz, Ryśku, takie pewne źródło i tak się pomyliło! I co teraz?
No właśnie nie wiem... Może jakiś list napiszemy do Merkelowej w sprawie tego, co się tu wyrabia? Tylko to by trzeba po niemiecku. Ja to, wiesz, po angielsku, to nie ma problemu. Ale po niemiecku... „Gutentag, frał kanclerz...” – jakoś tak by trzeba zacząć.

Słuchaj, a może Asia Scheuring-Wielgus przetłumaczy?
A ona szprecha?

No, w końcu nazwisko ma takie... niemieckie takie.
Dobra, zapytam. A jak nie ona?

Mamy jeszcze tę, no, Henning-Kloskę, też tak brzmi trochę, co nie?
Gut und hendehoch. To znaczy, aufwiderzejn, chciałem powiedzieć. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Donos Dudy na Tuska, wykłady lidera PSL o burakach – dla Merkel wizyta w Warszawie musiała być intrygującym i inspirującym przeżyciem”.

TOMASZS *na Twitterze*

eprasa.pl 2ca7fd0c41

KODomia

fot. Jerzy Gumowski

Starość nie radość — jak to mówią. Zegar tyka, człowiekowi nie ubywa lat. Pierwsze widoczne oznaki starości dopadły mnie wskutek ulicznych i sejmowych *„zadym”* Salonu, wszczętych kilka dni przed Świętami Bożego Narodzenia i trwających eksplozyjnie dalej po Bożym Narodzeniu. Zauważyłem wtedy, że psuje mi się wzrok. Telewizje ukazywały wrzeszczący tłumek awanturników z KOD–u, PO czy .Nowoczesnej pieklących się wokół parlamentarnego gmachu, a także okupujących mównicę sejmową i salę plenarną, nad nimi rozgwieżdżone niebo, lub chmury, lub sufit sejmowy, tymczasem ja cały czas widziałem nad nimi nie gwiazdy, chmury czy plafony, tylko pryncypałową twarz pana Sorosa, tego samego dobroczyńcy ludów, który parę lat temu uszczęśliwił nasz region kijowskim Majdanem, dzięki czemu Ukraina przoduje dziś w kilku statystykach globalnych. Tarłem oczy, ale zjawa nie chciała zniknąć. Pierniczejesz, chłopie — pomyślałem — wzrok ci siada. Co gorsza — wśród manifestantów migotały mi fizjonomie mające na czołach literki fosforyzujące niby neony: *„pułkownik”*, *„major”*, *„kapitan”*, a trochę niżej: *„Wydział IV”*, *„Wydział III”*, *„Wydział II”*... Zamknąłem oczy, w przekonaniu, że może czas się poznajomić z jakimś okulistą…

Doraźnie leczyłem wzrok babcinym sposobem *„na zmęczone oczy”*, vulgo: okładami z ciepłej esencji herbacianej, jednak to niewiele pomogło, bo gdy tylko zdjąłem te okłady — ujrzałem w TV wnętrze głównej sali sejmowej, po której grasowała szajka… nie uwierzycie… kieszonkowców! Tak, gromada pospolitej hołoty grzebiącej w teczkach, torebkach i papierach zostawionych przez posłów, którzy wyszli z sali. Gdybym zobaczył wewnątrz parlamentu stado hien (na przykład cmentarnych) lub szczurów (na przykład piwnicznych) lub srok (na przykład kleptomańskich), zdziwiłbym się mniej. Ale to była fauna określana mianem *„homo sapiens”*, czyli dwunożna, choć o manierach czworonogów z obory. Pojąłem, że dopadły mnie znowu majaki–zwidy, ergo: że ów niewiarygodny widok jest właśnie niewiarygodny, jak każda fatamorgana. Zgasiłem ten durny telewizor i poszedłem spać, wiedząc, iż sny są bardziej wiarygodne (za wyjątkiem, oczywiście, *„nightmares”*, czyli koszmarnych snów).

Wiarygodność wiarygodnością, ale przykrość przykrością. Cóż z tego, że smacznie sobie kimałem przez prawie całą noc, gdy nad ranem zaczęły mi się śnić puszki jakichś wolontariuszy, których zawartość (puszek, a nie wolontariuszy) jakiś przedsiębiorczy filut wydawał na perfumy paryskie, dowodząc tym (w sklepach i galeriach przy Champs Elysées), iż łacińska maksyma *„Pecunia non olet”* to eufemizm, *„moniaki”* bowiem nie tylko nie śmierdzą, lecz wręcz rozkosznie pachną. Wszystkie, a nie wyłącznie te od drobnych darczyńców–frajerów — również te od szemranych sponsorów–prowokatorów. Nie będąc buchalterem, banksterem, kasjerem lub też kimś podobnym — mam słabe pojęcie o obiegu tajnych funduszy. A kiedy się na czymś nie znam, sięgam po opinię ekspertów. Sięgnąłem zatem po fachową egzegezę Ireny Lasoty: *„Wprawdzie KOD lubi uchodzić za spontaniczny ruch oburzenia społecznego, lecz dla sprawnego oka od razu widoczne były szwy dobrej organizacji (...) Od początku uderzała w oczy zamożność KOD–u, bo wydawał on wielkie sumy. Trudno mi uwierzyć, że każdy przeciwnik PiS trzyma w domu flagi europejskie i ma możliwość produkowania profesjonalnych, ogromnych transparentów. Akurat sama organizowałam lub oglądałam organizowanie demonstracji w różnych krajach i umiem przeliczać eksponaty na pieniądze. Pieniędzy w KOD było dużo, a ruch ten nie był przesadnie transparentny...”* (2017).

∞

Leopold Staff: „Hasła wolności zbir dla szacherki nadużył i sztandary cne na niecne zmienił ścierki”.

∞

Transparentny (czyli klarowny) jest cel i wrzask KODomitów (Jan Piński: *„To kwik świń odsuniętych od koryta, od władzy dającej pieniądze, tj. zlecenia, kontrakty, posady”*, 2017). Oni tak nienawidzą Polski rządzonej antysalonowo, że w *„tym kraju”* trzyma ich już chyba tylko grawitacja. Nie śledziłem regularnie ich estradowych występów tej zimy, miałem bowiem do nich ten sam stosunek co sławny amerykański pisarz i poeta John Updike do teatru, czyli do forum, na którym recytuje się frazy rozpisane wcześniej scenariuszowo. Updike mawiał: *„Nie cierpię teatru, bo widok ludzi, którzy łażą po scenie i sztucznie się zachowują, deklamując kwestie te same od miesiąca — to ponad moje siły”*. Zaś ponad moje siły nie jest sam fakt, że KODomici plus wszelacy partyjni salonowcy grają estradowo kontrrządowe obywatelskie zaangażowanie polityczne, taka jest przecież rola opozycji (choć mogliby to uskuteczniać mniej głupio), lecz fakt, iż pośród nich funkcjonuje tylu półinteligentów i ćwierćinteligentów grających nieudolnie ludzi inteligentnych (owa nieudolność to głównie kwestia stylu; cytuję Nicolása Gómeza Dávilę: *„Imbecyla — bardziej niż to, co mówi — zdradza jego styl”*).

Przykłady tego braku klasy widzimy od miesięcy codziennie. W KODzie jej symbolem może być choćby lider, Mateusz Kijowski (którego wielu Polaków uważa za hipisowatego menela), a w Platformie POseł Sławomir Nitras (którego mnóstwo Polaków uważa za szczecińskiego żulika, m.in. dlatego, iż podobno niegdyś pięścią rozstrzygnął administracyjny czy też polityczny spór). Obaj oni są żywym dowodem na drastyczne zaniżanie przez Salon standardów wejściowych, bo kiedyś taką szumowinę można było zobaczyć co najwyżej u Leppera, jednak od czasu POsłanki Sawickiej (*„pierwszej damy”* korupcji III RP) poprzeczka runęła ku glebie rażąco. Ten model obecnych frontmenów Salonu trzeba charakteryzować tak: gość chciał koniecznie stać się aktywistą Salonu lub przynajmniej człowiekiem akceptowanym przez Salon, ale długo nie był — jak mówiono w XIX wieku o parweniuszach dobijających się do wrót socjety herbowej — *„Salonsfähig”* (w wolnym tłumaczeniu: zdolny salonowo), czyli nie miał *„zdolności salonowej”* (analogicznie mówiono o tzw. *„braku zdolności honorowej”* u tych, którym odmawiano prawa do pojedynków). Lecz czasy się zmieniły, rygory jakościowe sparciały, i z wora (bo przecież nie z cylindra) wyciągnięto takich łapserdaków jako chojraków zwalczających *„faszystowską dyktaturę”*.

Wróćmy do moich projekcji onirycznych, które są zaprzeczeniem tezy Michała Anioła Buonarrotiego na temat darów Morfeusza. Jednym ze swych sonetów Michelangelo wyznał: *„Kocham sen. Gdyż głazem lepiej być póki zło i hańba światem rządzą”*. Tymczasem w moich snach ostatnio zbyt często rządzą właśnie zło, hańba i mary przypominające KODomitów. Mary wielce wyraziste, dokładnie tak jak pisał Franciszek Dionizy Kniaźnin: *„Nie zawsze mara to jest płonna, co we śnie człowiek i widzi, i czuje”*. A ja tam widzę brudne pieniądze i czuję swoisty paramasoński (lożowy, spiskowy) odór. Te wolnomularskie klimaty KOD–u przypominają mi co senator Bernardo D'Arezzo (członek parlamentarnej komisji do badania przestępczej działalności masonerii włoskiej) powiedział dziennikarzom **„L'Europeo”**: *„— Nie jestem przekonany, że loża Propaganda–2 to chora część masonerii, bo zdrowa część prawdopodobnie nie istnieje (...) Masoni wszelakiego rodzaju i każdej narodowości mają tylko jeden cel: pieniądze. Wszystkie loże masońskie to bandy aferzystów”* (1982). No właśnie. Z dala od koryta cierpi KODomita, zębiskami zgrzyta, o Trybunał pyta. Lisek celebryta z Majdanem się wita, wszystkiego się chwyta, walczy jak bandyta. Biedy nam napyta, głupi skarżypyta: brukselski łachmyta za gardło nas chwyta. Siara całkowita, przegnać go musita — niech zwiewa banita, i kwita! Uuuff! *„Częstochowskie”*, co? ©®

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 2ca7fd0c41

ZDROJOWA HOTELS®

2017 WAKACJE FIRST MINUTE

DO 20% TANIEJ

REZERWUJ PRZED INNYMI

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™

REZERWACJA +48 91 40 40 400 • WWW.ZDROJOWAHOTELS.PL

WWW.MARINEHOTEL.PL
Marine Hotel***** & Ultra Marine
KOŁOBRZEG

WWW.DIUNEHOTEL.PL
Diune Hotel***** & Resort
KOŁOBRZEG

WWW.SANDHOTEL.PL
Sand Hotel****
KOŁOBRZEG

WWW.JANTARSPA.PL
Jantar Hotel*** & SPA
KOŁOBRZEG

WWW.BLVD.PL
Boulevard Ustronie Morskie
USTRONIE MORSKIE

WWW.BALTICPARK-MOLO.PL
Baltic Park Molo Apartments
ŚWINOUJŚCIE

WWW.CRISTAL-RESORT.PL
Cristal Resort Szklarska Poręba
SZKLARSKA PORĘBA

OFERTA WAŻNA DO 28.02.2017

eprasa.pl 2ca7fd0c41